

CHLOÉ  
DUVAL

Czas  
ukradziony

*Opowieść o marzeniach,  
miłości i radości życia*

Prószyński i S-ka

CHLOÉ DUVAL

# Czas ukradziony

Przełożyła  
Krystyna Szeżyńska-Mačkowiak

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału  
LE TEMPS VOLÉ

Copyright © Éditions Bragelonne – Paris 2015  
Published by arrangement with Lester Literary Agency  
All rights reserved

Projekt okładki  
Magdalena Zawadzka

Zdjęcie na okładce  
© © irene lamprakou/Arcangel Images; alfocome/[Shutterstock.com](https://www.shutterstock.com)

Redaktor prowadzący  
Monika Kalinowska

Redakcja  
Ewa Witan

Korekta  
Aleksandra Gajek  
Zofia Firek

ISBN 978-83-8123-440-5

Warszawa 2017

Wydawca  
Prószyński Media Sp. z o.o.  
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28  
[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

*Dedykuję tę opowieść wszystkim miłośniczkom  
robótek ręcznych na świecie, wciąż poszukującym  
swego księcia na białym koniu...  
i tym, które już go znalazły.*

# PROLOG

## KAROUAC, BRETANIA

4 WRZEŚNIA 1975

To był najpiękniejszy dzień jej życia.

Czekała na jego nadejście, od tygodni starannie przygotowując każdą jego chwilę, powinna więc szaleć ze szczęścia i promienieć radością.

A jednak czuła się dziwnie. Tak jakoś niezręcznie. Jakby zapomniała o czymś ważnym i wiedziała, że za chwilę popełni błąd.

To tylko strach, powtarzała sobie, stojąc przed lustrem. Uzasadniony strach, jaki prawdopodobnie odczuwa każda kobieta, zamierzająca podjąć zobowiązanie na całe życie.

Ale czy każda kobieta w dniu ślubu marzy o młodszej miłości?

Amélie zamknęła oczy i znowu zobaczyła przed sobą Erwana. Widziała jego zniewalający uśmiech, szare tęczęwki, które tak często stawały się niebieskie, zawsze rozwichrzone włosy, zbyt niesforne, żeby się poddać grzebieniowi. Czuła jego spracowane dłonie na swojej skórze, dotyk jego warg na ustach, jakby dopiero wczoraj oddała mu się na plaży.

Potrząsnęła głową, zmuszając się do odrzucenia tych wspomnień. Myślenie o nim było szaleństwem. I to w dniu ślubu. To zdarzyło się tak dawno. Minęły cztery lata, prawie co do dnia. Na pewno już o niej zapomniał. Nigdy nie dał znaku życia, nie próbował się z nią w żaden sposób skontaktować.

Czekała całymi tygodniami i miesiącami, licząc, że się odezwie, aż w końcu pogodziła się z rzeczywistością. Z tym, że była dla niego zwyczajną wakacyjną przygodą. Zabawką na lato. Zamknęła tę kartę i spojrzała w przyszłość. Poświęciła się bez reszty swoim studiom – projektowaniu mody – żeby zapomnieć. Żeby o nim nie myśleć.

Dziś nareszcie była szczęśliwa. Skończyła studia i znalazła wymarzoną



pracę w małej firmie odzieżowej, gdzie jej styl i nieco szalone pomysły uznano za ciekawe. Nie liczyła na tak wiele. A teraz miała poślubić wspaniałego mężczyznę, który kochał ją ponad wszystko, bardzo mocno. Wiedziała, że będą szczęśliwi.

Dlaczego więc właśnie dziś? Po co wracać do bolesnej przeszłości, którą powinna już dawno pogrzebać? Dziś wychodzi za mąż za Aymerica, będzie z nim na dobre i na złe.

Amélie zrobiła głęboki wdech, a potem wydech, żeby uspokoić serce, nerwy i głowę. Poprawiła woalkę, wygładziła kilka niewidocznych fałdek na sukni ślubnej. Sama ją zaprojektowała i stworzyła cud – suknię swoich marzeń.

Twarz Erwana znów stanęła jej przed oczami.

Do diabła! – zakląła w duchu, lecz zaraz się opanowała.

Dobrze wychowana kobieta nie przeklina.

Ktoś lekko zapukał do drzwi, do pokoju wsunęła głowę matka.

– Jesteś gotowa, kochanie? – zapytała rozpromieniona Viviane Lacombe.

Amélie jeszcze raz przejrzała się w lustrze, znów głęboko westchnęła i odrzekła:

– Jestem gotowa.

To nie była odpowiednia chwila na zadawanie sobie pytań i roztrząsanie przeszłości.

Mimo to przed wejściem do kościoła odwróciła głowę i uważnie rozejrzała się po dziedzińcu, placu i twarzach przechodniów, wbrew sobie szukając wśród nich tej jednej, znajomej, uśmiechniętej. Potem otrząsnęła się, przeklinając idiotyczne rojenia, które psuły jej najpiękniejszy dzień życia, i z uśmiechem popatrzyła na ojca, wsuwając rękę pod jego ramię.

A potem czekała na pierwszy akord organów, żeby wejść do kościoła.

Ukryty w bramie, niewidoczny z dziedzińca, Erwan patrzył, jak kobieta jego życia wchodzi u boku ojca do świątyni, by poślubić innego mężczyznę.

Przyjechał za późno. Przegrał. Znowu. Ale tym razem – definitywnie.

# ROZDZIAŁ 1

## KAROUAC, BRETANIA

MAJ 2014

List przyszedł we wtorek.

To zdanie byłoby doskonałym tytułem powieści. Wzbudza zaciekawienie, jest zarazem precyzyjne i tajemnicze. Inspiruje wyobraźnię. Co takiego zawierał ów list, skoro ktoś uznał, że warto zadawać sobie trud, by pisać o nim książkę? Cóż miał w sobie niezwykłego?

Przecież ludzie codziennie piszą miliony listów (no, może tysiące, bo nastanie ery komputerów stopniowo zabija klasyczną korespondencję), po co więc o tym mówić?

Ponieważ to nie był zwyczajny list. Nie taki jak inne. Nie reklamował żadnego nowego sklepu z markową odzieżą, nie zawierał oferty udzielenia kredytu na dogodnych warunkach. I nie zapraszał adresata na przyjęcie dla członków elitarnego klubu ani nawet nie zachęcał do kupna samochodu za wyjątkowo niską cenę. Nie był to też żaden rachunek (na szczęście, bo nie znoszę dostawać rachunków, tak jak nie lubię awarii elektryczności).

Nie, nic z tych rzeczy. Ten list napisał odręcznie pewien człowiek do innego prawdziwego człowieka. Mężczyzna do kobiety. Mężczyzna, który...

Ale zagalopowałam się, zaczynam wyprzedzać bieg zdarzeń. Zacznijmy od początku.

A zatem list przyszedł we wtorek.

Ten dzień, poza kilkoma drobiazgami, zaczął się tak, jak wiele innych wtorków.

Owego ranka majowe słońce zaświeciło pełnym blaskiem po tygodniach nieznośnego deszczu, którego wszyscy w Bretanii mieli powyżej uszu, a ja

z niewypowiedzianą przyjemnością nareszcie włożyłam pierwszą tego roku wiosenną sukienkę. Informacja była oficjalna – nadeszła wiosna, niosąc ze sobą dobry humor i radość życia.

Jak to się często zdarzało, budzik zastał mnie z nosem w komputerze, z oczami podkrążonymi z niewyspania i głową pełną przygód moich bohaterów.

Muszę wam bowiem powiedzieć, że zajmuję się pisaniem. Nie, nie tych poważnych dzieł, które walczą o nagrodę Goncourtów albo o recenzje profesjonalnych krytyków zamieszczane w magazynach literackich i mające bardzo oficjalny charakter. Nie, ja piszę „te książki”.

Takie, które wynosi się na strych albo chowa za rzędem klasyki zachowanej z czasów licealnych. Te, które osłania się nieprzejrzystą obwolutą, żeby ukryć kiczowatą okładkę, albo czyta bezpośrednio z czytnika elektronicznego, by się nie narażać na pytania i drwiące spojrzenia. Te, o których nie należy mówić publicznie z obawy, że w opinii słuchaczy momentalnie utraci się piętnaście punktów IQ, ot tak, bez uprzedzenia. Te, które można kupić tylko w Monoprix, a nigdy we FNAC-u czy – tym bardziej – szanującej się księgarni.

Tak. Właśnie takie powiastki.

Piszę romanse. Czasem z wątkiem erotycznym, czasem bez. Ze stereotypami albo bez. I z czytelnikami (choć prawdę mówiąc – raczej bez). Piszę opowieści miłosne i robię to przede wszystkim dla siebie, bo pod maską poważnej nauczycielki historii i geografii kryje się moje małe, miękkie serduszko. Piszę też dla koleżanek. Zapewniam, że fajnie rozmawiać na te tematy nad talerzami ryżu i kotletami. Odrobina banału nikomu jeszcze nie zaszkodziła, wszak życie i tak stawia nas wobec poważnych problemów, więc nie musimy ich mnożyć, kiedy mamy wolną chwilę i chcemy odetchnąć. A my lubimy historie miłosne i do diabła z tymi, którzy nas oceniają.

Tego ranka miałam więc za sobą kilka spędzonych na pisaniu godzin i bardzo mało tych przespanych, stanowczo za mało, żeby wyglądać ładnie i świeżo. Ale co z tego – nikomu nie musiałam się podobać, toteż się tym nie przejmowałam. Lekko przymulona powędrowałam do gimnazjum, gdzie wbijałam historię i geografę do jasno- (i ciemno-, rudo- czy też tęczowo-) włosych głów naszych kochanych dzieciaków. Chociaż lekki makijaż, który nałożyłam, żeby zamaskować podkówki pod oczami, i swobodny, ale



stosowny strój, jaki wybrałam, tworzyły złudzenie gotowości do pracy, to mój mózg z ogromnym trudem pchał tego dnia wagoniki i musiałam sięgnąć po cały dostępny arsenał (teinę i tym podobne), żeby nie pleść bzdur, zamiast uczyć.

A wszystko dlatego, że żaden z uczniów – tak uroczych (przeważnie) i wyrozumiałych (w pewnym stopniu) – nie jest w stanie oprzeć się pokusie przyłapania nauczyciela na gorącym uczynku i wytknięcia mu błędu, jeśli tylko nadarzy się okazja. Wolałam uniknąć takiej sytuacji, bo to naprawdę nic miłego.

Po stosunkowo wyczerpującym dniu, kiedy to miałam lekcje w czterech klasach i sprawdziłam prace uczniów (nawiasem mówiąc, poprawiałam błędy fioletowym długopisem, który był drobnym szaleństwem bardzo schludnej poza tym nauczycielki), wróciłam w domowe pielesze, ale tylko po to, żeby zaraz wyjść ze sweterkiem przerzuconym przez ramię, pudełkiem ciastek upieczonych poprzedniego wieczoru i zeszytem, który zawsze nosiłam w torebce. Kierunek: centrum Karouac i butik „Nić Ariadny”, gdzie najprawdopodobniej czekały już na mnie Vic i pozostałe dziewczyny.

Początkowo sporadyczne spotkania klubu robótek ręcznych we wtorkowe wieczory szybko przerodziły się w tradycję i były stałym punktem wypełnionego po brzegi tygodnia. Uważałam je za chwilę odprężenia, sposób na przestawienie w stan czuwania kipiącego pomysłami mózgu i wybujałej wyobraźni. Jedne kobiety uprawiają jogę, inne – sztuki walki, ja natomiast robiłam na drutach i raz w tygodniu – czy to w deszcz, czy w wicherę lub śnieżycę – chociaż muszę przyznać, że zdarzało się to raczej rzadko – z drutami w ręku biegłam do miasta, żeby się spotkać z grupką przyjaciółek w jedynym sklepiku z wełną i przyborami do szycia w Karouac i okolicy.

Właścicielką butiku była Victoire, „mama” naszej grupki. „Nić Ariadny” była jej dzieckiem, jej dziełem, symbolem nowego życia, o które dzielnie walczyła, mimo problemów i przeszkód. Otworzyła sklep prawie dziesięć lat temu, kiedy odziedziczyła całkiem sporą sumkę po babce. Miała wtedy trzydzieści dwa lata i męża kobieciarza. Postąpiła zgodnie z radami swej bardzo doświadczonej babci i wykorzystała tę okazję, by odzyskać wolność, a także panięskie nazwisko. Pewnym krokiem wyruszyła w świat i rozwinęła skrzydła. Mimo trudnych początków (takie są uroki życia w małej społeczności) „Nić Ariadny” w końcu odniosła sukces i teraz, właśnie w tym

małym, przytulnym sklepiku, równie barwnym jak jego właścicielka, co tydzień spotykałam się z miłośniczkami robótek ręcznych. Przychodziłyśmy tam zawsze i czerpałyśmy z tego prawdziwą radość.

Grupę dziewczynek, jak lubiłam o nas mówić, stworzyły Victoire i Cécile, z którą najdłużej się przyjaźniłam. Przez kilka miesięcy od otwarcia sklepu, kiedy Vic zmagala się z fakturami i brakiem klientów, grono dziewczynek było dwuosobowe. Do dziś zresztą Vic chętnie opowiadała, że gdyby nie niezawodna Cécile, prawdopodobnie by się poddała. To właśnie Cécile nie tylko podsunęła jej pomysł założenia klubu dziewczynek, ale i przyprowadziła Bérénice, a potem Angélique i wreszcie mnie, niedługo po tym, gdy przyjechałam do Karouac.

I prawdopodobnie będę jej za to wdzięczna do końca życia.

W dziewczynek znalazłam nie tylko przyjaciółki. Przez tych pięć lat, które z nimi spędziłam, stały się dla mnie rodziną. A teraz nie wyobrażałam sobie życia bez nich, bez ich żartów i rad, a przede wszystkim – bez naszej bezwarunkowej, bezinteresownej przyjaźni.

Mała grupa była już prawie w komplecie, kiedy zdyszana weszłam do butiku – co to za pomysły, włóczyć się piechotą!

– Dobry wieczór, dziewczyny! – zawołałam, zamykając za sobą drzwi, które zasygnalizowały moje wejście dźwięcznym dzwonkiem.

Vic, Cécile i Bérénice natychmiast zwróciły na mnie oczy i uśmiechając się radośnie, powitały mnie chórem.

– Cześć, Flavie!

– Witaj, kotku!

– Cześć!

– Już dobrze, wystarczy!

– Co u ciebie?

Dosłownie opadłam na krzesło i ciężko westchnęłam.

– Dziewczyny, to trudna chwila – zaczęłam. – Mam wrażenie, że uczniowie uważają mnie za idiotkę.

Wyjęłam pudełko z ciastkami, otworzyłam je i postawiłam na stole.

– Częstujcie się, proszę! Przyniosłam coś na ząb!

I żeby je zachęcić, sięgnęłam po ciastko i wbiłam w nie zęby, starając się powstrzymać jęk rozkoszy, która mnie ogarnęła. Upiekłam czekoladowe

delicje i wyznam bez przesadnej skromności, że to boski smakołyk. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby mi powiedziano, że gdzieś na świecie taka rozpusta jest zakazana.

– Flavie, jesteś naprawdę kochana! – oświadczyła Vic.

– Świetny pomysł! – zawołała Cécile, biorąc ciastko. – Konam z głodu!

– Powiedz wreszcie – odezwała się łagodnym głosem Bérénice – co znowu wymyślili twoi uczniowie?

– Zebrałam prace, które kazałam im na dziś zrobić – zaczęłam, przełykając kęs smakołyku. – Rzuciłam na nie okiem, zanim tu przyszłam. Tylko po to, żeby się zorientować, jak sobie poradzili. I wiecie, co? Zakładam się, że nie zgadniecie!

– Oszukiwali?

– Bingo! Przepisali stronę z Wikipedii. Czy naprawdę myślą, że wystarczy dodać kilka błędów ortograficznych, żebym nic nie zauważyła?

– Wszyscy tak zrobili?

– Nie, nie wszyscy, ale co najmniej troje. A wiecie, co mnie najbardziej zasmuca?

– Nie, ale na pewno nam powiesz.

– Że w trójce oszustów znalazła się naprawdę niezła uczennica, która bez trudu mogłaby wykonać tę pracę samodzielnie. Dlatego mam wrażenie, że poniosłam częściową porażkę. Że nie zdołałam wpoić im wartości, jakie będą im potrzebne w życiu.

– Podchodzisz do tego zbyt poważnie – wtrąciła Cécile. – Nie wydaje ci się, że wyciągasz pochopne wnioski z tego incydentu? W każdej klasie znajdzie się jakiś mały oszust, zawsze tak było i z dnia na dzień tego nie zmienisz. Ale ten fakt nie świadczy o niekompetencji nauczyciela.

Znów westchnęłam.

– Sama nie wiem, Cess. Czasami się zastanawiam, czy moja praca jest cokolwiek warta. Czuję się bezradna, nie potrafię im pomóc. I przygnębia mnie to.

– Nie możesz traktować wszystkiego tak osobiście, to nie ma sensu – oświadczyła Vic, jak zwykle twardo stąpająca po ziemi. – Nie zdołasz zbawić świata, masz tylko uczyć historii i geografii. Dlatego nie zatruwaj sobie życia, robisz sobie krzywdę. Lepiej zjedz jeszcze jedno ciasteczko – dodała, podsuwając mi pudełko. – Życie wygląda weselej, kiedy się je osłodzi.

– Vic ma rację – przyłączyła się Bérénice, kiedy wybierałam największe

z ciastek. – Słodkości rozwiewają smutki – dodała z uśmiechem, jakby wygłaszała hasło reklamowe, bo przecież była właścicielką cukierni „Delicje Bereniki”, słynącej z najlepszych ciast w promieniu kilku kilometrów. Dla niej cukier był sposobem na życie. – Ale naprawdę nie powinnaś brać sobie tego wszystkiego tak mocno do serca. Starasz się uczyć jak najlepiej i tylko to się liczy!

– Ale to moje „najlepiej” nie wystarcza!

– Pamiętaj, że nie jesteś opiekunką społeczną – zaproponowała żywo Cécile – i nie jest twoim obowiązkiem ratowanie tych dzieciaków. Zostaw te heroiczne zadania ludziom, którym za to płacą! Na przykład ja, kiedy pokazuję klientom domy, nie mówię, jak powinni urządzić to czy inne pomieszczenie. Nie na tym polega moja praca.

Kiedy Cécile nie robiła na drutach (dla siebie, dla którejś z nas albo dla bezdomnych), wykonywała całkiem intratną pracę agentki nieruchomości i zdarzało jej się nawet nazywać się swatką. „Niektórzy pomagają ludziom znaleźć bratnią duszę – powtarzała – a ja pomagam im w znalezieniu swojego domu”. I właśnie jako pośredniczka znalazła nie tylko idealny lokal na „Nić Ariadny”, a potem na „Delicje Bereniki”, ale także, kiedy kilka lat temu przyjechałam do Karouac ze świeżo uzyskanym dyplomem, gotowa ratować cały świat, a zwłaszcza uczniów, pomogła mi stać się szczęśliwą właścicielką ślicznego niedużego domku, który urzekł mnie rustykalnym stylem i w którym mieszkam do dziś. Nie wiedziałam jeszcze, że ten domek wkrótce odmieni moje życie.

– Moja rola – ciągnęła przyjaciółka – polega na umożliwieniu ludziom znalezienia wymarzonego domu. Ale nie obchodzi mnie już, co potem z nim zrobią. To dotyczy także ciebie. Twoim zadaniem jest dać uczniom klucz do zrozumienia świata, aby mogli podejmować samodzielne decyzje. Nie możesz za nich decydować ani wyręczać ich w rozwiązywaniu problemów.

Chciałam powiedzieć Cécile, że nawet jeśli częściowo ma rację (a muszę przyznać, że często tak bywa), to przykro mi patrzeć, jak uczniowie marnują swoje cenne szare komórki, kopiując, zamiast myśleć samodzielnie, i że uznawałam to za osobistą porażkę, ale właśnie wtedy, gdy otwierałam usta, rozległ się dzwonek u drzwi, a przybycie Angélique spowodowało natychmiastową zmianę tematu, co zresztą było mi raczej na rękę. Tym razem, choć zdarzało się to niezwykle rzadko – nie do końca zgadzałam się z pozostałymi co do mojego zaangażowania w życie uczniów, ale po

nieprzespanej nocy czułam się zbyt zmęczona, żeby bronić swoich racji z godnym tej sprawy zapalem.

Dalszy ciąg rozmowy musiał poczekać, aż odbuduję wszystkie połączenia neuronów.

– Cześć, dziewczyny, przepraszam za spóźnienie! – zawołała Angélique, szybko wchodząc do butiku.

Jedyna oficjalnie „związana” członkini naszej grupy była też mamą uroczego Oliviera, którego czasami zabierała ze sobą, żebyśmy mogły z nim pogaworzyć, dając ujście zachwytowi i zupełnie się nie hamując przy takim maleństwie. Wykorzystywałyśmy te okazje ku obopólnemu zadowoleniu.

– Cześć, Angèle – powiedziałam, uśmiechając się ciepło do przyjaciółki. – Co u ciebie? Nie wzięłaś dziś swojego słoneczka?

Angélique przysiadła się do nas i od razu wyjęła robótkę.

– Nie, został z tatą – wyjaśniła. – Poza tym wszystko w porządku. A co u was? O, ciasteczka! Ty je przyniosłaś, Flavie?

Pokiwałam głową.

– Jesteś aniołem! Hmm! Pycha! Kiedyś musisz mi podać przepis...

– Angélique, przecież ty nie potrafisz ugotować nawet makaronu – sprowadziła ją na ziemię Cécile, która nie przepuściła żadnej okazji, żeby dociąć którejś z nas. – A co dopiero mówić o ciasteczkach!

– Ale to nie dla mnie, tylko dla Hervégo!

– Tak właśnie myślałam...

– Przecież wiecie, że już dawno zrezygnowałam z gotowania i powiem wam szczerze, że mój mąż wygląda tak seksownie, kiedy się kręci po kuchni, że wcale tego nie żałuję. Wolę usiąść sobie z boku z kieliszkiem wina i patrzeć na niego.

– Zbyt często nie docenia się uwodzicielskiej mocy białego fartuszka i mąki na rękach – stwierdziła Vic.

– Amen! – podsumowała Angélique. – Flavie, skoro już mowa o facetach i uwodzeniu – podjęła, zwracając na mnie oczy, w których płonęła nieposkromiona ciekawość – mam piekielną ochotę poznać dalszy ciąg twojej powieści. Czy Liam i Clarissa będą już teraz razem? Rozmawiali ze sobą? Powiedział Clarissie, kim jest ta blondynka, z którą był tamtego wieczoru? Co ustalili? Widzisz, bo wszystko to fajne i miłe, ale w życiu są sprawy naprawdę ważne!

Liam i Clarissa byli dwojgiem głównych bohaterów romansu, który właśnie

pisałam, i to przez nich miałam dziś takie małe i podkrążone oczy.

– Przyznam się wam, że ja też konam z ciekawości! – dodała Bérénice. – Myślałam o nich przez cały tydzień!

– No cóż... owszem, rozmawiali ze sobą.

W kilku słowach przedstawiłam najnowsze fakty, te świeże, z dzisiejszego ranka. Dziewczyny odpłaciły mi komentarzami. Mówiły jedna przez drugą i wszystkie równocześnie. Najbardziej lubiłam chwile, gdy dyskutowałyśmy o moich bohaterach. Czułam się wtedy tak, jakby stworzone przeze mnie postacie ożywały poza moją głową i komputerem. Rozmawiałyśmy o nich jak o prawdziwych ludziach, a czasem nawet wydawało mi się, że lada chwila otworzą drzwi i wejdą do „Nici Ariadny” albo do „Delicji Bereniki”.

– I dlatego mam takie podkrążone oczy – zakończyłam. – Liam nie pozwolił mi spać przez prawie całą noc.

– A co planujesz dalej? Czy to już koniec?

– Nie, mam w głowie jeszcze kilka pomysłów.

Przez dwie następne godziny gawędziłyśmy, przeskakując z tematu na temat – jak w każdy wtorek. Mówiłyśmy o moich powieściach i planowanych przez każdą z nas robótkach, no i oczywiście o mężczyznach, ciasteczkach i literackich odkryciach ostatnich dni, a wszystko przy wtórze śmiechu. Żadna już nie wróciła do kwestii moich uczniów.

Jak w każdy wtorek, czas mijał nam bardzo szybko.

Nie zdawałam sobie wówczas sprawy, że wkrótce w moim życiu dokona się radykalna zmiana. Nie wiedziałam, że po tym wieczorze nic już nie będzie takie jak kiedyś.

Po spotkaniu w butiku wybrałyśmy się do ulubionej naleśnikarni. Nie dość, że jedzenie mieli tam nieziemskie, to jeszcze trudno było się oprzeć uśmiechowi właściciela, który bardzo nas lubił i zawsze, kiedy go odwiedzałyśmy, częstował nas dodatkowo łakociami. Któż nie zadurzyłby się w takim mężczyźnie? My miałyśmy do niego słabość, więc po każdym wieczorku z robótkami lądowałyśmy w naleśnikarni.

Wracałam do domu już po zachodzie słońca, postanowiłam jednak iść przez plażę. Spędziłam w Karouac już pięć lat i przez ten czas zdążyłam się zakochać w wybrzeżu. Wtulone między różowe granity miasteczko stało się moim małym skrawkiem morza i piasku. Z biegiem lat nzbierałam sobie

wspomnień, z których każde było równie cenne. Tu ciągnęła się plaża kąpieliska, przepelniona latem, pusta przez resztę roku. Dalej znajdowała się zatoczka, odizolowana od miasta i dostępna tylko podczas odpływów. Lubiłam tam siadać, gdy chciałam spokojnie pisać albo po prostu pomyśleć o moich bohaterach, wsłuchując się w szum fal. Było jeszcze moło, przerobione na promenadę, na której końcu siadałam w słoneczne dni, stawiając przy ławce termos. Oglądałam zachody słońca i robiłam na drutach.

Cóż z tego, że przez całe życie (czyli do wyjazdu na studia) mieszkałam w Lannion, skoro to pięcioletnie Karouac ze swym rustykalnym charakterem i ukwieconymi ogródkami podbiło moje serce? Po pięciu latach miasteczko stało się moim macierzystym portem i dziś nie potrafiłam sobie wyobrazić życia w innym miejscu. Byłam tu u siebie.

Po kwadransie pchnęłam furtkę i spędziłam kilka minut w ogródku przed domem, podziwiając moją „posiadłość” z uśmiechem na twarzy i dumą w sercu.

Zakochałam się bez pamięci w tym uroczym domku, kiedy tylko ujrzałam go po raz pierwszy. Wybudowany z szarego kamienia, miał niebieskie okiennice, a od plaży dzieliło go kilkaset metrów. „Dom dyrektora” – tak go tu nazywano, z prostego powodu: przez wiele lat mieszkał w nim dyrektor pobliskiej szkoły podstawowej. Kiedy szkołę przeniesiono do nowego, bezpieczniejszego budynku na drugim końcu miasta, a stary opustoszał, dom wystawiono na sprzedaż, ale nazwa pozostała.

Kiedy przeniosłam się do Karouac, nie zamierzałam tak szybko kupować domu, ale ten tak mnie urzekł, że nie mogłam się pogodzić z myślą, iż mógłby zamieszkać w nim ktoś inny. Dlatego spotkałam się z moim doradcą w banku i zaciekle, z przekonaniem walczyłam o kredyt, a już po kilku tygodniach Cécile dała mi klucze i mogłam zamieszkać u siebie.

Od tamtej pory nie było dnia, żebym nie gratulowała sobie tej decyzji. Uwielbiałam ten dom i czułam, że on też mnie pokochał.

Przed wejściem wyjęłam pocztę ze skrzynki, jednak w pierwszej chwili nic nie zwróciło mojej uwagi. Kilka kopert z reklamami, nic nadzwyczajnego. Położyłam je na stole, przy komputerze, a potem weszłam do kuchni, by zrobić sobie herbatę. Padałam z nóg, postanowiłam jednak napisać kilka akapitów i zakończyć przynajmniej ten rozdział.



Z parującą filiżanką w ręce włączyłam komputer, a kiedy ładowały się różne programy, mimochodem zerknęłam na korespondencję. Rachunek, rachunek, rachunek. Kilka reklam. Już miałam odłożyć wszystko na stół, nie otwierając (do faktur zdążę zajrzeć jutro), gdy na spodzie stosu zauważyłam poźółkłą kopertę, która wyglądała na dziwnie starą. Była zaadresowana do Amélie Lacombe. Na wierzchu zobaczyłam naklejoną etykietę z symbolem poczty i kilka napisanych na maszynie słów: „Przepraszamy za opóźnienie, z jakim list dotarł do adresata”.

I tyle. Żadnych innych wyjaśnień.

Zmarszczyłam brwi. Amélie Lacombe... Z tego, co wiedziałam, dom przez wiele lat stał pusty, zanim go kupiłam. Nie pamiętałam dokładnie, jak się nazywali ostatni lokatorzy domku, ale to nazwisko było mi obce.

Z zaciekawieniem spojrzałam na datę stempla pocztowego: 1971.

Ten list wysłano w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym roku, a dopiero dziś, po czterdziestu trzech latach, dotarł do celu. Osoba, do której był adresowany, prawdopodobnie wyniosła się stąd przed kilkudziesięciu laty. I to się nazywa opóźnieniem...

Nagle przypomniałam sobie artykuł przeczytany kilka miesięcy wcześniej. Pisano w nim o pocztówce, która dotarła pod wskazany adres po piętnastu latach. Wędrowała po kraju w ślad za adresatem, gdyż przez ten czas kilka razy się przeprowadzała. Rozbawiła mnie owa historyjka i pomyślałam, że to niezły pomysł na powieść.

I oto znalazłam się w takiej samej sytuacji.

Nie trzeba było niczego więcej, by rozbudzić moją wyobraźnię. Wzięłam do ręki list i odwróciłam kopertę, szukając nazwiska nadawcy, ale go nie podano. Cholera!

Znów odwróciłam kopertę i wpatrywałam się w drobne, staranne pismo nadawcy. A gdyby... Gdyby tak go otworzyć? Może w środku znajdę jakieś informacje o nadawcy? Ale powstrzymały mnie przed tym zasady, w jakich zostałam wychowana. To był list prywatny.

Tak, ale liczył sobie czterdzieści trzy lata.

Co to zmienia, czyżby życie prywatne mogło się przeterminować?

Jeszcze przez chwilę toczyłam dyskusję z samą sobą, a potem podjęłam decyzję. Otworzę list, a jeżeli jego treść okaże się tego warta, postaram się przesłać go osobie, dla której był przeznaczony.

Otwarcie koperty w taki sposób, żeby jak najmniej ją uszkodzić, okazało się

łatwiejsze, niż sądziłam. Przez te wszystkie lata klej wysechł, wystarczyło więc lekkie dotknięcie palcem (a raczej nożykiem do papieru), żeby skrzydełko się odchyliło. Delikatnie wyjęłam jedną kartkę, która była w środku, i ją rozłożyłam. W prawym górnym rogu ujrzałam nadruk oberży w La Rochelle. Na środku widniało tylko kilka nakreślonych pewną ręką akapitów.

*La Rochelle, 12 września 1971*

*Ukochana, Najdroższa!*

*Mijają już trzy tygodnie z dala od Ciebie. Trzy długie tygodnie, w ciągu których nie oszalałem tylko dzięki wspomnieniu Twoich perfum, Twego głosu, który szeptał mi czułe słówka do ucha, Twojej delikatnej skóry pod moimi palcami, smaku Twoich pocałunków. Każda godzina, każda sekunda spędzona z dala od Ciebie, jest dla mnie katorgą. Tęsknię za Tobą, Amélie, moja perełko, mój skarbie. Brakuje mi Ciebie tak, że nie potrafię tego wyrazić słowami, jak nigdy nikogo innego. Już nie chcę i nie mogę żyć bez Ciebie.*

*Lili, błagam, przyjedź do mnie. Przyjedź i wyjdź za mnie. Opuszczę Braci Czeladników i pójdę za Tobą tam, gdzie będziesz chciała. Wiem już dosyć, żeby pracować wszędzie i dla każdego. Kiedy jesteś ze mną, nie liczy się miejsce ani to, co robię... Ty jedna potrzebna mi jesteś do życia. Tylko to jest dla mnie ważne.*

*Kochana Lili, napisz do mnie, przyjedź pod adres wskazany w nagłówku listu. Będę tu na Ciebie czekał co wieczór przez dwa tygodnie, przez trzy tygodnie, a choćby i miesiąc, jeśli trzeba, jeśli o to poprosisz. Błagam, odpisz na ten list, napisz do mnie i powiedz, że przyjedziesz.*

*Kocham Cię.*

*E.*

Nie wiem, ile razy przeczytałam ten list. Pięć, sześć, dziesięć. Tak czy inaczej, po dziesięciu minutach mogłam już recytować go z pamięci, nie zerkając na kartkę.

Nigdy niczego takiego nie czytałam. Wyczuwałam kryjącą się za słowami desperację autora i miłość, jaką darzył Amélie. Ścisnęło mnie w gardle, kiedy sobie uświadomiłam, że list do niej nie dotarł.

Nigdy się nie dowiedziała, że ów E. na nią czekał.

Do głowy cisnęły mi się setki pytań.

Czy autor listu czekał na nią dniami, tygodniami, miesiącami – tak jak obiecał – i nie wiedząc, czy przyjedzie, co wieczór doznawał zawodu? A może w końcu napisał nowy list? Czy ta Amélie dowiedziała się kiedyś, że gdzieś w La Rochelle czeka na nią ukochany? I co stało się potem? Czy wyruszył bez niej w dalszą drogę, czy też może wrócił tu po nią?

Tajemnica, która kryła się za tym listem, nękała ciekawość historyka i wyobraźnię pisarki, a mój mózg już snuł różne teorie i tworzył scenariusze. A jeśli E. mimo wszystko po nią wrócił? Jeśli się spotkali? Albo przeciwnie – jeżeli już nigdy się nie zobaczyli? Jeżeli los i kaprys poczty na zawsze rozdzieliły bratnie dusze?

Delikatnie, wolno złożyłam list, wsunęłam go do koperty i starannie schowałam do szuflady biurka. A potem wyłączyłam komputer, nawet nie otwierając pliku.

Wiedziałam, że tego wieczoru już nie ma sensu próbować – nie napisałabym ani słowa, bo myślami byłam daleko od moich bohaterów.

Rozmyślałam nad losami Lili i jej tajemniczego E.

\*\*\*

## KAROUAC, BRETAGNIA

14 LIPCA 1971

Zabawa rozkręciła się na dobre.

Oparty o barowy bufet Erwan beztrąsko gawędził z kilkoma kolegami, kątem oka zerkając na pary, kręcące się w rytm melodii akordeonu i dud. Parkiet był prowizoryczny, wczoraj zamontowano estradę dla muzyków i ustawiono stoliki i krzesła, żeby tancerze mogli odpocząć w przerwach.

Erwan wypił łyk cydru, który nie był najlepszy, podobnie zresztą jak muzyka, ale to przecież nie miało znaczenia. Atmosfera była radosna i życzliwa, a jego zdaniem właśnie nastrój się liczył w takie wieczory.

Zostało mu już tylko kilka tygodni do końca kontraktu. Potem spakuje rzeczy

i wyruszy w inne miejsca, do innych pracodawców. Marzył o tym. Chciał jak najszybciej zmienić powietrze, odkryć coś nowego. Miał wrażenie, że tu zrobił już wszystko, co mógł, nauczył się wszystkiego, czego miał się nauczyć, i aż się palił do nowych wyzwań i poznawania nowych ludzi.

Kiedy prawie rok temu przyjechał do Karouac, żeby się doskonalić w kamieniarskim rzemiośle u boku Braci Czeladników, tutejsi mieszkańcy przyjęli go serdecznie i z szacunkiem, podobnie jak witali tu każdego obcego, który do nich zawitał. Jednak w ich oczach do dziś pozostał, kim był. Obcym. Dostrzegał to w spojrzeniach, czuł w uściskach ręki, w uprzejmości tutejszych ludzi. Jest i do końca życia pozostałby dla nich przybyszem. I może nawet tak właśnie było dobrze. Dzięki temu łatwiej mu będzie stąd wyjechać. Prawdę mówiąc – wyjedzie z ochotą.

Jego uwagę przyciągnęło jakieś poruszenie z lewej strony. I właśnie wtedy ją zobaczył. Tę dziewczynę. Przyszła z inną, chyba swoją rówieśnicą. Wyglądały na siedemnastolatki. Była z nimi jeszcze jedna, młodsza o kilka lat. Wszystkie trzy trzymały się na uboczu, choć z zazdrością patrzyły na tańczących. Ona miała na sobie czerwoną sukienkę-trapez, bez rękawów, z szerokim białym paskiem nisko na biodrach. Rude loki przytrzymała biała opaska. Erwan przełknął ślinę, serce mu biło jak po długim biegu. Ta dziewczyna była cudowna.

Koleżanka pięknej nieznajomej coś do niej powiedziała i zaczęła się śmiać. Ze swojego miejsca Erwan nie słyszał, o czym rozmawiały, ale mógł niepostrzeżenie obserwować każdą reakcję, każdą minę rudowłosej i był zauroczony.

A potem dziewczyna powiodła wzrokiem po twarzach ludzi wokoło, jej spojrzenie natrafiło na wpatrzone w nią oczy Erwana i na moment się zatrzymało, aż zachęcony tym pozwolił sobie na uśmiech. Odpowiedziała uśmiechem, a wówczas poczuł się, jakby nad jego głową już wybuchały pióropusze sztucznych ogni. Skinęła mu głową, nadal nie odwracając wzroku.

I trwali tak, patrząc na siebie, dopóki jakiś chłopak nie podszedł, by zaprosić ją do tańca. Wtedy odeszła z nim na parkiet.

– Przyniosę coś do picia – powiedziała France, kiedy we trzy usiadły przy stoliku. – Chantale, rusz się, chodź ze mną, pomożesz mi przynieść szklanki!

– Ale ja wolę zostać z Amélie!

– A jak ja mam sama wziąć trzy szklanki? Nie każemy chyba robić tego Amélie w dniu jej urodzin. No już, wstawaj!

– No dobrze, idę! – jęknęła Chantale.

Rozbawiona Amélie obserwowała młodszą koleżankę, która powłócząc nogami, ruszyła za starszą siostrą. Jej najlepsza przyjaciółka lubiła przypominać małej, że to ona, France, jest najstarsza w domu. W ten sposób kompensowała sobie fakt, że rodzice zmuszali ją, żeby zawsze zabierała ze sobą Chantale. Amélie odprowadziła je wzrokiem aż do barku, a potem spojrzała na parkiet, szukając twarzy, której dotąd nie mogła dostrzec.

Westchnęła w duchu. W głębi serca liczyła, że chłopak, który wpadł jej w oko, zaprosi ją do tańca. Serce uderzyło jej trochę szybciej, gdy przypomniała sobie zwrócone na nią oczy (z tak daleka nie widziała, jakiego są koloru), czarujący uśmiech, ciemne, niesforne włosy, które najwyraźniej nie chciały dać się porządnie uczesać. Siedzieli, toteż nie była tego pewna, ale nieznajomy sprawiał wrażenie wysokiego i dobrze zbudowanego. I był młody, miał najwyżej dwadzieścia lat. To tylko trochę więcej niż jej świeża, dzisiejsza osiemnastka – kolejny krok ku dorosłości i prawu dokonywania własnych wyborów, bez konieczności uzyskania zgody rodziców. Już teraz bała się rozmowy, którą będzie musiała z nimi przeprowadzić w najbliższych dniach, żeby otrzymać ich podpis.

– Przepraszam, zechce pani zatańczyć?

Czyjś głos tuż za nią zatrzymał Amélie na niebezpiecznym szlaku, jaki obrały jej myśli. Drgnęła. Odwróciła się, trzymając rękę na sercu i... stanęła oko w oko z młodym nieznajomym, który przed chwilą rozbudził w niej marzenia.

Zanurzyła spojrzenie w szarych, wpatrzonych w nią oczach i nie dając sobie czasu na refleksję, powiedziała:

– Tak.

Przeprosiła lekkim uśmiechem France, wracającą z Chantale, wstała i wsunęła dłoń w wyciągniętą rękę nieznajomego, by pójść za nim na parkiet. Miał silne, spracowane dłonie. Ręce robotnika. Zastanawiała się, jaki wykonuje zawód. Nigdy wcześniej go nie spotkała, ale to o niczym nie świadczyło. Przez cały rok szkolny mieszkała w internacie prywatnej szkoły, kilkadziesiąt kilometrów od domu, a do Karouac przyjeżdżała tylko na wakacje. Śmiertelnie się tu nudziła, na szczęście jednak jej najlepsza

przyjaciółka France była w takiej samej sytuacji, więc razem robiły wszystko, by czas płynął jak najszybciej.

Znaleźli się na parkiecie i chłopak stanął twarzą do niej. Uśmiechnął się i bez słowa, patrząc Amélie głęboko w oczy, swobodnie i umiejętnie poprowadził ją do tańca przy dźwiękach szalonej melodii.

Kiedy muzyka ucichła, nie puścił Amélie, nie odsunął się, nie podziękował, nie odprowadził jej do stolika. Przeciwnie, zapatrzony w jej oczy, zaczął:

– Czy...

– Tak – odparła zadyszana.

Zgodziła się na następny taniec, potem na jeszcze jeden. I jeszcze jeden. Po kilku szybkich kawałkach zespół zagrał spokojną, romantyczną balladę. Nawet nie pytając, chłopak objął ją w pasie, drugą ręką ujął jej prawą dłoń i łagodnie przyciągnął Amélie do siebie. Nie protestowała. Poddawała się jego woli.

Bo w głębi duszy właśnie tego pragnęła. Żeby wziął ją w ramiona.

– Erwan – szepnął jej do ucha po kilku sekundach milczenia. – Mam na imię Erwan.

– Amélie.

– Bardzo mi miło, Amélie – powiedział, lekko skłaniając głowę.

Amélie z uśmiechem powtórzyła jego ruch.

– Mnie również.

## ROZDZIAŁ 2

W najbliższą sobotę postanowiłam odwiedzić ojca, który prowadził w Lannion sklep z antykami. Musiałam porozmawiać z kimś o tym liście, gdyż od kilku dni bez reszty zaprzętał moje myśli, a w takich sytuacjach było naturalne, że zwracam się do ojca. Odkąd pamiętam, zawsze zwierzałam się właśnie jemu i do niego szłam po radę. Kiedy miałam ochotę po prostu pogadać, tata okazywał się najlepszym rozmówcą. Był najbliższym człowiekiem, jakiego miałam, podobnie zresztą jak dziewczyny z klubu robótek ręcznych.

Późnym popołudniem, kiedy z poczuciem wielkiej ulgi sprawdziłam ostatni zeszyt (co osobiście uważałam za swoistą odmianę syzyfowej pracy), wskoczyłam do czerwonego citroena, zwanego Biedronką, i ruszyłam do Lannion.

Po kwadransie, wchodząc do sklepu przy znajomym i miłym dla ucha dzwonku, wiszącym w drzwiach, cofnęłam się o wiele lat, do dzieciństwa, gdy przychodziłam tu, by spędzić z ojcem popołudnie wśród przedmiotów stanowiących jego życie.

Wolnym krokiem szłam alejkami, które znałam jak własną kieszeń, gdy z zaplecza rozległ się głos ojca:

– Już idę!

– Jeżeli będziesz zostawiał klientów bez nadzoru, to w końcu kiedyś cię okradną – ostrzegłam go, gdy po chwili wyszedł z ukrycia. Czule pocałowałam go w policzek.

– Moja ulubiona córeczka!

– Tato, jestem twoją jedyną córką.

– Co nie oznacza, że nie możesz być ulubioną! Co u ciebie?

– Wszystko w porządku. A jak ty się miewasz?

– Doskonale! Właśnie dostałem istne cudenisko. Sama zobacz!



Wszedł za ladę, wyjął coś i do mnie wrócił. Cudeńko okazało się naprawdę wyjątkowe. Był to mahoniowy kuferek na biżuterię, pokryty patyną czasu, prawdopodobnie z końca dziewiętnastego wieku. Miał wiele szufladek, w tym jedną sekretną, którą ojciec natychmiast mi pokazał.

– Odkryłem ten schowek zupełnie przypadkowo, czyszcząc kuferek.

– W środku coś było?

– Nie, niestety nie.

– Jak myślisz, co mogła skrywać ta szufladka? Liściki miłosne? Listę zakupów?

– Zwycięski kupon lotto, ukryty tu przez właścicielkę, która nie chciała, żeby ktokolwiek wiedział, że grywa w takie gry, a potem zapomniała o nim na całe lata?

– I nikt nigdy nie odebrał wygranej...

– Co za historia...

Bawiliśmy się tak bardzo często, kiedy byłam mała. W sobotnie popołudnia przychodziłam odrabiać lekcje na zapleczu. Siadałam w wyściełanym aksamitem fotelu ojca, czułam się duża i ważna przy jego biurku z czarnego dębu. Odrabianie lekcji zajmowało mi tylko chwilę, bo chciałam jak najszybciej biec do taty i bawić się z nim w opowiadanie historyjek.

Zawsze sprawdzał moje prace domowe, poprawiał błędy, odpytywał mnie, ćwiczył w tabliczce mnożenia. A potem, kiedy uważał, że wykonałam zadania, wybierał jakiś przedmiot ze sklepu i godzinami bawiliśmy się we wspólne wymyślanie najdziwniejszych, zabawnych, romantycznych albo dramatycznych historii. Ten, kto ułożył najlepszą opowieść, miał prawo wybrać dania na sobotnią kolację. Muszę przyznać, że często to mnie przypadła wygrana, ale wtedy tak niewiele jeszcze wiedziałam.

Dziś, wspominając te godziny spędzone na wyobrażaniu sobie historii różnych przedmiotów, wytyczaniu szlaków, jakie przemierzyły, i odtwarzaniu losów postaci historycznych, myślę, że to przez ojca, a raczej dzięki niemu, piszę. Opowieści taty kształtowały moją wyobraźnię tak samo (a może nawet bardziej) jak książki, które czytał mi przed snem. Lubiłam słuchać, jak opowiada mi o życiu wielkich ludzi, a także tych zwyczajnych, anonimowych. Do dziś zdarza mi się prosić go czasem, żeby coś mi opowiedział, bo czuję się wtedy, jakbym znów miała dziesięć lat.

– A skoro już mowa o historiach, to co z twoimi powieściami? – zapytał, jakby czytając w moich myślach. – Zdecydujesz się w końcu pokazać je

jakiemuś wydawcy?

– Tato, przecież dobrze wiesz, że nie piszę, żeby je drukowano, tylko dla przyjemności!

– To nie znaczy, że nie możesz spróbować pokazać ich komuś...

– Nie wiem, tato. Chyba nie jestem jeszcze na to gotowa. To tylko romanse, a nie książki, jakie się teraz wydaje.

Powtarzaliśmy te kwestie co najmniej sto razy od tamtego ranka, kiedy ojciec przyłapał mnie na gorączkowym stukaniu w klawiaturę. Przyznałam mu się wtedy do swojej drobnej słabostki. Odtąd, chociaż nie dawałam mu do czytania wszystkiego, co pisałam (byłam mimo wszystko trochę skrupowana, a próbowałam sił w różnych typach powieści), stał się moim największym fanem i wielbicielem. Oczywiście moimi fankami były też przyjaciółki-dziewiarki.

Ojciec nic nie powiedział, ale wiedziałam, że wciąż o tym myśli. Ta rozmowa jeszcze się nie skończyła.

Odstawił mahoniową skrzyneczkę na biżuterię i spojrzał mi prosto w oczy.

– A teraz powiedz, co cię sprowadza, pchełko?

– Czy nie mogę odwiedzić własnego ojca bez powodu?

– Oczywiście, że możesz, dobrze o tym wiesz. – Spojrzał na mnie z ojcowską miłością. – Ale nie zapominaj, że znam cię jak nikt inny, Flavie. I wiem, że dziś przyjechałaś z konkretnego powodu.

Był niesamowity. Niczego nie dało się przed nim ukryć.

– Masz rację – westchnęłam. – Jest coś, o czym chciałabym ci powiedzieć.

Wyjęłam z torebki list. Żeby nie uległ zniszczeniu, włożyłam go do przezroczystej plastikowej koszulki. Pokazałam kartkę ojcu, on zaś wsunął na nos okulary do czytania, a potem uważnie ją obejrzał i przeczytał. Milczał. Kiedy już zapoznał się z treścią, zwrócił na mnie oczy, w których lśnił tajemniczy blask.

Znałam to spojrzenie. Moje oczy też tak błyszczały, od chwili, gdy po raz pierwszy dotknęłam listu.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytał ojciec.

Zawahałam się.

– A co twoim zdaniem powinnam zrobić?

– Gdybym był na twoim miejscu... chyba spróbowałbym się dowiedzieć czegoś więcej. Z ciekawości.

Uśmiechnęłam się. Wcale mnie nie zaskoczył. Niedaleko pada jabłko od

jabłoni, jak to się mówi.

– Właśnie to postanowiłam zrobić.

Teraz to on się uśmiechnął.

– Nie wątpiłem ani przez sekundę. Znając cię, domyślam się, że opracowałaś już strategię działania.

– Naprawdę aż za dobrze mnie znasz, tato.

– Od prawie dwudziestu dziewięciu lat jestem twoim ojcem. To coś daje!

– Masz rację.

– W takim razie opowiadaj.

Tak właśnie zrobiłam.

Powiedziałam mu wszystko. Przedstawiłam wszystkie pomysły dalszych działań, wszystkie wersje tej historii, które przysły mi do głowy.

Znowu miałam dziesięć lat i razem szukaliśmy na niebie komety. Ale teraz już nie zamierzałam ograniczyć się do mówienia. Postępowałam jak historyk, wyruszając na poszukiwanie śladów przeszłości.

Tym razem miałam zamiar wyjaśnić zagadkę do końca.

Nie tracąc czasu, przystąpiłam do realizacji planu, który opracowaliśmy wraz z ojcem, i już w poniedziałek rano, w przerwie między lekcjami, zadzwoniłam do nowej szkoły podstawowej, żeby poprosić dyrektora o spotkanie.

Ponieważ miałam bardzo mało informacji na temat autora listu (nie podpisał się nawet pełnym imieniem), postanowiłam zacząć poszukiwania od Amélie i domu dyrektora. Bo jeśli był ktoś, kto mógłby mi pomóc w zdobyciu informacji o osobach, które niegdyś mieszkały w moim domku, to chyba właśnie obecny dyrektor. Nawet gdyby sam nic nie wiedział, miał dostęp do szkolnych archiwów, o ile oczywiście zachowały się jakieś dokumenty dotyczące tej sprawy.

Tak czy inaczej, od czegoś trzeba było zacząć, a szkoła wydawała mi się najoczywistszym i najdostępniejszym punktem wyjścia.

Niestety, dyrektor mógł się ze mną spotkać dopiero nazajutrz wieczorem. Musiałabym zrezygnować ze spotkania w naszym klubie... Mimo to zgodziłam się, a dziewczętom przesłałam SMS-y z przeprosinami, obiecując, że wszystko wyjaśnię, kiedy tylko nadarzy się okazja.

Obecny dyrektor podstawówki w Karouac wyglądał na trzydziestopięciolatka i był przystojnym mężczyzną o atletycznej sylwetce i czarującym uśmiechu. W gimnazjum z pewnością zrobiłby furorę wśród pań – i uczennic, i nauczycielek.

– W czym mogę pani pomóc, pani Richalet? – zapytał, kiedy już się przywitaliśmy i gdy podziękowałam za kawę, którą mi zaproponował.

– Proszę mówić do mnie Flavie, panią Richalet jestem dla uczniów.

– A zatem pani też uczy?

– Owszem – odrzekłam z uśmiechem. – Ale moi uczniowie są trochę starsi od pańskich, uczę historii i geografii w gimnazjum w Lannion.

– W czym więc mogę pani pomóc, Flavie?

Długo się zastanawiałam, co powiedzieć, żeby uzasadnić moje pytania. Czy powinnam wspominać o liście i jego treści? Czy zachować szczegóły dla siebie? Kilka razy zmieniałam zdanie, aż w końcu zdecydowałam się na rozwiązanie kompromisowe.

– Otóż, dziwny splot okoliczności sprawił – zaczęłam – że wpadł mi w ręce stary dokument z roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego. Zostało w nim wymienione nazwisko „Lacombe” w powiązaniu z dawnym domem dyrektora szkoły. Chciałabym zebrać trochę informacji i przekonać się, czy zdołam coś ustalić. Wie pan, jacy są historycy – dodałam, celowo łącząc moje zainteresowanie dokumentem z profesją – wystarczy drobiazg, żeby rozbudzić w nas ciekawość i skłonić do szperania w archiwach, byle odnaleźć jakiś ślad przeszłości.

W głębi ducha przepraszałam wszystkich historyków świata za posłużenie się tym banalnym i zupełnie fałszywym stereotypem. No, fałszywym w większości przypadków, bo prawdę mówiąc, do mnie w tej sytuacji przystawał idealnie.

– Wiem, że w tamtych czasach dom stanowił część szkoły – podjęłam, odsuwając od siebie tę refleksję – pomyślałam więc, że być może mają tu państwo archiwa, do których mogłabym zajrzeć, żeby znaleźć coś, co mi pozwoli zacząć poszukiwania.

– Rozumiem – powiedział dyrektor. – Niestety, nie jestem w stanie pomóc pani w tych poszukiwaniach, ponieważ archiwum szkoły sprzed tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku uległo zniszczeniu na skutek zalania. Nic nie przetrwało. Naprawdę, bardzo mi przykro – oświadczył, patrząc na mnie ze smutkiem. – Bardzo chciałabym pani pomóc!

Aj... Kiepsko się zaczynało. Miałam wielką nadzieję, że znajdę coś w szkole. No trudno, pomyślałam. Jeszcze nie wszystko stracone. Jest wiele innych tropów, którymi można podążać. Przecież gdzieś tu musi mieszkać ktoś, kto pamięta Karouac z lat siedemdziesiątych i może udzielić mi informacji. Wystarczy po prostu odnaleźć tę osobę.

– No tak, cóż – powiedziałam, wstając – mimo wszystko dziękuję. Będę musiała obrać inną strategię i szukać w innych miejscach. Przepraszam, że zajęłam panu tyle czasu – dodałam, uśmiechając się blado.

– Nie ma o czym mówić! Naprawdę chciałbym pani jakoś pomóc!

– Zanim oddam pana rodzinie – odezwałam się pod wpływem intuicji – zapytam jeszcze, czy nie zna pan kogoś, kto mógłby mi ewentualnie pomóc?

– Niech pomyślę... Nie, nie wiem... A, co ze mnie za głupiec! Jest przecież Chantale!

– Chantale?

– To jedna z naszych nauczycielek. Pracuje tu od bardzo dawna, o ile się nie mylę, tutaj zaczynała. Proszę zostawić mi numer telefonu, a ja jutro poproszę ją, żeby się z panią skontaktowała, jeśli pani pozwoli.

Rozczarowanie opuściło mnie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki i natychmiast odzyskałam nadzieję, że wkrótce zdobędę cenne informacje.

– Tak, bardzo chętnie ją poznam i porozmawiam z nią, jeżeli zechce poświęcić mi chwilę – odpowiedziałam najspokojniej, jak mogłam. – Bardzo panu dziękuję, panie dyrektorze. Jestem wdzięczna za pańską pomoc.

– Proszę mówić do mnie Christophe. Panem dyrektorem jestem tylko dla uczniów!

– Z przyjemnością – odrzekłam rozbawiona, gdyż mrugnął do mnie łobuzersko. – Christophe.

– W takim razie wszystko uzgodnione, Flavie. Porozmawiam z panią Dumas i skontaktuję się z panią.

– Dziękuję, Christophe. Czekam na pański telefon.

Opuściłam szkołę lekkim krokiem, a w drodze do domu uśmiech nie zniknął z mojej twarzy. Jeżeli pani Dumas uczyła tu przez całe życie, to prawdopodobnie dużo wie o tym mieście. Może nawet знаła osobiście dyrektora szkoły z wczesnych lat siedemdziesiątych?

Przez miniony tydzień często myślałam o tożsamości Amélie, czy też Lili, jak

zwracał się do niej tajemniczy autor listu. Szybkie poszukiwania w Internecie niewiele dały, przynajmniej dotąd. Na razie nie mogłam poświęcić tej sprawie dość czasu, a skoro dysponowałam tak skąpymi danymi, trudno mi było natrafić w Internecie na istotne informacje z czasów, kiedy informatyka dopiero raczkowała.

Prawdę mówiąc, przypominało to szukanie igły w stogu siana. Nie wiedziałam, czy Amélie naprawdę mieszkała w domu dyrektora, czy na przykład przyjechała tu tylko z wizytą albo na wakacje. Czy należała do rodziny dyrektora? Żeby mieć szansę odkrycia zagadki listu, musiałam zacząć od ustalenia, kim była adresatka. Czekaając na telefon od Christophe'a, wykorzystałam wolne środowe popołudnie, żeby skoczyć do merostwa, gdzie miałam nadzieję uzyskać jakieś – choćby skromne – informacje.

Sekretarka w recepcji powitała mnie uprzejmym uśmiechem.

– Dzień dobry, w czym mogę pani pomóc?

– Dzień dobry. Otóż, chciałam zasięgnąć informacji na temat osób, które mieszkały w dawnym domu dyrektora na początku lat siedemdziesiątych, a dokładnie w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym.

– Pozwolę sobie zapytać, do czego potrzebne są pani te dane?

W odpowiedzi usłyszała przygotowaną wcześniej historię o przypadkowo odnalezionym dokumencie i poszukiwaniach, które podjęłam, nie poznała jednak żadnych szczegółów.

– Rozumiem, ale jakiej pomocy pani ode mnie oczekuje? – zapytała, marszcząc brwi.

– Otóż dom należał wówczas do miasta, więc pomyślałam, że można u państwa ustalić, kto w nim zamieszkiwał. Nie wiem, może mogłaby pani podać mi nazwisko lokatorów albo na przykład poinformować, kto był wtedy dyrektorem szkoły. Bardzo ułatwiłoby mi to poszukiwania.

Sekretarka obserwowała mnie bacznie.

– Z pewnością posiadamy takie informacje, nie jestem jednak pewna, czy ma pani prawo je uzyskać bez stosownych dokumentów albo zezwoleń. Radzę zwrócić się bezpośrednio do archiwum miejskiego.

– Tak, rozumiem. Sądziłam, że tu uzyskam pomoc.

– Przykro mi, lecz tego rodzaju poszukiwania wykraczają poza moje obowiązki. Naprawdę powinna pani udać się do archiwum. Tam z pewnością ktoś pani pomoże albo udzieli odpowiedzi na pani pytania.

Cóż, kolejne pudło. Domyślałam się, że takich danych nie ujawnia się

każdemu, kto wejdzie do merostwa, lecz zawsze warto próbować, a ja nie zamierzałam zrezygnować z żadnego tropu. Dlatego próbowałam dowiedzieć się czegoś w merostwie i zamierzałam spróbować w archiwum.

Ale dopiero wtedy, kiedy nauczycielskie obowiązki (sprawdzanie klasówek i prac domowych, przygotowanie do rady pedagogicznej, wycieczki szkolne – słowem, wszystkie rozkosze końca roku szkolnego) pozwolą mi znaleźć na to czas.

– Dziękuję, tak zrobię. Czy mogłaby pani podać mi adres?

\*\*\*

## KAROUAC, BRETANIA

14 LIPCA 1971

– Pewnie powinienem odprowadzić panią do przyjaciółek, zanim zaczną się niepokoić... – szepnął Erwan, raczej z poczucia obowiązku niż szczerzej chęci.

Nie chciał, żeby ten wieczór się kończył. Nie chciał wracać. Jeszcze nie.

Pokaz sztucznych ogni dawno już się skończył, plaża wolno pustoszała, aż zostali tam tylko oni dwoje i łagodny szmer fal. W dali znów zaczynała się zabawa, ale tu muzyka docierała przytłumiona, niesiona przez wiatr.

Przetańczyli cały wieczór, nie rozstając się ani na chwilę. Patrzyli sobie w oczy. Podczas pokazu ich ręce splotły się, jakby mimowolnie, a gdy spojrzenia obojga zwracały się na feerię barw z rozpryskujących się na niebie iskier, ów delikatny uścisk przyprowadził Erwana o dreszcze i wzruszenia, na jakie nie był przygotowany. A jednak czuł, że te emocje dodają mu skrzydeł, że jest królem świata.

O nie, nie chciał, aby ten wieczór się skończył, przeciwnie, pragnął, by trwał wiecznie. Żeby jutro nigdy nie nadeszło, a obowiązki nie zmusiły ich do rozstania. Żeby przyszłość istniała tylko na tej plaży, z tą dziewczyną. Pragnął zatonać w jej spojrzeniu i już nigdy nie wynurzyć się na powierzchnię.

Nieśmiało uniósł wzrok, z biciem serca czekając na jej odpowiedź.

– Nie – szepnęła Amélie, jakby odgadła jego marzenia. – Jeszcze nie. Nie chcę jeszcze do nich wracać. Przecież nam tu dobrze, prawda? – dodała,



zwracając na niego zielone, niezgłębione oczy.

Erwan uśmiechnął się z ulgą, potem wstał i wyciągnął rękę do dziewczyny.

– Czy w takim razie zechce pani jeszcze ze mną zatańczyć?

## ROZDZIAŁ 3

– A teraz wytłumacz nam, dlaczego nie przyszedłeś na spotkanie we wtorek wieczorem! Ale ostrzegam, że musisz podać sensowne usprawiedliwienie! Na przykład spotkanie z księciem z bajki!

Przełknęłam kęs ciasta z czekoladą, które miałam w ustach.

W związku z moją nieobecnością we wtorek wieczorem dziewczęta, zżerane ciekawością, której dorównywało tylko ich łakomstwo, postanowiły, że spotkamy się w najbliższy czwartek po lekcjach /po oprowadzeniu klientów/ zamknięciu sklepu, żebym mogła wyjaśnić, co się właściwie wydarzyło. Siedziałyśmy razem w kuchni „Delicji Bereniki”, opychając się wszystkim, co tego dnia zostało w cukierni.

– Prawdę mówiąc, to coś w tym rodzaju.

– Poznałaś kogoś? – zawołały chórem. – Musisz nam wszystko opowiedzieć.

– Nie, nikogo nie poznałam. W każdym razie nie osobiście.

Dokładnie wytarłam ręce, a potem wyjęłam z torebki list i przeczytałam.

Przez kilka minut w cukierni słychać było tylko gaworzenie małego Oliviera, synka Angélique.

– Skąd masz ten list? – zapytała Bérénice, gdy wszystkie już się otrząsnęły ze zdumienia.

– Znalazłam go w skrzynce, we wtorek wieczorem, jak wróciłam do domu. Ponoć zagubił się gdzieś na poczcie i dotarł do celu „z drobnym” opóźnieniem – dodałam, robiąc wymowną minę.

– „Drobne opóźnienie”... Dobry dowcip! – stwierdziła Vic. – Tylko czterdzieści trzy lata...

– Lepiej późno niż wcale...

– Tylko że tym razem list nie trafił we właściwe ręce.

– Co zamierzasz z nim zrobić, Flavie? – kontynuowała Bérénice.

– Jeszcze nie wiem. Z ciekawości zaczęłam nawet poszukiwania, żeby się dowiedzieć, kim są ci dwoje.

– I znalazłaś coś?

– Jeszcze nie, ale mam pewne tropy.

W kilku słowach opowiedziałam przyjaciółkom o rozmowie z dyrektorem szkoły i zamiarze udania się do archiwum miejskiego, jeśli pani Dumas nie zechce ze mną rozmawiać lub nie będzie w stanie mi pomóc.

– Zależnie od tego zdecyduję, co dalej robić. Jeżeli ustalę pełne nazwisko E., będę mogła go szukać za pośrednictwem Bractwa Rzemieślników, bo prawdopodobnie należał do tego stowarzyszenia. Mam jeszcze za mało danych, żeby się do nich zwrócić, ale może później...

– Flavie, przypomnij mi – wtrąciła Cécile – Bractwo Czeladników to ta rzemieślnicza organizacja istniejąca od średniowiecza, której członkowie uczą robotników fachu, prawda? Jej członkowie podróżują po całej Francji i pracują w różnych miejscach?

– Tak, to ta organizacja.

– I nadal istnieje?

– Tak, tak, wciąż istnieje! I wbrew temu, co myślałam, całkiem dobrze funkcjonuje.

– To dobrze – stwierdziła pragmatyczna Cécile – zawsze można wykorzystać tę drogę, kiedy będzie wiadomo coś więcej.

– No właśnie – przyznałam.

– Jak myślicie, co było dalej? Między Amélie a tym E.? Myślicie, że mimo wszystko się spotkali?

– Nie sądzę – odparła z przekonaniem Vic. – Myślę raczej, że on czekał i czekał, a ona się nie pojawiła.

– Bla, bla, bla – rzuciła Cécile.

– Albo – podjęła Bérénice, która czasami potrafiła puścić wodze fantazji tak jak ja – ów E., oszalały z miłości, wrócił tu po nią i uciekli razem, a teraz wiodą spokojny, szczęśliwy żywot gdzieś na południu. I tam ich odnajdziemy.

– A ja – włączyłam się rozbawiona tą zabawą w „a gdyby”, w którą się zaangażowałyśmy – wyobrażam sobie pełną zwrotów, burzliwą historię. Wiele razy tracili się z oczu i zawsze się odnajdywali, oboje zawarli małżeństwa, ale byli nieszczęśliwi, aż w końcu, po dziesięciu latach, wrócili do siebie ostatni raz i już nigdy się nie rozstali. Wzięli cichy ślub w małym kościele, mając za świadków tylko najbliższych przyjaciół, a potem urodziły im się trojaczki, które są ich szczęściem...

– Mam pomysły! – zawołała Cécile. – Może się założymy?

- Założymy?
- Tak, o to, która z nas przedstawi wersję najbliższą prawdy.
- Ale po co?
- Dlaczego nie? To może być dobra zabawa. Każda z nas spíše na kartce swoją propozycję, podpisze się, a potem schowamy kartki do pudełka i kiedy Flavie odkryje zakończenie tej historii, wyjmemy je i ocenimy, która z nas była najbliższa prawdy. Ta najdalsza od prawdy da fant.
- A co dostanie zwycięzcy?
- Nie wiem... Co zechce, sama wybierze!
- Trzeba będzie poprosić o pomoc kogoś bezstronnego.
- Mój ojciec mógłby zostać sędzią...
- Świetny pomysł!
- I co, zgadzacie się?
- Sama nie wiem...
- Ja w to wchodzę!
- No, Bérénice...
- No dobrze, gram!
- Taaak!

Olivier spoglądał na nas z fotelika dużymi, okrągłymi oczami, zastanawiając się prawdopodobnie, co to za banda wariatek z takim zapałem podchodzi do głupiej zabawy.

Przyznaję, że moje przyjaciółki były trochę zwariowane, zbyt spontaniczne, ale takie je lubiłam.

I stukając się babeczkami jak kieliszkami, zawarłyśmy zakład przy wtórze śmiechów i gaworzenia Oliviera.

Był sobotni ranek, kiedy dyrektor – o, przepraszam: Christophe – zadzwonił do mnie, gdy (jeszcze!) ślęczałam nad pracami moich trzecioklasistów. Bez zbędnych wstępów oznajmił, że wspomniana nauczycielka, Chantale Dumas zgodziła się ze mną spotkać i jeśli mam czas, będzie na mnie czekała w swojej klasie w najbliższy poniedziałek wieczorem. Oczywiście bez wahania zaakceptowałam ten termin, uznając, że w razie potrzeby skrócę (troszeczkę) ostatnią lekcję, żeby jak najszybciej porozmawiać z panią Dumas. Pilno mi było usłyszeć, co może powiedzieć o Amélie.

Nauczycielka okazała się kobietą około sześćdziesiątki. Miała srebrzyste

włosy i ciepłe, niebieskie oczy. Jej głos brzmiał łagodnie, choć czas i praca sprawiły, że był lekko schrypnięty. Ta twarz, uśmiech i dobroć promieniująca z oczu wzbudzały sympatię i zaufanie. Bardzo bym chciała, żeby matematyki uczył mnie ktoś taki, a nie ta stara panna, megiera, z którą męczyłam się przez całą podstawówkę. Może nawet nauczyłabym się liczyć w pamięci, zamiast ledwie sobie z tym radzić.

– Proszę usiąść – powiedziała półgłosem, kiedy się przywitałyśmy.

– Bardzo dziękuję, że pani zechciała się ze mną spotkać – odrzekłam, siadając na wprost niej, przy jednej z uczniowskich ławek. – Ta klasa jest... fantastyczna! – dodałam, rozglądając się po sali.

Jak w wielu innych klasach, na jednej ze ścian królowała ogromna mapa świata. Uśmiechnęłam się na myśl, że w mojej szkole w Lannion jest identyczna. Powyżej, przez wszystkie ściany, biegł ręcznie malowany fryz (zapewne wykonali go uczniowie), przedstawiający najważniejsze wydarzenia z historii świata. A za stolikiem nauczycielki wisiała zielona tablica, nosząca jeszcze ślady ostatniej lekcji. Tematem była ortografia, najprawdopodobniej pisownia imiesłówów czasu przeszłego.

W klasie unosił się przyjemny zapach mojego dzieciństwa.

– Miło mi.

– To wszystko budzi tyle wspomnień! – dodałam w zadumie.

Nauczycielka zmarszczyła brwi.

– Nie przypominam sobie pani. Czyżby była pani moją uczennicą?

– Nie. W tym okresie mieszkaliśmy z ojcem w Lannion i tam ukończyłam szkołę podstawową. Ale wszystkie klasy mają szczególną atmosferę, która jest taka sama w każdej szkole, nie sądzi pani?

– Owszem, zgadzam się z panią. Proszę mi powiedzieć, w czym mogę pani pomóc?

– Mam na imię Flavie. Czy dyrektor przekazał pani moją prośbę?

– Wspomniał tylko, że prowadzi pani jakieś poszukiwania i chciałaby pani pomówić z kimś, kto mieszkał w Karouac w latach siedemdziesiątych.

– Zgadza się.

– W takim razie trafiła pani na właściwą osobę. Urodziłam się w Karouac i spędziłam tu całe życie. Proszę mi powiedzieć, co dokładnie panią interesuje?

Nie wierzyłam własnym uszom. Całe życie? Ta kobieta spędziła w Karouac sześć dekad? Nie liczyłam na tak dużo!

– Prawdę mówiąc, szukam informacji o osobach, które mieszkały w dawnym domu dyrektora.

– W latach siedemdziesiątych?

Nauczycielka zmarszczyła brwi i zmrużyła oczy, lekko przechylając głowę. Patrzyła teraz na mnie z wielką uwagą.

– Tak. Jak wyjaśniłam dyrektorowi, wpadł mi w ręce dokument z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego roku, a w nim natknęłam się na nazwisko osoby związanej z tym domem. Zaintrygowało mnie to, a ponieważ jestem ciekawa, zapragnęłam dowiedzieć się czegoś więcej.

– Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty pierwszy rok... Co to za nazwisko? – zapytała pani Dumas z dziwnym błyskiem w oku.

– Amélie. Amélie Lacombe – powiedziałam, wstrzymując oddech.

Oby знаła to nazwisko, oby tylko znała to nazwisko...

Okolone zmarszczkami usta nauczycielki rozciągnęły się w uśmiechu.

– Amélie... Oczywiście... Nie mogło chodzić o nikogo innego... – szepnęła.

Serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi.

– Czyżby... czyżby ją pani znała?

Chantale Dumas pokiwała głową i powiedziała:

– Znam ją dość dobrze. To najlepsza przyjaciółka mojej starszej siostry.

## ROZDZIAŁ 4

– Najlepsza przyjaciółka pani siostry?! – Aż krzyknęłam.

Nawet w najśmielszych oczekiwaniach, nawet w szalonych snach nie spodziewałam się tak szybko znaleźć kogoś, kto osobiście znał Amélie. A znalazłam nie byle kogo, tylko młodszą siostrę jej serdecznej przyjaciółki. Teraz sytuacja wyglądała całkiem dobrze. Może się dowiem, czy ona i jej ukochany się spotkali! Może dowiem się w końcu, kim był ten tajemniczy E.?

Ale potem uświadomiłam sobie, co dokładnie powiedziała nauczycielka.

Poza faktem, że znała tę dziewczynę.

– Chwileczkę... zna ją pani? W czasie teraźniejszym? Czyli nadal ma pani z nią kontakt?

– Ja nie, ale moja siostra i Amélie wciąż się kontaktują, a przynajmniej składają sobie życzenia urodzinowe i świąteczne. Obserwowałam więc jej życie z daleka, tak jak od najmłodszych lat.

Coraz lepiej! Może powinnam zagrać na loterii...

– Co może mi pani o niej powiedzieć?

Nauczycielka uśmiechnęła się do mnie nostalgicznie.

– Bardzo dużo, a zarazem niewiele... W tamtych czasach była bardzo ładną dziewczyną. Przypuszczam, że nadal jest ładna, bo osoby o tym typie urody na ogół dobrze znoszą upływ czasu. Nie tak, jak ja.

Już zamierzałam zaprzeczyć, ale powstrzymała mnie, machając ręką.

– Nie, proszę nie zaprzeczać, wiem, że mijający czas nie obszedł się ze mną łaskawie. Ale Amélie to zupełnie co innego.

– Jaka była?

– Wysoka, rudowłosa, o przepięknych zielonych oczach. Tryskała energią, zawsze była aktywna i zawsze rysowała. Jej ambicją było zostać projektantką, a za wzór obrała sobie Coco Chanel. Wiem jednak, że nie tego chcieli dla niej rodzice. Pragnęli, żeby została lekarką. To zresztą stało się przyczyną ostrych sporów między nimi trojgiem, latem, tuż przed jej wyjazdem na studia

w Paryżu. Chwileczkę... Z tego roku pochodzi chyba dokument, o którym pani mówiła. Tak, oczywiście, skończyłam wtedy trzynaście lat, więc był rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty pierwszy.

– Ile miała wtedy lat?

– Chwileczkę... Jest rówieśniczką mojej siostry, różnica między nami wynosi pięć lat, więc musiała być osiemnastolatką.

Osiemnaście lat... Taka młoda.

– Powiodło jej się? – podjęłam. – Została projektantką?

– Tak. Dostała się do jednej z paryskich szkół, uprosiła rodziców, żeby pozwolili jej na te studia. W końcu ustąpili, chociaż z bólem serca myśleli o błyskotliwej karierze lekarskiej, o jakiej dla niej marzyli. Jednak Amélie chciała zostać projektantką mody i osiągnęła swój cel. Wydaje mi się, że nawet otworzyła własny dom mody pod kuszącą nazwą... Zaraz sobie przypomnę... A, już wiem! Tak, nazywa się „Lili K.”.

Lili...

Zdrobnienie, którego używał autor listu.

Czy to znaczyło, że są wciąż razem?

Powściągnęłam wodze fantazji, nie pozwalając, by się zagalopowała.

Fakty, Flavie, skup się na faktach. Zapomnij, że jesteś pisarką i tworzenie historii to twoja druga natura. Dziś jesteś historykiem i tylko historykiem, nakazałam sobie.

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

– Podziwiam – zaczęłam – że potrafi pani przypomnieć sobie to wszystko po czterdziestu trzech latach!

Chantale uśmiechnęła się z dumą.

– Mam świetną pamięć, czasami nawet zbyt dobrą. Do dziś tkwią mi w głowie całe rozmowy, które prowadziłam, kiedy byłam jeszcze młoda, a może mi pani wierzyć, chętnie bym o nich zapomniała.

– Mimo wszystko mnie to imponuje.

– W dodatku to było ostatnie lato, które z nią spędziłam, dlatego tak dobrze wszystko zapamiętałam.

– Co się stało potem?

– Jak to w życiu. Ona i moja siostra wyjechały na studia do Paryża, jak zawsze, razem. Później Amélie rzadko wracała do Karouac. Potem wyszła za mąż i zamieszkała z mężem bliżej jego rodziny, na południu. Od tego czasu nie miałam z nią bliższego kontaktu. Na ogół opowiadała mi o niej siostra, chociaż



już dość dawno o niej nie wspomina.

Serce zamarło mi w piersi.

– Powiedziała pani, że wyszła za mąż.... Wie pani może, jak nazywa się jej mąż?

– Panivello. Aymeric Panivello. Ale rozeszli się po kilku latach. Mają dwoje dzieci, wydaje mi się, że dwie córki.

Aymeric. Imię zaczynające się na „A”, nie „E”. Ogarnęło mnie rozczarowanie. Historia nie rozwijała się tak, jakbym chciała. Nie wspominając już o tym, że te wiadomości nie ułatwiały mi ustalenia, kim był E. ani co się z nim stało, skoro nie ożenił się z Amélie.

Jego Lili...

Ale kim mógł być?

– A... tego lata, w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym – odważyłam się zapytać. – Wie pani może, czy coś się wtedy wydarzyło? Czy... poznała kogoś? Jakiegoś chłopaka?

Pani Dumas zastanawiała się przez chwilę, zanim odpowiedziała, pogrążona we wspomnieniach:

– Teraz, kiedy pani mi o tym przypomniała... Był pewien młody człowiek. Pamiętam, że siostra często rozmawiała z Amélie. Milkły, gdy się pojawiałam, ale pamiętam, jak kiedyś przetańczyła cały wieczór z jednym chłopcem. To było na zabawie z okazji czternastego lipca. Potem już go nie widziałam, ale zapamiętałam go, bo był bardzo przystojny.

– Wie pani, jak się nazywał?

– Nie, chyba wtedy też nie wiedziałam. Wydaje mi się... Wydaje mi się, że Amélie wspomniała, że pracował przy renowacji kościoła, ale nie jestem pewna, czy mówiła o nim. Przyznam się pani, że podsłuchiwałam przez ścianę, więc nie słyszałam wszystkiego dokładnie – powiedziała lekko zawstydzona.

– Podsłuchiwała je pani? No cóż, jak na nauczycielkę to nieładnie! – zażartowałam.

– Ale wtedy nie byłam jeszcze nauczycielką – odparła ze śmiechem. – Miałam trzynaście lat i siostrę, którą raczej irytowało, niż cieszyło, że ciągle za nią chodzę. Nie mówiła mi o niczym, więc jeśli chciałam zaspokoić ciekawość, musiałam być sprytna. Przyznaję, że często podsłuchiwałam pod drzwiami, kiedy Amélie była u mojej siostry. Dziwi się pani? Fascynowała mnie w tym okresie. Chciałam być taka, jak ona: piękna, inteligentna, zdeterminowana. Każdy nastolatek potrzebuje idola albo idolki, a moją idolką

stała się Amélie.

Miała rację. Kiedy byłam małą, moją idolką była mama. Kiedy odeszła, zupełnie nagle, nie oglądając się za siebie, to ojciec stał się dla mnie wzorcem.

I nadal nim był.

– Jestem pani wdzięczna za te wszystkie informacje.

– Mam nadzieję, że pomogłam w poszukiwaniach. Co zamierza pani zrobić z tą wiedzą? Napisać powieść? – zapytała żartem.

Ten pomysł mnie poruszył. Zakiełkował mi w głowie.

Napisać powieść. Napisać powieść. Naprawić błędy przeszłości, tworząc fikcję.

Dlaczego właściwie nie wpadłam na to wcześniej? Teraz, kiedy ta myśl snuła mi się po głowie, wydawała się oczywista... Historia Amélie stanowiła idealną kanwę pasjonującego romansu. I drogę do ponownego spotkania tych dwojga. W mojej wersji musieli się odnaleźć. To było przesądzone. Cokolwiek wydarzyło się w rzeczywistości, w mojej powieści Amélie musiała dokonać żywota u boku miłości swego życia.

Miałam głębokie przekonanie, że ci dwoje byli sobie przeznaczeni. Czy Amélie rozwiodłaby się z Aymerikiem, gdyby było inaczej? Mózg zaczynał podawać mi setki innych powodów uzasadniających rozwód, ale w wyobraźni machnęłam na nie ręką.

Nie, w mojej wersji E. będzie mężczyzną życia Amélie i zostaną razem do końca. Kropka.

E. i jego Lili.

O tak, dokładnie wiedziałam, jak to się skończy...

– Flavie?

Głos pani Dumas przywołał mnie do rzeczywistości. I znów pozwoliłam, żeby poniosła mnie fantazja!

– Przepraszam, zaczęłam już układać w myślach tę historię. Początkowo chciałam tylko uzyskać odpowiedzi i rozwikłać zagadkę, ale ma pani rację, to doskonały pomysł na książkę. Zastanowię się nad tym.

Chantale uśmiechnęła się do mnie, a ja wciąż się wahałam.

– Przepraszam... Może przypadkiem ma pani gdzieś pod ręką adres albo telefon Amélie?

– Niestety nie, ale mogę poprosić o to moją siostrę. Teraz jest razem z mężem w Kanadzie, jeżeli jednak zechce pani poczekać, opowiem jej o pani,

jak tylko wróci.

– Dziękuję, pani Dumas. Przyznam, że bardzo bym tego chciała.

– W takim razie możliwie szybko skontaktuję się z siostrą w tej sprawie. –  
Spojrzała na mnie. – Mogę panią o coś zapytać?

– Oczywiście?

– Jestem ciekawa... w jakim dokumencie odnalazła pani wzmiankę o Amélie?

Przez chwilę zastanawiałam się, co powiedzieć. Ale przecież winna jej byłam szczerść, skoro praktycznie podała mi Amélie na srebrnej tacy. A intuicja podpowiadała mi, że mogę zaufać tej kobiecie.

– To list.

## ROZDZIAŁ 5

Utwierdzona w przekonaniu, że powinnam napisać powieść inspirowaną tajemniczym listem, i zdecydowana dowiedzieć się jak najwięcej o Amélie-Lili i E., a także o tym, co zaszło między nimi po tym lecie, przez dwa następne tygodnie każdą wolną chwilę – a pod koniec roku szkolnego miałam ich coraz mniej – poświęcałam na szperanie w Internecie i gromadzenie informacji. Wykorzystywałam wszystkie kombinacje słów kluczowych, jakie przyszły mi na myśl, niestety, mimo ogromnego wysiłku, wyniki były poniżej moich oczekiwań. Bez problemu trafiłam na stronę „Lili K.”, a przy okazji odkryłam zachwycającą kolekcję w stylu vintage – ubrania z nowoczesnymi akcentami, ale w duchu lat siedemdziesiątych. Bardzo mi się spodobały i były dostępne w kilku butikach we Francji, szkoda, że poza moim regionem. Niestety, o projektantce dowiedziałam się niewiele i nie zdołałam nawet wyjaśnić sekretu tego „K.”, które mnie intrygowało. Na próżno wprowadzałam panięńskie nazwisko Amélie, a także nazwisko po mężu – nie znalazłam nic więcej na temat kobiety, której losy tak mnie zainteresowały.

Nie wiedziałam, czy to ja nie potrafię szukać, czy po prostu nie było niczego do odkrycia. No ale przecież, powtarzałam sobie, Amélie należy do pokolenia, które nie zakłada profili na Facebooku i nie prowadzi blogów. Najprawdopodobniej jej bytinternetowy sprowadzał się do minimum, czyli praktycznie nie istniał, trudno więc się dziwić, że poszukiwania nie przynosiły efektów. Dość szybko doszłam do wniosku, że lepiej poczekać, aż Chantale poda mi jej telefon i wtedy spróbować nawiązać kontakt. Być może Amélie zechce udzielić mi odpowiedzi na nurtujące mnie pytania.

Ku memu wielkiemu rozczarowaniu poszukiwania tajemniczego E. też niewiele dały. Wykorzystując wskazówki Chantale, szperałam na stronie miasta Karouac, skupiając się na historii kościoła, ale uzyskałam tylko potwierdzenie tego, o czym już wiedziałam – że w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym budowla ucierpiała na skutek pożaru, który wybuchł

w sąsiedztwie, i że restauracja trwała ponad rok. Ani słowa o ewentualnym udziale w pracach renowacyjnych Braci Czeladników. Traciłam już nadzieję, że kiedykolwiek ustalę tożsamość nadawcy listu i zaczynałam się nawet zastanawiać, czy nie będę musiała zapytać o to samej zainteresowanej, kiedy już zdobędę jej numer. Tylko czy zechce mi odpowiedzieć...?

Zdawałam sobie sprawę, że grzebię w życiu osób, których nie tylko nic ze mną nie łączyło – ani pokrewieństwo, ani znajomość, a jedynie list – ale które wciąż żyją (miałam nadzieję, że dotyczy to także E.). Doskonale wiedziałam, że podjęte przeze mnie działania przekroczyły granice ciekawości w dniu, gdy zasypałam pytaniami Chantale, i że tego, co robiłam, nie można uznać za badania historyka. Ale za bardzo się zaangażowałam, żeby teraz się wycofać.

Musiałam się dowiedzieć.

Musiałam ich odszukać. Oboje.

Minęły dwa tygodnie, a Chantale wciąż się nie odzywała, nie śmiałam jednak jej ponaglać, bo mogłaby uznać mnie za natrętną. Skupiłam się więc na segregowaniu wszystkich danych, jakimi dysponowałam, i, poradziwszy się ojca, a także przyjaciółek z klubu, postanowiłam przejrzeć archiwa lokalnej gazety. Miałam nadzieję, że dzięki temu dowiem się więcej o pracach przeprowadzonych w kościele, a może nawet... znajdę nazwiska wykonawców! Potem mogłam ewentualnie odwiedzić duchownego, który pełnił obecnie posługę w Karouac.

Tak oto w środowe popołudnie, tuż po lekcjach, lekceważąc stertę prac do sprawdzenia, pobiegłam do lokalu bretońskiego dziennika i w archiwum poprosiłam o mikrofilmy z roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego i siedemdziesiątego pierwszego.

Naiwna i pełna optymizmu, zaczęłam od szukania słów-kluczy, liczyłam bowiem, że artykuły zostały opatrzone indeksami. Błąd debiutantki! Z przerażeniem – do czego szczerze się przyznaję – odkryłam, że w żaden sposób nie da się wybrać artykułów zawierających określone frazy. Pozostało mi więc tylko przeglądanie wszystkich mikrofilmów z interesującego mnie okresu: od maja tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt, kiedy pożar dokonał zniszczeń w kościele, do października tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt jeden, czyli daty napisania listu. Było to dokładnie pięćset czterdzieści siedem

numerów, osiem tysięcy dwieście siedem stron wypełnionych Timesem New Roman ósemką. Na szczęście tytuły drukowano osiemnastką, westchnęłam. To przynajmniej pozwalało mi na wstępną selekcję, w przeciwnym razie czekałyby mnie tygodnie czytania!

W sumie musiałam sześciokrotnie powracać do tych mikrofilmów, zanim natrafiłam na interesujące mnie informacje. I choć lektura dziennika pozwoliła mi poznać wiele interesujących szczegółów, zapewne przydatnych przy pisaniu powieści, to przyniosła mi także wiele rozczarowań, kiedy cieszyłam się zbyt wcześnie, że mam to, czego szukam, a przede wszystkim pochłonęła mnóstwo cennego czasu.

Zapomniałam jednak i o rozczarowaniach, i o straconym czasie, gdy po wielu godzinach bezowocnej lektury natknęłam się wreszcie na coś przydatnego. Był to artykuł opowiadający o postępie prac przy renowacji kościoła. Przeczytałam już wiele na ten temat, bo dziennikarze czuli się zobowiązani do szczegółowego relacjonowania każdego etapu remontu.

Jednak ten artykuł nie sprowadzał się do kilku bieżących informacji. Autor przedstawiał cały proces renowacji, a w dodatku zamieścił zdjęcie – fotografię utalentowanych rzemieślników, którym Karouac zawdzięczało nowe oblicze kościoła, funkcjonalnego i pięknego. Fotografię opatrzone podpisem i podano tam nazwiska fachowców; od lewej stali: Denis Breton, François Delaporte, Gérard Beaulieu i Benoît Arnoux – murarze i kamieniarze, wszyscy wykwalifikowani i doświadczeni, a na końcu czeladnik Erwan Kermarrec. Cała piątka pracowała pod okiem Daniela Bourgeois, mistrza i dyrektora firmy budowlanej, której miasto powierzyło prace remontowe. Bourgeois stał nieco z tyłu, po prawej.

Czytając podpis, zamarłam.

Erwan Kermarrec, czeladnik. Wszystko się zgadzało. E. z listu i przynależność do Bractwa (albo prawie). Miałam go! Odnalazłam tajemniczego ukochanego Amélie. To musiał być on. Z całą pewnością. Czułam to w trzewiach – co nie miało nic wspólnego z tą paskudną kanapką, którą pochłonęłam jakiś czas temu, jadąc samochodem.

Erwan Kermarrec.

Z „K” na początku. Czy to właśnie owo „K” z nazwy firmy „Lili K.”? A jeśli tak, to dlaczego Amélie dodała inicjał Erwana Kermarreca do nazwy swojej marki, skoro wyszła za innego mężczyznę? Do głowy cisnęło mi się tyle pytań i pomysłów, że mało brakowało, a złamałabym zasady dobrego wychowania

i zadzwoniła do Chantale, błagając o podanie numeru Amélie.

Opanowałam się, wydrukowałam artykuł, a potem wpatrywałam się w zdjęcie. Nie widziałam dokładnie rysów twarzy, bo zdjęcie było za małe, wiedziałam już jednak, że Chantale miała rację: Erwan był naprawdę przystojny. Wyglądał na mniej więcej dwadzieścia lat, miał ładną twarz, wydatny podbródek, czarujący uśmiech... A do tego rozwichrzone włosy. Gdyby nie ta mina onieśmiałonego dzieciaka, wyglądałby jak typowy *bad boy*.

Uśmiechnęłam się, patrząc na jego podobiznę. Doskonale rozumiałam, dlaczego Amélie się w nim zakochała. Miał w sobie coś niesamowicie pociągającego.

Wsunęłam kopię artykułu do notatnika i ze wzmożonym zapałem podjęłam poszukiwania, chcąc się przekonać, czy znajdę kolejne wiadomości o Erwanie.

I rzeczywiście, znalazłam jeszcze jedną informację, z pierwszego września tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego roku, zatytułowaną: „Nowa Maria Panna dla kościoła w Karouac”. Autorka, niejaka Solenn Perrec, napisała, że parafia w Karouac otrzymała w darze figurkę Marii Panny, wysokości około pół metra, przepięknie wyrzeźbioną w kamieniu przez świetnie zapowiadającego się młodego twórcę, Erwana Kermarrec. Na zakończenie roku pracy pod kierunkiem Daniela Bourgeois, w ramach swej Podróży po Francji, pisała dziennikarka, młody artysta podarował kościołowi dzieło, które sam wyrzeźbił podczas pobytu w Karouac.

Na końcu powiadomiła czytelników, że Kermarrec wyjechał z miasta tego dnia rano, by podjąć pracę w kolejnym miejscu, i życzyła młodzieńcowi wielkiej kariery. Niestety, czarno-biała fotografia figurki dłuta Erwana, ilustrująca artykuł, była niezbyt wyraźna, nie mogłam więc ocenić dzieła.

Tego dnia zakończyłam poszukiwania, nie znalazłszy już nic nowego. Przez moment bujałam się na krześle, wpatrzona w wydruki obu publikacji.

Wiedziałam już, co robić dalej.

Nazajutrz, wracając po lekcjach do domu, pomyślałam, że obejrzę figurkę wyrzeźbioną przez Erwana. Teraz, kiedy wiedziałam już, jak się nazywał, przy każdej okazji używałam jego imienia. Z wydrukiem artykułu w ręce weszłam do kościoła i przeżegnałam się w odruchu wyrobionym przez lata katolickiego wychowania, od którego wpływów nie potrafiłam się uwolnić, choć bardzo

się starałam. Ledwie zwróciłam oczy na stronę ołtarza, a zastygłam w zachwycie, oczarowana pięknem świątyni.

Być może wyda się to dziwne, ale przez pięć spędzonych w Karouac lat ani razu nie zajrzałam do tutejszego kościoła. Nie pofatygowałam się nawet, żeby go zwiedzić, co u osoby uważającej się za historyka, a więc niejako z definicji zainteresowanej przeszłością, było raczej nietypowe. Zwiedziłam wszystkie okoliczne zamki, wszystkie posiadłości, pamiętające dawne wieki, ale nigdy nie przestąpiłam progów kościoła parafialnego. Cóż, lepiej późno niż wcale, jak lubił mawiać ojciec, tak więc w tę środę naprawiłam swoje niedopatrzenie.

Kościół był wspaniały. Wybudowany w stylu romańskim, lecz najprawdopodobniej powstał dopiero w szesnastym albo siedemnastym wieku. Cechowała go skromność i prostota, przy tym jednak był przestronny, widny i ciepły. Wysokie kamienne kolumny oddzielały nawę główną od bocznych. Moją uwagę przykuły liczne witraże o subtelnych barwach; sączyło się przez nie łagodne światło.

Tuląc do piersi skórzaną teczkę ze starannie ułożonymi wydrukami obu artykułów, a także wszystkie zrobione dotąd notatki, szłam wolnym krokiem między ławkami. Czułam, że moje oczy nie są w stanie ogarnąć wszystkiego w tej świątyni. Dotarłam tak do transeptu i zaczęłam się rozglądać w poszukiwaniu Marii Panny Erwana. Ponieważ jej nie znalazłam, zwróciłam się do księdza, który właśnie wszedł.

– Dzień dobry, ojciec – powiedziałam. – Czy pozwoli ksiądz, że o coś zapytam?

– Tak, oczywiście! W czym mogę pomóc, dziecko? Nazywam się ojciec François.

Wyjęłam z teczki artykuł.

– Szukam tej rzeźby.

– A, Maria Panna młodego Erwana... Proszę ze mną.

Zaprowadził mnie do zakątka po lewej stronie transeptu.

– Oto ona – powiedział, wskazując dłonią figurkę.

Podeszłam, żeby lepiej jej się przyjrzeć. To rzeczywiście była rzeźba, którą widziałam na zdjęciu w gazecie. Skupiłam się na twarzy, tak czystej, tak pięknej. Tak różnej od tej, do jakiej przywykliśmy. Zamiast tradycyjnej, pulchnej jak u aniołów buzi, Dziewica Erwana miała wydatne kości policzkowe i pociągłą twarz. Duże, półprzymknięte oczy, majaczący na ustach



uśmiech, lekkie pochylenie głowy – wszystko to sprawiało, że promieniała spokojnym, niemal niebiańskim szczęściem.

– Jest przepiękna.

Kątem oka zobaczyłam, że stojący tuż za mną kapłan pokiwał głową.

– To prawda. Rzeźbiarz był bardzo utalentowany.

Odwróciłam się do niego.

– Znał go ojciec?

– Tak, znałem. Nawet dość dobrze.

– Och, czy zechciałby ojciec opowiedzieć mi o nim? Proszę powiedzieć mi wszystko, co ojciec wie.

– A mogę wiedzieć, po co to pani?

Spuściłam głowę, a potem się wyprostowałam.

– To dość niewiarygodna historia. Krótko mówiąc, przypadkowo trafił w moje ręce dokument podpisany jego inicjałem, a przeznaczony dla innej osoby. Dla kobiety. Starłam się ustalić, kto kryje się za tym inicjałem i dziś już wiem, że to Erwan Kermarrec, więc...

– Chciałaby pani dowiedzieć się o nim czegoś więcej, tak?

Pokiwałam głową.

– Chciałabym go odnaleźć.

– Rozumiem.

– Może mi ojciec pomóc?

– To było tak dawno...

– Czterdzieści trzy lata temu.

– Czterdzieści trzy lata... Byłem wtedy młodym księdzem. Doskonale pamiętam dzień, kiedy przyszedł do mnie z tą figurką. Był... wzburzony. Smutny.

– Dlaczego?

Na twarzy duchownego pojawiło się zażenowanie, jakby niechcący powiedział za dużo.

– Niestety, tej historii nie mogę pani opowiedzieć – odparł.

Poczułam, jak ogromny ciężar spada mi na barki. Moje nadzieje się rozwiąły, uśmiech zgasł.

– Oczywiście. Rozumiem – powiedziałam, starając się nie okazywać rozczarowania. – Wie ojciec może, gdzie obecnie mieszka?

– Nie, nie wiem. Nie miałem z nim kontaktu, odkąd wyjechał z Karouac.

– Psiakrew!

- A próbowała pani w biurze Bractwa Rzemieślników w Bretanii?
  - Nie, jeszcze nie. To kolejny krok, jaki planuję.
  - Przypuszczam, że tam mogliby pani pomóc. O ile mnie pamięć nie myli, po zakończeniu nauki zamierzał wrócić w rodzinne strony.
  - A skąd pochodził?
  - Z regionu Finistère.
  - Dziękuję. Teraz przynajmniej wiem, gdzie zacząć poszukiwania.
  - Przykro mi, że nie mogę pani bardziej pomóc. To jedyna informacja, która może się pani przydać. Reszta... resztę obejmuje tajemnica spowiedzi, nie mogę jej naruszyć.
  - Rozumiem, ojcze. Dziękuję za pomoc. Życzę miłego dnia.
- Już odchodziłam, kiedy mnie zawołał.
- Proszę pani!
  - Tak? – spytałam, odwracając się.
  - Jeśli go pani odnajdzie, proszę mu powiedzieć, żeby się do mnie odezwał.
- Bardzo proszę.
- Oczywiście, ojcze, przekazę mu to.
- A potem opuściłam kościół, zastanawiając się, z jakiego powodu Erwan był tak wzburzony, gdy przyszedł ofiarować ojcu François swoje dzieło.

\*\*\*

## KAROUAC, BRETANIA

### 31 SIERPNIĄ 1971

Ewran pchnął ciężkie drzwi kościoła i usiadł na jednej z ławek, kładąc rzeźbę Madonny obok siebie, a potem, prawdopodobnie po raz ostatni, powiódł wzrokiem po wnętrzu, w którym spędził tyle czasu. Od pierwszych dni polubił panującą tu ciszę, pogodny spokój, jakim przepiękny był kościół. Nie należał do osób szczególnie wierzących ani praktykujących, jednak został wychowany w tradycji katolickiej, a to odcisnęło na nim trwałe piętno. Kościół uważał za miejsce skupienia, wręcz idealne do refleksji.

Podszedł do niego ojciec François i bez słowa usiadł obok, jak tyle razy

w ciągu minionego roku. Czekał, aż Erwan odezwie się pierwszy.

– To mój ostatni dzień, ojcie.

– Odnoszę wrażenie, że wcale cię to nie cieszy. Nie pilno ci ruszyć w inne strony?

– Owszem, pilno.

– Ale coś się zmieniło?

– Nic. Wszystko. Ja... Spotkałem kobietę swojego życia.

– To wielkie słowa, a ty jesteś jeszcze bardzo młody.

– Z całym szacunkiem, ojcie, uczucia nie mają nic wspólnego z moim wiekiem.

– Skąd możesz to wiedzieć?

Erwan przez chwilę milczał. Potem odpowiedział:

– W jakim wieku wstąpił ojciec do zakonu?

– Mniej więcej w twoim.

– I skąd ojciec wiedział, że to słuszna decyzja? Że takie jest ojca przeznaczenie?

– Nie wiem. Po prostu wiedziałem.

– Tak jak ja wiem, że Amélie to kobieta mojego życia.

– To co innego.

– Z całym szacunkiem, ojcie – odparł Erwan – ale to dokładnie to samo.

Kapłan przez chwilę zastanawiał się nad tym, co usłyszał i w końcu przyznał:

– Masz rację, to to samo. Co teraz zrobisz?

– Nie wiem, ale nie chcę jej stracić.

– Jeżeli jest ci przeznaczona, nie stracisz jej. Bóg będzie czuwał, żeby was połączyć, cokolwiek się stanie.

Erwan zaśmiał się z niedowierzaniem.

– Być może, wolę jednak liczyć na siebie.

– Och – westchnął ojciec François – ten brak wiary... To choroba młodego pokolenia.

Chłopak uśmiechnął się, ale w jego uśmiechu nie było radości.

– Przyszedłem pożegnać się z ojcem i wręczyć prezent.

– Prezent?

Erwan bez słowa podał księdzu to, co przyniósł.

– Dziękuję. Nie trzeba było...

– To nic wielkiego.

Kapłan ściągnął płótno osłaniające podarunek i ujrzał figurkę Madonny wyrzeźbioną w szarym kamieniu.

– Ty to zrobiłeś?

Erwan pokiwał głową.

– Wykorzystałem kamienny blok, który spadł i nie nadawał się do ponownego wykorzystania, i wyrzeźbiłem tę Marię Pannę dla ojca. Żeby podziękować za wszystko, co ojciec zrobił.

– Ale ja nic nie zrobiłem, synu.

– Owszem. Był tu ojciec, kiedy potrzebowałem. Słuchał mnie ojciec, mimo że czasami mówiłem rzeczy, które się ojcu nie podobały. I zawsze pozwalał mi ojciec mówić to, co miałem do powiedzenia. A to wiele dla mnie znaczy.

– Erwanie, to wspomniały dar. Zadbam, żeby znalazł godne miejsce w kościele. A kiedyś, gdy tu wrócisz, przekonasz się, że troszczyłem się o tę rzeźbę.

## ROZDZIAŁ 6

Równoległe do poszukiwań w archiwum gazety poświęcałam wolny czas przeglądaniu stron internetowych i artykułów w Wikipedii, mówiących o Braciach Rzemieślnikach. Wiedziałam już, że aby zostać jednym z nich, trzeba najpierw być uczniem i uzyskać odpowiedni dyplom. Uczeń mógł zostać stażystą, o ile jego umiejętności uznano za wystarczające. Następnie musiał odbyć praktykę zwaną Podróżą po Francji – we Francji albo za granicą – a po okresie trzech do sześciu lat pracy zawodowej przedstawiał swoją pracę i wtedy uzyskiwał tytuł czeladnika. Dowiedziałam się też, że Bractwo było organizacją posiadającą własny kodeks, zasady postępowania, propagującą otwarcie na świat i na innych ludzi, a także nastawioną na wzajemną pomoc.

Przy okazji natrafiłam też na nazwy kilku organizacji skupiających różne zawody w ramach Bractwa i zanotowałam ich dane, podobnie jak adresy i telefony Domów Czeladników, czyli miejsc, gdzie zamieszkiwali kandydaci i wykwalifikowani rzemieślnicy lub artyści. Przypuszczałam, choć nie byłam tego pewna, że członek Bractwa mógł wybrać własne mieszkanie. Nie wyobrażałam sobie na przykład, żeby wszyscy bretońscy rzeźbiarze mieszkali w Breście albo w Rennes, zwłaszcza że każdy z tych Domów dysponował ograniczoną liczbą miejsc. Zakładałam też, że istnieje jakaś lista członków, zawierająca ich adresy, i byłam zdecydowana szukać jej do skutku.

Tym razem Erwan nie zdołał mi się wymknąć.

Poszłam do kościoła w piątkowy wieczór, a przez cały weekend zastanawiałam się, co najlepiej teraz zrobić. Ponieważ nadal nie miałam numeru telefonu Amélie, a postanowiłam dać Chantale jeszcze kilka dni, zanim przypomnę jej o swojej prośbie, szukałam w książce telefonicznej wszystkich Erwanów Kermarreców w Finistère. Nie zdziwiło mnie, że znalazłam ich kilku, a dokładnie trzech Erwanów Kermarreców, dwóch Erwanów Kermarreców i trzech E. Kermarreców. Było też wielu Kermarreców, których

imiona nie zaczynały się na „E”.

Rozszerzyłam poszukiwania na całą Bretanię, co spowodowało, że liczba mężczyzn o tym imieniu i nazwisku znacząco wzrosła. Miałam dwie możliwości: dzwonić kolejno do każdego albo postarać się zacieśnić krąg poszukiwań. Postanowiłam najpierw zastosować tę drugą metodę, czyniącą zadanie prostszym do wykonania.

W najbliższy poniedziałek po powrocie z pracy wyjęłam notatki, żeby zadzwonić do trzech głównych siedzib Bractwa i dwóch domów Braci. Najbardziej owocna okazała się rozmowa z przedstawicielką domu w Breście.

– Oczywiście, że znam Erwana Kermarreca – odpowiedziała dyrektorka, kiedy zadałam jej pytanie i wyjaśniłam powód poszukiwań. – Często wprowadza kandydatów i przyjeżdża do nas, żeby uczyć.

Kiedy usłyszałam te słowa, nie zdołałam powstrzymać okrzyku radości.

– Wspaniale! Czy zechciałaby pani podać mi jego numer telefonu?

Wyczułam, że się waha i czekałam na decyzję, gryząc paznokcie – od lat na próżno usiłowałam pozbyć się tego odruchu.

– Doprawdy, nie wiem, czy mogę.

Tego właśnie się obawiałam. Z ust wyrwało mi się ciężkie westchnienie. Ludzie naprawdę nie byli pomocni! Czyżby cały świat sprzysiągł się za moimi plecami, żeby ukrywać przede mną takie rzeczy? Dla innych ludzi tajemnica poliszynela była swoistym stylem życia. Dlaczego tym razem nie trafiłam na osoby lubiące trochę poplotkować, które bez ceregieli podałyby mi potrzebne informacje? Gdyby wszyscy historycy stykali się z taką dyskrecją i powściągliwością, nasza wiedza o przeszłości przypominałaby ser szwajcarski.

Wiem, że jestem niesprawiedliwa. Ta kobieta miała prawo nie podać mi informacji, o które prosiłam. Przecież nawet mnie nie znała.

– Rozumiem – powiedziałam, nie kryjąc zawodu.

Byłam już tak blisko celu, a tak daleko...

– Ewentualnie mogłabym zapisać pani numer i przekazać go Erwanowi, żeby to on do pani zadzwonił.

– O...

Zaskoczyła mnie ta propozycja. Ani przez chwilę nie sądziłam, że to nie ja nawiążę z nim kontakt. Chciałam być przygotowana na tę rozmowę. Wiedziałam jednak, że być może to jedyna szansa na odszukanie Erwana.

Postanowiłam ją wykorzystać.

– Dobrze. Podam pani swój numer.

Tak też zrobiłam. Dyrektorka zanotowała moje nazwisko i telefon, obiecując, że Erwan do mnie zadzwoni. Podziękowałam jej i już zamierzałam się rozłączyć, kiedy przyszło mi na myśl, że mogłabym zadać jej to pytanie, które od początku nie dawało mi spokoju.

– Wie pani może, czy jest żonaty?

\* \* \*

– I co, ma żonę? – zapytała Bérénice.

Siedziałam z dziewczynami, jak co tydzień zajmując się robótkami, i jak w każdy wtorek od początku tej przygody przy szczęku drutów opowiadałam moim przyjaciółkom o najnowszych odkryciach.

– Ona w każdym razie nic o tym nie wie – odparłam. – I nie przypuszcza, żeby kiedykolwiek był żonaty. Dziewczyny, a jeśli on też nigdy nie zapomniał o Amélie?

Angélique otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, ale mój telefon rozdzwonił się, zanim zdążyła się odezwać. Odłożyłam robótkę i odebrałam.

– Dzień dobry, czy mogę mówić z panią Richalet?

Głos w słuchawce był niski i zdradzał, że należy do niemłodego już człowieka.

– Przy telefonie – powiedziałam.

– Przepraszam, że panią niepokoję. Mówi Erwan Kermarrec.

– Och! O!

Odruchowo wyprężyłam się na krześle. „Dziewczyny, to on, to on! To Erwan!” – przekazałam im bezgłośnie, wytrzeszczając oczy i nerwowo wskazując palcem telefon. Wszystkie jak jedna zamarły z drutami w powietrzu i patrzyły na mnie.

– Dobry wieczór, panie Kermarrec! – zwróciłam się do rozmówcy, starając się zachować spokojny ton.

To jednak nie było łatwe, bo czułam się jak zakochany podlotek, który czyta SMS od obiektu swej miłości. Przypominałam sobie wszystkie techniki, jakie stosowałam podczas lekcji, żeby zachować powagę i spokój w kontakcie z uczniami, chociaż wewnątrz cała wrzałam.

– Nawet pan nie wie, jak się cieszę, że pana słyszę! Muszę przyznać, że

trudno było pana odnaleźć.

– Nie wątpię. Laurence wspomniała, że ma pani dokument, w którym figuruje moje nazwisko.

On także od razu przechodził do sedna sprawy. Nie lubił tracić czasu.

Pomyśleć tylko, że chciałam mu zadać setki pytań, potwierdzić albo odrzucić setki hipotez. No i napisać powieść, której byłby bohaterem. Pragnęłam jak najszybciej poprosić go, żeby zechciał ze mną współpracować...

– W pewnym sensie. Ten dokument to list. Napisany przez pana.

W słuchawce zapadła cisza. Potem wypowiedział kilka słów. Z tonu mego rozmówcy wywnioskowałam, że udało mi się wzbudzić jego zainteresowanie.

– Rzadko zdarzało mi się pisać listy...

– Ale ten... Ten nie dotarł do adresatki. Zamiast do jej rąk, trafił w moje.

Wyjaśniłam mu, że mieszkam w Karouac, w dawnym domu dyrektora szkoły. Czułam, że Erwan się zastanawia.

– Kiedy został wysłany ten list?

– W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym roku – odpowiedziałam, coraz bardziej zdenerwowana.

Usłyszałam ciężkie westchnienie. A potem już tylko ciszę.

– Panie Kermarrec, jest pan tam?

– Tak, jestem. Ten list był adresowany do Amélie, prawda?

Nie potrzebował wiele czasu, żeby odgadnąć, o czym mówię.

Czy powinnam uznać to za dowód, że po czterdziestu trzech latach ten mężczyzna wciąż o niej myślał?

– Tak – szepnęłam w odpowiedzi na jego pytanie.

– Jak... jak ten list znalazł się w pani posiadaniu?

Wyjaśniłam mu w kilku słowach, że znalazłam go pewnego dnia między rachunkami i otworzyłam, powodowana zwykłą ciekawością. I że – też z ciekawości – zaczęłam szperać, żeby się dowiedzieć, o co w nim chodziło. I w efekcie postanowiłam odnaleźć autora i adresatkę. Dwoje bohaterów tej historii.

Erwan słuchał, nie odzywając się, a kiedy zamilkłam, zapytał lekko wzruszonym głosem:

– Dwoje bohaterów... Czy udało się pani znaleźć Amélie?

– Tak.

Ale to nie wszystko. Nie zdążyłam jeszcze powiedzieć przyjaciółkom, że tuż przed wyjściem do „Nici Ariadny” zadzwoniła do mnie Chantale i miałam już



numer Amélie.

Moje poszukiwania dobiegały końca.

– I rozmawiała z nią pani? – zapytał Erwan.

– Nie. Jeszcze nie miałam możliwości. Ona nic nie wie o tym liście. Jeszcze nie.

– Proszę posłuchać. Wydaje mi się, że nie mam prawa o to prosić, ale czy zgodziłaby się pani zwrócić mi ten list?

– No cóż... tak, oczywiście – powiedziałam nieco zaskoczona.

Nie tak wyobrażałam sobie rozwój sytuacji, ale skoro tego właśnie chciał... Przecież list należał do niego, miał pełne prawo domagać się jego zwrotu.

– Jeżeli poda mi pan adres, wyślę go pocztą, choćby jutro.

– Ma pani coś do pisania?

– Chwileczkę...

Sięgnęłam do torebki, odszukałam notes i długopis.

– Jestem gotowa, słucham.

Podyktował mi adres i numer telefonu w Finistère.

– Zapisałam, jutro odeślę list.

– Coś mi przyszło do głowy... Przepraszam, że ośmielam się żądać tak wiele, ale... Może zechciałaby pani przywieźć mi go osobiście? Nie chciałbym, żeby znowu się gdzieś zagubił.

– Och, tak, tak, oczywiście. Przyjadę i sama oddam panu ten list. Z przyjemnością.

Mój umysł pracował na pełnych obrotach. Lekcje, egzaminy, poprawa prac egzaminacyjnych... Co najmniej do początku lipca nie miałam wolnej chwili. Potem będą urodziny ojca, jego rocznica ślubu, inwentaryzacja w sklepie – a obiecałam, że mu w tym pomogę. Pomiędzy tymi obowiązkami znalazłabym jednak wolny tydzień.

– Mam kilka dni wolnego tuż przed czternastym lipca. Zaczeka pan tak długo? Obawiam się, że wcześniej nie zdołam się wyrwać.

– Po czterdziestu trzech latach kilka tygodni nie ma większego znaczenia. Dziękuję pani za wszystko, co pani dotąd zrobiła.

– Nie ma za co. Czy mógłby pan polecić mi jakiś hotel albo pensjonat w pobliżu? Może skorzystam z okazji i zrobię sobie kilka dni wakacji.

– Owszem. Mam coś wręcz idealnego. Zarezerwuję pani pokój!

– Nie, proszę się nie kłopotać!

– To już postanowione. Przecież odbędzie pani tę podróż na moją prośbę,

więc z przyjemnością zrobię choć tyle. A poza tym pensjonat należy do mojego bratanka, więc nie zajmie mi to wiele czasu!

– Dobrze, skoro pan nalega!

– Jesteśmy umówieni. Proszę zadzwonić, kiedy ustali pani termin, a ja tu wszystkim się zajmę.

– Zgoda. Odezwę się wkrótce.

– Miłego wieczoru, pani Richalet.

– Flavie – powiedziałam automatycznie. – Miłego wieczoru, panie Kermarrec.

– Proszę mówić do mnie Erwan – usłyszałam.

– Miłego wieczoru, Erwanie.

Rozłączyłam się, lekko oszołomiona tempem, w jakim potoczyły się sprawy, i patrzyłam na dziewczyny, które nie uрониły ani słowa z tej rozmowy.

– Dziewczęta, w końcu udało mi się odnaleźć Erwana.

\*\*\*

## *KAROUAC, BRE TANIA*

31 SIERPNIA 1971

To był jego ostatni wieczór w Karouac.

Erwan poszedł się spotkać z Amélie na plaży, tam gdzie skały tworzyły małą, odciętą od reszty świata zatoczkę. Tam gdzie spotykali się co wieczór przez prawie siedem tygodni.

Tam gdzie tańczyli w księżycowej poświacie. I gdzie przesiadywali godzinami, rozmawiając o wszystkim i o niczym, o planach, o pragnieniach. Tam gdzie całowali się po raz pierwszy.

Czekała na niego, zapatrzona w fale. Niebo było bezchmurne, księżyc w pełni oświecał plażę białym blaskiem. Erwan podszedł do niej bez słowa, wziął ją w ramiona i mocno przytulił, tak mocno, jakby chciał na zawsze zamknąć ją w sercu.

Wreszcie, po czasie długim jak wieczność, odsunął się od Amélie i spojrzał jej głęboko w oczy.

– Amélie, ja...

– Ciii – przerwała mu, kładąc palec na jego ustach. – Nic nie mów. Nie chcę od ciebie żadnych obietnic. Kocham cię, Erwanie. Kocham cię za bardzo, żeby wiązać cię przysięgami, których może nie będziesz w stanie dotrzymać.

– Kocham cię, Amélie. Nad życie...

Te słowa sprawiły, że spojrzała na niego zasnutymi mgiełką, smutnymi oczami.

– W takim razie pisz do mnie, kiedy będziesz mógł i chciał. I wróć do mnie, jeżeli będziesz mógł i kiedy będziesz mógł. Nie zapomnij o mnie.

– Nigdy. Nigdy o tobie nie zapomnę, Amélie. Moja Lili.

Miała łzy w oczach, ale wciąż się w niego wpatrywała. Po długiej chwili pocałowała go delikatnie i czule. Poczł słony smak jej łez, które spływały po policzkach i odmieniały smak ust. Nawet jej język był słony. Erwanowi wydawało się, że serce pęka mu na setki kawałków, bał się, że i on nie zdoła powstrzymać łez. Ujął twarz Amélie w dłonie, przysunął się najbliżej, jak mógł.

Nie chciał wyjeżdżać. Nie chciał już donikąd jechać.

Poczł, że Amélie się cofnęła, i otworzył oczy. A ona, wciąż patrząc na niego, zdjęła lekką bluzkę, zsunęła spódnice, która upadła na piach. Dopiero wtedy Erwan zauważył koc rozesłany na plaży, u ich stóp. Powiódł oczami po gołych nogach dziewczyny, po bieliźnie, płaskim brzuchu, piersiach osłoniętych staniczkiem, który właśnie zdejmowała. Jej jasna karnacja odbijała księżycową poświatę, w której wydawała się wręcz nierzeczywista. Jakby była boginką. Jego boginką.

Jego serce, chwilami i tak szalejące, tłukło się teraz w piersi. Amélie zsunęła stanik, potem figi i zupełnie naga podeszła, by rozpiąć mu koszulę.

Ani na sekundę nie oderwała źrenic od jego oczu.

Erwan odszedł nazajutrz o brzasku, kiedy słońce ledwie zaczęło wynurzać się zza horyzontu, a ciszę zakłócał tylko śpiew nielicznych ptaków. Opuszczał Amélie z ciężkim sercem.

Przyjechał tu pierwszego września i pierwszego września opuszczał Karouac. Ale mężczyzna, który dziś wyruszał w drogę, nie był już tym, który zawitał tu przed rokiem. Dokonała się w nim głęboka przemiana. To Amélie go odmieniła.

Amélie, którą zostawił na plaży, pożegnawszy się pocałunkiem o smaku łez. Nie zgodził się, żeby go odprowadziła, wolał zachować w pamięci jej obraz z plaży – Amélie potarganej, osłoniętej tylko kocem. Tak było łatwiej.

Przynajmniej tak mu się wydawało.

Autobus przyjechał, kierowca otworzył drzwi, żeby wpuścić podróżnych. Erwan wstał, wziął plecak, zarzucił go na ramię, a potem odwrócił się i spojrzał jeszcze w stronę miasta, w stronę plaży. W jej stronę.

– Wsiada pan czy nie? – mruknął kierowca. – Nie mogę tu stać do wieczora!

– Tak, zaraz.

Jeszcze zerknął za siebie, wyszeptał ostatnie pożegnanie, wsiadł do autobusu i dał się ponieść ku kolejnemu etapowi życia.

La Rochelle.

## ROZDZIAŁ 7

Przyjechałam do Pont-l'Abbé w piątek, dziesiątego lipca, w blasku gorącego słońca (tak, słowo daję, to się tam zdarza). Droga z Karouac upłynęła mi spokojnie, bez wartych uwagi problemów. Kierowałam się wskazówkami GPS-u pożyczonego od Cécile i minąwszy miaseczko (naprawdę niewielkie, znacznie mniejsze od Karouac), po kilku kilometrach zaparkowałam przed domkiem stojącym w dość dużym ogrodzie otoczonym wysokimi tujami i usytuowanym niemal nad samym morzem.

Zatrzymałam się przed bramą i szybko zadzwoniłam do ojca, żeby powiedzieć, że bezpiecznie dotarłam na miejsce, nie miałam wypadku ani nie dałam się poćwiartować seryjnemu mordercy udającemu autostopowicza. Potem wysłałam krótkie e-maile do przyjaciółek, przekazując im z grubsza to samo, i wreszcie wysiadłam z czerwonej Biedronki, zarzuciłam torbę na ramię i ruszyłam w stronę drzwi domu. Zadzwoniłam i z biciem serca czekałam, aż Erwan mi otworzy.

Cisza.

Zadzwoniłam jeszcze raz. Nadal nikt się nie pojawił.

Do diaska! Czyżbym przyjechała za wcześnie? Może powinnam zadzwonić i uprzedzić, że wkrótce będę? – pomyślałam, krzywiąc się. Co zrobię, jeżeli się okaże, że nie ma go w domu? Nie wiedziałam, gdzie znajduje się pensjonat jego bratanka, więc nie mogłam nawet zostawić tam bagażu i poczekać. Mogłabym zostawić tu samochód i przejść się po plaży, pomyślałam, dzwoniąc po raz trzeci.

Wciąż nic. Co robić?

Brama była otwarta. Po chwili wahania postanowiłam wejść i okrążyć dom, bo może Erwan wyszedł do ogrodu i dlatego nie słyszał dzwonka.

I rzeczywiście, ktoś tam był. A właściwie nawet dwa „ktosie”, jeśli mogę tak powiedzieć. Zobaczyłam dwie muskularne, barczyste postacie – jedna pochylała się nad pięknym krzewem różanym, druga wyrywała chwasty, które

zuchwale wtargnęły między dwie imponujące azalie.

Zarzuciłam torbę na ramię, poprawiłam włosy, a potem chrząknęłam i zapytałam:

– Pan Kermarrec? Erwan?

Obaj mężczyźni odwrócili się równocześnie i spojrzeli na mnie. Uderzyło mnie, jak bardzo są do siebie podobni. Ta sama kanciasta szczęka, nadająca twarzy stanowczy wygląd, potargane włosy – u jednego szpakowate, u drugiego kruczoczarne, to samo spojrzenie niemal identycznych oczu, które różnił tylko jeden szczegół: te Erwana – bo to musiał być on – były jasnoszare, a młodszego, prawdopodobnie jego bratanka – lazurkowe, o hipnotyzująco intensywnej barwie.

Starłam się zlekceważyć szybsze bicie serca, które zatrzepotało, gdy spotkały się nasze spojrzenia – moje i tego młodszego Erwana. Na swoje usprawiedliwienie mogę jednak dorzucić, że był piękny jak młody bóg i żadna kobieta nie zachowałaby w jego obecności kamiennego spokoju. Szybko, zanim pociekła mi ślinka, skupiłam uwagę na Erwanie. Choć od zamieszczenia jego zdjęcia w gazecie minęły już czterdzieści trzy lata, niewiele się zmienił.

Oczywiście czas odcisnął piętno i na jego postaci, i na twarzy, ale wciąż patrzyły na mnie oczy młodzieńca z fotografii, a z twarzy wciąż wyczierała pewna nieśmiałość, ciepło i dobroć, widoczne na zdjęciu, któremu przypatrywałam się godzinami. Ponad wszelką wątpliwość stał przede mną mężczyzna, którego szukałam przez kilka tygodni.

– Tak, to ja – potwierdził.

Usłyszawszy to, poczułam się lekka, radosna, zupełnie jakbym spotkała samego Świętego Mikołaja, ale w towarzystwie wielkanocnych zajęczków, Trzech Króli i na dzień przed moimi urodzinami. Osiągnęłam cel, do którego dążyłam przez parę tygodni poszukiwań. Odnalazłam Erwana, który wyglądał dokładnie tak, jak sobie wyobrażałam.

Uśmiechnęłam się promiennie i zanim uświadomiłam sobie, co robię, podbiegłam, żeby go uściskać.

– Tak bardzo się cieszę, że nareszcie pana poznałam – powiedziałam. – Nawet pan sobie nie wyobraża, od jak dawna zaprzęta pan moje myśli!

– No cóż, gdybym wiedział, że tak mnie pani powita... – Roześmiał się skrzepowany.

Cofnęłam się o krok, pąsowiejąc ze wstydu.

– Przepraszam, nie wiem, co mnie napadło. Tak często wyobrażałam sobie tę

chwilę, że straciłam kontakt z rzeczywistością. Przepraszam...

– Ale za co? Już tak dawno nie obejmowała mnie żadna młoda i śliczna kobieta! Oczywiście poza moją bratanicą. Zapewniam, że facetowi w moim wieku kobiety nie rzucają się już na szyję!

Odpłaciłam uśmiechem za tę próbę rozgrzeszenia mojego impulsywnego zachowania. Po minie Erwana widać było wszakże, że nadal czuje się zażenowany. Nawet nie przyszło mi na myśl, że tak łatwo wprowadzić w zakłopotanie sześćdziesięcioparolatka, on jednak, jak przystało na dżentelmena, starał się rozładować napięcie, bagatelizując mój nietakt. W dzisiejszych czasach mężczyźni rzadko okazują takie względy nieznanym kobietom.

Po tej krótkiej rozmowie bratanek Erwana zbliżył się do mnie, spojrzał mi w oczy i łagodnym, ciepłym głosem, przyprawiającym mnie o dreszcz, powiedział:

– Dzień dobry. Na imię mi Romaric. Może miałyby pani ochotę czegoś się napić?

Parę minut potem siedziałam ze szklanką soku ze świeżych owoców w ręce na zacienionym przez drzewo tarasie w towarzystwie Romarica. Do diabła, ten facet naprawdę wyglądał jak młody bóg, a w dodatku miał piekielnie seksowne imię. Powiem wprost – szansa, że nie ulegnę jego czarowi, z każdą chwilą malała. Zostaliśmy sami, bo Erwan przedstawił mi bratanek, a zaraz potem poprosił, żebym dała mu chwilę na schowanie narzędzi. Powierzył Romaricowi rolę gospodarza – miał zadbać, żebym się nie nudziła, odpoczywając po podróży na tarasie.

Bratanek doskonale wywiązał się ze swego zadania.

– Jak się pani jechało?

– Dobrze, dziękuję. Nie spotkałam po drodze żadnego wariata ani seryjnego zabójcy. Nie natknęłam się na protest rozwścieczonych rolników, więc muszę przyznać, że szczęście mi dopisało.

Z jego ust wyrwał się śmiech, który przyprawił mnie o zawrót głowy. Bo i ten śmiech był seksowny.

Boże...

– Erwan wspomniał, że mieszka pani w Karouac – zagadnął. – Nigdy nie słyszałem o tym mieście. Gdzie to jest?

– Na Côtes-d’Armor, tuż obok Lannion. Mówi się, że to miasteczko z charakterem, zresztą takie hasło można przeczytać przy wjazdach. Pięć tysięcy mieszkańców, kamienne domy, ukwiecone ogródki, zna pan ten styl?

– Aż za dobrze! – odparł ze śmiechem.

– Ale tak serio, to naprawdę fajne miasteczko i bardzo się do niego przywiązałam przez tych kilka lat, odkąd tam mieszkam.

Uśmiechnął się do mnie i pomyślałam, że w jego oczach mieszka słońce.

– Tak to bywa z bretońskimi miasteczkami, ludzie tam przyjeżdżają, przywiązują się do nich i już zostają.

– Ma pan rację – przyznałam cicho. – I na tym polega urok Bretanii.

Nasze spojrzenia się spotkały, po twarzach błądziły nieco sztuczne uśmiechy. W końcu Romaric odwrócił oczy.

– No tak... A co pani robi w tym „miasteczku z charakterem”? – zapytał z kpiącą miną.

– Pyta pan o sprawy zawodowe?

Skinął głową.

– Uczę historii i geografii w liceum w Lannion.

Spodziewałam się, że jak zwykle usłyszę coś w rodzaju „Och! To ma pani dużo wakacji!”, bo ludzie tak właśnie reagują, słysząc, że ktoś jest nauczycielem, jednak, ku memu zaskoczeniu, Romaric pokiwał głową i powiedział:

– Podziwiam osoby takie jak pani, decydujące się uczyć. Ja chyba nie miałbym dość cierpliwości.

– To nie tyle kwestia cierpliwości, ile miłości.

– Miłości?

– Trzeba kochać historię, przeszłość i chcieć przekazywać wiedzę o niej następnym pokoleniom. Przynajmniej w moim przypadku tak to się zaczęło – zaśmiałam się lekko speszona. – Ale z każdym rokiem coraz trudniej mi zapanować nad uczniami, których zresztą nie zawsze interesuje geografia i historia. Staram się, jak mogę, żeby lekcje były żywe i ciekawe, ale czasami to nie wystarcza... Zresztą, życie nastolatków nie zawsze jest łatwe, a ich problemy odbijają się na nauce. Na to na ogół nic nie mogę poradzić.

– To musi być trudne.

– Nie, właściwie nie. Ale nie chcę psuć nastroju tego pięknego dnia – podjęłam żywo. – Pomówmy o czym innym. Jest pan właścicielem pensjonatu?

– Tak, to kilka kilometrów stąd, na pewno mijala go pani po drodze, To



ośrodek jazdy konnej, przy wyjeździe z Pont-l'Abbé.

– O, czyżby mówił pan o tej pięknej posiadłości z ogromnym ogrodem, gdzie widziałam dwa wspaniałe konie na trawie?

– Tak, to właśnie nasz pensjonat – odrzekł ze śmiechem.

– W takim razie mam szczęście. To miejsce jest urocze.

Przez kilka następnych minut Romaric opowiadał mi o ośrodku, który kilka lat temu otworzył wraz z młodszą siostrą. Wyjaśnił mi, że prowadzą hotel dla jeźdźców i ich koni, a także organizują wycieczki konne. Zwykle jego siostra Gwenn pełniła rolę przewodniczki, jednak w razie potrzeby on także prowadził takie wyprawy.

– Siedziałam na koniu najwyżej dwa razy – przyznałam – ale bardzo dawno temu. Mimo to wydaje mi się, że przejażdżki konne po lasach i plażach to fantastyczna rozrywka.

– A może zabrałbyś Flavie na przejażdżkę, Rom. – Drgnęłam, usłyszawszy za plecami głos Erwana.

## ROZDZIAŁ 8

Pograżona w rozmowie, nie słyszałam, że Erwan do nas podszedł i teraz zastanawiałam się, od jak dawna słuchał naszej rozmowy.

– Ależ nie, nie chcę zajmować panu czasu – zaproponowałam bez przekonania, choć w głębi duszy, słuchając, jak Romaric opowiada o swoich koniach, gorąco zapragnęłam nauczyć się jeździć.

– Jeżeli tylko ma pani ochotę, to na pewno uda nam się znaleźć wolną chwilę – odrzekł natychmiast. – Proszę tylko powiedzieć, a bez problemu coś zorganizuję.

– Ale... czy to na pewno nie jest dla pana kłopot? Bo wydaje mi się, że taka wycieczka by mi się spodobała!

– W takim razie jesteśmy umówieni. Urządzimy sobie przejażdżkę. Prawdopodobnie to ja będę pani towarzyszył, bo Gwenn jest w tym tygodniu dość zajęta – dodał. – Nie ma pani nic przeciwko temu, żeby wyruszył z panią ten gorszy w rodzinie?

– Nic a nic.

Wręcz przeciwnie, szepnął mój głos wewnętrzny. I natychmiast oblałam się rumieńcem.

W odpowiedzi Romaric obdarzył mnie kolejnym płomiennym uśmiechem i ziemia zakołysała się pod moimi stopami.

Dziwne zjawisko...

Erwan usiadł obok mnie, a bratanek podał mu szklanekę soku owocowego.

– Pan także jeździ konno? – zapytałam starszego mężczyznę.

– Teraz już bardzo rzadko, ale kiedyś lubiłem jazdę konną.

– I nie brakuje panu tego?

– Owszem, lecz moje stare kości źle to znoszą.

– Przecież jest pan jeszcze młody!

– Miło mi, że pani tak mówi, ale to niestety nieprawda.

Przez kilka minut prowadziliśmy banalną pogawędkę. Potem, korzystając

z chwili milczenia, wyjęłam z torebki list i podałam go Erwanowi.

– Proszę. Domyślałam się, że niecierpliwie czekał pan na niego.

W chwili kiedy list trafił do prawowitego właściciela, ogarnęło mnie dziwne uczucie. Byłam podniecona, bo po wielu tygodniach zakończyły się moje mozolne poszukiwania, lecz jednocześnie z żalem się go pozbywałam. Oto zamknął się jakiś rozdział mojego życia. Od tygodni, a nawet miesięcy, stale towarzyszyli mi Erwan i Amélie, a ja próbowałam się dowiedzieć, zrozumieć, co między nimi zaszło. A teraz zwróciłam list autorowi, choć nigdy nie dotarł do adresatki. I wciąż nie wiedziałam dokładnie, co się stało.

Nie wiedziałam też, czy w ciągu tych kilku dni, które zamierzałam spędzić w Pont-l'Abbée, zdołam nakłonić Erwana, żeby opowiedział mi całą tę historię.

To było jak powieść, której autor do końca nie daje nam kluczy do wszystkich zagadek.

A jednak, nawet zwracając list nadawcy, nie zakończyłam tej sprawy. Wczoraj, zanim schowałam kopertę do torebki, zrobiłam ksero tekstu i wsunęłam je do notatnika razem z artykułami z gazety i wszystkimi wiadomościami, które zebrałam przez minione tygodnie. Wiedziałam, że nie jest to konieczne, bo zapisałam w pamięci każde słowo, każdy przecinek na kartce, ale po prostu nie potrafiłam się pogodzić z myślą, że już nie będę miała listu, więc przekonałam samą siebie, że robię to wyłącznie ze względu na planowaną powieść (zawsze celowałam we wmawianiu sobie tego, co chciałam usłyszeć). A poza tym jeszcze przepisałam treść odręcznie. Muszę się przyznać, że tak naprawdę chciałam w ten sposób uniknąć pożegnania. opóźnić zamknięcie tego rozdziału.

W tym okresie nienawidziłam pożegnań. Do dziś ich nie lubię, ale z czasem, zyskawszy doświadczenie, nauczyłam się lepiej sobie z nimi radzić.

Erwan bez słowa ujął list czubkami palców, jakby się bał, że go zniszczy samym dotykem.

– Dziękuję – powiedział, oglądając uważnie kopertę, ale nie wyjął kartki.

Romarcic spojrzał na mnie i zapytał;

– Jeżeli dobrze zrozumiałem, dostała pani ten list jak każdy inny?

– Tak. Chociaż może się to wydawać nieprawdopodobne, zaginął gdzieś na poczcie i przeleżał w jakimś miejscu czterdzieści trzy lata. W końcu dotarł pod wskazany adres, ale otrzymałam go ja, a nie osoba, do której został wysłany.

- To rzeczywiście nieprawdopodobna historia.
- Nieprawdopodobna, lecz prawdziwa.
- I mając tylko ten list, odnalazła pani Erwana? – zdziwił się Romaric.
- Właśnie tak. Nie było łatwo, ale w końcu mi się udało.

W paru słowach opowiedziałam im o poszukiwaniach, nie wspominając tylko o tropach, które zawiodły. Opowiedziałam, jak trafiłam do Chantale, a potem zdobyłam artykuły ze starych gazet, wreszcie przytoczyłam rozmowę z ojcem François, „który prosił, żeby się pan do niego odezwał”, dodałam, patrząc na Erwana. Nie pominęłam oczywiście telefonu do Domu Braci w Breście.

- Czyli jeszcze nie rozmawiała pani z Amélie?
- Nie.

Kiedy już zgodziłam się oddać list Erwanowi, nie śmiałam do niej zadzwonić, chociaż bardzo chciałam to zrobić. Co mogłabym jej powiedzieć? „Dzień dobry, dostałam list adresowany do pani, autor prosi w nim panią o rękę. Ale ten list nigdy do pani nie dotarł, a ponieważ mam go wkrótce zwrócić nadawcy, tak szybko go pani nie przeczyta! Życzę miłego dnia!”.

Nie przeszłoby mi to przez usta, toteż z bólem serca zrezygnowałam z rozmowy z Amélie.

- Ale ma pani jej telefon? – pytał dalej Romaric.
- Tak, mam jej numer.

Odwróciłam się do Erwana.

– Podać go panu? – zaproponowałam spontanicznie, lecz widząc cierpienie w jego oczach, natychmiast pomyślałam, że nie powinnam tego robić.

Patrzył na mnie długo. Dostrzegłam w tym spojrzeniu wahanie. Po chwili jednak pokręcił głową, zwracając oczy na wciąż zamknięty w kopercie list.

- Już za późno... A poza tym ona jest mężatką.
- Rozwiodła się – wyrwało mi się, zanim ugryzłam się w język.

Naprawdę, któregoś dnia zgubi mnie ta impulsywność. Albo – co gorsza – kogoś zrani.

Erwan gwałtownie uniósł głowę i już myślałam, że zmienił zdanie. Ale on tylko pokręcił głową.

- To było tak dawno. Już za późno.
- Erwanie... – zaczął Romaric.

Rozbrzmiewająca w kieszeni melodyjka nie pozwoliła mu dokończyć.

- Przepraszam na chwilę – powiedział, patrząc na ekran telefonu. – To

Gwenn.

Odszedł, a ja położyłam rękę na dłoni Erwana. Nie mogłam tak łatwo zrezygnować.

– Gdyby zmienił pan zdanie, z radością podam panu adres i telefon Amélie.

I wtedy wyczytałam to z jego oczu.

Pokusę, żeby powiedzieć: „tak”.

Pragnienie, by to zrobić.

Ale tak szybko wyparła je rezygnacja, że nie byłam już pewna tego, co widziałam.

– Dziękuję, Flavie, ale...

– Ale?

– Nie, nic. Dziękuję, że przywiozła mi pani ten list. To dla mnie bardzo ważne.

– To drobiazg – szepnęłam. – I bardzo się cieszę, że mogłam wyświadczyć panu tę przysługę.

– Przepraszam, ale Gwenn mnie potrzebuje, muszę wracać do ośrodka – powiedział Romaric, podchodząc do nas. – Flavie, chce pani skorzystać z okazji i pojechać za mną?

– Tak, bardzo chętnie – odparłam, wstając. – Erwanie, czy mogę pana potem odwiedzić? Kiedy będzie pan chciał? Jest... coś, o czym chciałabym z panem porozmawiać.

– Skoro tak, proszę przyjść dziś na kolację.

– Z największą przyjemnością.

– Czekam na panią o siódmej.

– Dziękuję. Do zobaczenia wieczorem!

Po wyjściu Flavie Erwan usiadł na tarasie, wciąż trzymając w ręce list.

List, którego Amélie nigdy nie przeczytała.

Amélie. Lili...

To tak wiele wyjaśniało. Że nie przyjechała. Nie pisała.

Co myślała przez tyle tygodni, nie mając od niego żadnych wiadomości? Czy uznała, że o niej zapomniał? Że puścił w niepamięć wszystkie obietnice, które złożyli na plaży?

Ile razy w ciągu tych czterdziestu trzech lat zadawał sobie pytanie, dlaczego nie odpisała na jego list? Czemu nigdy nie przyszło mu na myśl, że mogła go

po prostu nie dostać? Brał pod uwagę wszystkie możliwości poza tą jedną.

Poza tą jedną...

Dlaczego był taki głupi? Powinien jechać do Paryża, kiedy się dowiedział, że ona tam jest. Powinien powiedzieć jej matce, kim jest. Powinien odłożyć na bok zranioną dumę i za wszelką cenę nakłonić panią Lacombe, żeby podała mu adres córki. Powinien zrobić wszystko, co w jego mocy, żeby udowodnić Amélie, że o niej myślał. Żeby udowodnić, że ją kocha. I że jest jej wart. Że tylko ona jest kobietą jego życia.

Nie powinien się tak łatwo pogodzić z jej milczeniem, tylko walczyć i czekać.

To największy błąd, jaki kiedykolwiek popełnił. Błąd, którego gorzko żałował, odkąd się dowiedział, że Amélie nie dostała jego listu.

Odchylił głowę do tyłu i zamknął oczy, by po raz enty przywołać wspomnienie tego telefonu.

\*\*\*

## LA ROCHELLE PAŹDZIERNIK 1971

Erwan wsłuchiwał się w miarowy sygnał w słuchawce i w głośnie bicie własnego serca, które wyrywało się z piersi, targane lękiem, niepewnością, zniecierpliwieniem.

Pięć tygodni. Już pięć tygodni temu wysłał list do Amélie. I od pięciu tygodni cierpliwie czekał. Co wieczór. Początkowo nie miał powodu do niepokoju. List musiał do niej dotrzeć, potem musiała odpisać, więc nie spodziewał się wiadomości przed upływem tygodnia. Ale minął drugi tydzień, po nim trzeci, czwarty i piąty, więc teraz już się bał. Nie wiedział, jak rozumieć jej milczenie. Dlatego postanowił zadzwonić.

– Halo?

W słuchawce rozległ się kobiecy głos. Erwan nabrał tchu i powiedział:

– Dzień dobry, czy to mieszkanie państwa Lacombe?

– Tak, słucham.

– Dzień dobry pani, czy mogę mówić z Amélie? – Czuł, że jego serce uderza już o żebra. Drżały mu ręce. Po raz pierwszy rozmawiał z jej matką.

– Przykro mi, ale Amélie nie ma. A kto mówi?

– Jestem... jestem jej przyjacielem.

– Przyjacielem?

– Tak, przyjacielem. Mam na imię Erwan – dodał. – Wie pani, kiedy wróci?

– Kiedy wróci? Ależ ona już tu nie mieszka, studiuje teraz w Paryżu.

To było jak uderzenie obuchem. W Paryżu... Ale co... Jak to? Dlaczego mu nie powiedziała, że udało jej się przekonać rodziców? Dlaczego nie wspomniała o tym na plaży wtedy wieczorem, gdy widzieli się po raz ostatni? Nie mógł tego zrozumieć. Musiał z nią porozmawiać.

– Czy zechciałaby pani powiedzieć mi, jak mogę się z nią skontaktować?

– Posłuchaj, młody człowieku. Sprawiasz wrażenie bardzo dobrze wychowanego, ale nie znam cię, a nie wyobrażam sobie, że mogłabym podać adres córki nieznajomemu.

Erwan zamknął oczy, czując, jak przeszywa go ostry ból. Oczywiście, że jej matka go nie zna, skąd mogłaby wiedzieć... Amélie nie mówiła o nim rodzicom.

– Rozumiem – odrzekł. – Kiedy... kiedy będzie pani z nią rozmawiała, czy mogłaby pani przekazać, że próbuję się z nią skontaktować? Czy mogłaby pani zanotować mój adres?

– Chwileczkę, tylko wezmę coś do pisania. Proszę mówić, słucham.

Podał jej swoje nazwisko i adres oberży, tej samej, o której napisał Amélie.

– Proszę jej powiedzieć, że zostanę tu do Bożego Narodzenia. Proszę jej powiedzieć...

„Proszę jej powiedzieć, że tęsknię za nią tak, że tracę oddech, że bez niej żaden dzień nie ma smaku, wszystkie są monotonne, bo to ona jest słońcem mojego życia i nie mogę ani nie chcę bez niej żyć”, miał ochotę wykrzyczeć.

Ale nic więcej nie powiedział. Nie mógł powiedzieć tego matce Amélie. Bo matka Amélie go nie знаła.

– Proszę jej powiedzieć, że będę czekał na telefon, na list. Co tylko zechce – zakończył.

I rozłączył się, nie żegnając pani Lacombe ani jej nie dziękując. Z ciężkim sercem odłożył słuchawkę.

Viviane Lacombe odłożyła słuchawkę, wyrwała kartkę, na której zapisała dane chłopaka, i schowała ją do szuflady, obiecując sobie, że sięgnie po nią, kiedy będzie pisała list do córki. Ale los, który zdecydowanie nie sprzyjał Erwanowi, postanowił inaczej i po kilku dniach, porządkując stare papiery, poniewierające się od dawna w szufladzie, ojciec Amélie wyrzucił cenną kartkę, nawet na nią nie patrząc.

A Erwan wciąż czekał na telefon. Nie doczekał się nigdy.



## ROZDZIAŁ 9

– Erwanie, to było po prostu wyśmienite! – westchnęłam, delektując się ostatnią truskawką, kiedy tego wieczoru siedzieliśmy przy stole.

– A może jeszcze trochę sałatki owocowej?

– O nie, dziękuję! Gdybym zjadła jeszcze łyżeczkę, chyba bym pękła!

– W takim razie kawy czy herbaty?

– Jeżeli zaproponuje mi pan za pół godziny, to z przyjemnością napiję się herbaty.

– Zapamiętam!

Odchyliłam głowę do tyłu i patrząc w niebo, odetchnęłam głęboko.

Siedzieliśmy na tarasie, słońce zaczynało wolno znikać za horyzontem. Upał, jaki panował w ciągu dnia, minął, nastawał ciepły i przyjemny wieczór. Lekki wiatr od morza niósł zapach jodu i alg. Było mi dobrze. I tak spokojnie.

Trwały wakacje, a ja wyraźnie czułam, jak skumulowane przez cały rok szkolny napięcie stopniowo mija, jak rozluźniają się mięśnie mojej szyi, ramion, pleców.

Zgodnie z umową, po wprowadzeniu się do pokoju w pensjonacie i rozpakowaniu niewielkiej walizki przyjechałam do Erwana na kolację.

Spędziliśmy ten wieczór, gawędząc o tym i owym, a po kilku godzinach byłam już pewna, że mój rozmówca to człowiek zasługujący na sympatię i szacunek. Cechowała go dobroć i szlachetność, był otwarty i życzliwy. Można powiedzieć, że także rycerski, co w naszych czasach raczej już się nie zdarza – który mężczyzna pamięta jeszcze, że należy wysunąć krzesło, pomagając kobiecie, gdy ta siada do stołu?

Gdyby nie fakt, że mógłby być moim ojcem, to prawdopodobnie uległabym czarowi mężczyzny o takich manierach i tak miłego. Już nie wątpiłam, że Amélie naprawdę się w nim zakochała. I idę o zakład, że niegdyś cieszył się dużym powodzeniem.

– Nie powiedziała mi pani jeszcze, co pani myśli o pensjonacie Romarica i Gwenn – odezwał się Erwan, przerywając moje rozmyślenia o nim. – Podoba się pani?

– O tak, nawet pan sobie nie wyobraża, jak bardzo. Jest świetny.

I nie mówiłam tego ze względu na jego bratanika – atrakcyjnego, a przy tym bardzo uprzejmego. Od pierwszej chwili to miejsce urzekło mnie atmosferą spokoju. Z jednej strony miało dostęp do morza, choć oczywiście trzeba było przejść kilkaset metrów ścieżką wiodącą na brzeg, a inna dróżka prowadziła do lasu po drugiej stronie ośrodka. Wybieg dla koni, których jeszcze nie widziałam, zajmował duży obszar na lewo od budynku.

Pensjonat przypadł mi do gustu, zanim jeszcze przestąpiłam jego próg, ale muszę przyznać, że wystrój wnętrza po prostu mnie oczarował. Do drewnianego parkietu doskonale pasowała jasna boazeria sięgająca do połowy ścian pomalowanych na miłe dla oka pastelowe kolory. W holu wisały dziesiątki zdjęć Romarica i jego siostry na koniach. Po lewej stronie schody prowadziły na górę, po prawej znajdował się przestronny salon, a dalej, za wykutym w ścianie łukiem, kuchnia. Na zewnątrz taras i drobna niespodzianka – basen. Oglądając pensjonat, byłam pod wrażeniem jego powierzchni, znacznie przerastającej oczekiwania osoby, która widziała budynek z ogrodu, a jednocześnie urzekła mnie przytulność tego miejsca. Powiedziałam o tym Romaricowi. Jego pensjonat zdawał się serdecznie zapraszać gości i witać ich z otwartymi ramionami, kiedy tylko stanęło się w progu.

– Romaric i pańska bratanica, Gwenn, tak? – Erwan skinął głową – stworzyli miejsce, w którym chce się przebywać. Wiem, że je polubię. A skoro już o tym mowa, dziękuję, że zarezerwował pan pokój dla mnie. To naprawdę miło z pana strony.

– Ależ, Flavie, to dla mnie żaden problem, nie ma za co dziękować. A Romaric miał jeszcze wolne miejsca.

Wykorzystałam okazję, żeby dowiedzieć się czegoś więcej.

– Chyba jesteście sobie bardzo bliscy?

– On i Gwenn są dla mnie jak własne dzieci. Kiedy przed dwudziestu laty ich rodzice zginęli w wypadku samochodowym, to ja zostałam prawnym opiekunem obojga.

– O, Boże... To musiało być dla nich straszne.

– Tak. Romaric wchodził w okres dojrzewania, więc i tak był w trudnym

wieku, a Gwenn miała zaledwie dziesięć lat. Przeżyli ciężkie chwile.

– Domyślam się, że pan także. Jeśli mogę zapytać: ich ojcem był pana brat?

– Tak, to dzieci mojego młodszego brata.

– Na szczęście był pan przy nich. Nie musieli dorastać w rodzinie zastępczej.

– Za wszelką cenę chciałem temu zapobiec. Walczyłem, żeby zatrzymać dzieci, a ponieważ byłem samotny, nie bez problemu wygrałem tę batalię.

– Nigdy się pan nie ożenił?

– Nie.

Na chwilę zapadła cisza, a ja po raz setny w ciągu tego miesiąca zastanawiałam się, czy to uczucia, jakie Erwan żywił (nadal?) do Amélie, spowodowały, że nigdy się nie ożenił.

– Czyżby nigdy nie spotkał pan odpowiedniej kobiety?

– Przeciwnie, to dlatego że ją spotkałem. I że jak idiota pozwoliłem jej odejść.

Przez chwilę obserwowałam go, jeszcze się wahając.

– Czy mogę o coś zapytać? – odważyłam się w końcu. – Ale jeżeli to pana krępuje – dodałam półgłosem – albo jeśli miałoby to sprawić panu przykrość czy jeżeli po prostu nie chce pan o tym mówić, może mnie pan bez ceregieli posłać do diabła, zgoda?

– Zgoda. O co chciała pani zapytać?

– Właściwie to prośba, a nie pytanie. Chciałabym... Czy zgodziłby się pan opowiedzieć mi tę historię? Historię pana i Amélie.

– Proszę zrozumieć, że to zupełnie banalna sprawa. Czysta klasyka. Poznałem dziewczynę, kochaliśmy się przez całe lato, a potem życie nas rozdzieliło. Nie da się z tego stworzyć powieści...

– Prawdę mówiąc...

– Tak?

– Właśnie taki mam zamiar.

– Napisać powieść?

– Uhm.

– Jak to?

– Powiedzmy, że kiedy nie uczę w szkole, piszę. Trochę. Romanse. I zastanawiałam się, czy zgodziłby się pan... Po prostu bardzo chciałabym opisać waszą historię. Opowiedzieć o pana spotkaniu z Amélie.

– Wie pani przecież, że to historia bez szczęśliwego zakończenia.

Na razie, pomyślałam.

– Tak – powiedziałam głośno. – Ale zastanawiałam się, czy ewentualnie nie zmienić zakończenia, doprowadzając do spotkania pana, to znaczy mojego bohatera, z ukochaną. Oczywiście jeżeli pan się zgodzi.

– Książka zostanie wydana?

– Nie. Nie planuję tego. Nie piszę, żeby publikować, tylko dla przyjemności opowiadania. Widzi pan, to przypomina mi dzieciństwo, kiedy razem z ojcem wymyślaliśmy różne historie.

– Rozumiem.

– To znaczy – zapytałam nieśmiało – że pan się zgadza?

– Właściwie nie mam powodu odmawiać.

\*\*\*

– Czy uwierzy pani – powiedział nieco później, wracając z dwiema filiżankami: herbatą dla mnie i kawą dla siebie – że nigdy dotąd nie opowiadałem o tym nikomu? Pani pierwsza usłyszy tę historię.

– A bratanek i bratanica?

– Nie – odparł, podając mi filiżankę.

– Dziękuję...

– Po prostu nigdy nie nadarzyła się okazja. To były dawne dzieje już wtedy, kiedy się urodzili, i nie przyszło mi do głowy, żeby z nimi kiedyś rozmawiać.

– Tak, rozumiem. A zamierza im pan kiedyś o tym powiedzieć?

– Oczywiście, jeżeli zechcą słuchać. To przecież żadna tajemnica, a tylko historia pewnej znajomości.

Uśmiechnęłam się, nic nie mówiąc. Byłam przekonana, że to coś znacznie więcej.

Erwan usiadł wygodnie na krześle, postawił filiżankę z kawą na stoliku przed sobą i zaczął opowiadać:

– Po raz pierwszy zobaczyłem ją na zabawie czternastego lipca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego roku. Od tego czasu minęły niemal dokładnie czterdzieści trzy lata. Tego wieczoru nosiła czerwoną sukienkę i była najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widziałem...

W ten sposób Erwan zaczął opowieść o sobie i Amélie i snuł ją przez

godzinę. Ich spotkanie na zabawie. Wieczory na plaży. Miłość, jaką ją darzył. Wyjazd i bolesne pożegnanie. Tęsknota, głód bliskości i list. Po kilku tygodniach, kiedy nie mógł już wytrzymać życia bez niej – telefon. Oczekiwanie i kolejne tygodnie bez żadnej wiadomości od ukochanej. I wreszcie rezygnacja. Decyzja, by żyć własnym życiem, Podróż po Francji. A po kilku latach powrót do Karouac – w dniu jej ślubu z innym.

Słuchałam go w milczeniu, chłonąc każde słowo, wczuwając się w emocje, jakie były udziałem młodego Erwana, gdy bez końca czekał na odpowiedź Amélie. Nie zdołałam powstrzymać łez, kiedy opowiadał o rozmowie z jej matką. Jedna z tych łez ośmieliła się nawet spłynąć mi po policzku, gdy wyobraziłam sobie scenę przed kościołem.

Co za szkoda! Byli tak blisko szczęścia. Mieli je na wyciągnięcie ręki.

– Powiniennem być bardziej uparty – powiedział z żalem w głosie Erwan. – Nie powiniennem tak szybko się poddawać. Widząc, że Amélie nie reaguje na żadne próby nawiązania kontaktu, powiniennem zrobić, co w mojej mocy, żeby spotkać się z nią osobiście. Choćbym musiał przerwać na jakiś czas moją pracę. Odnaleźć Amélie i przekonać.

– Dlaczego pan tego nie zrobił? – zapytałam szeptem, starając się zapanować nad drżeniem głosu.

Jeszcze nigdy żadna opowieść nie wzruszyła mnie tak głęboko. Oczywiście zdarzało mi się – i to nawet często – płakać, opisując szczególnie bolesne albo pełne uczucia sceny (jeżeli komuś o tym powiecie, nie przyznam się, że kiedykolwiek coś takiego powiedziałam), ale jeszcze nigdy nie przenikał mnie ten wręcz fizyczny ból. Potworny ból. Dlaczego życie rozdzieliło tych dwoje?

– Chyba uniosłem się dumą. Źle pojmowaną, kompletnie nie na miejscu. Poczułem się urażony, że nie powiedziała o mnie rodzicom, chociaż wiedziałem, że nie mogła tego zrobić. Byłem rozczarowany, że nie próbowała mnie odnaleźć. Że nie dotrzymała obietnicy, przecież miała na mnie czekać tak długo, jak będzie trzeba. Zacząłem myśleć, że prawdopodobnie byłem dla niej tylko letnią przygodą, rozrywką, a jej obietnice to tylko słowa rzucone na wiatr, że składała je pod wpływem chwili. Że nie chciała mnie więcej widzieć i dawała mi to do zrozumienia, ignorując mnie. Nigdy nie przyszło mi na myśl, że mogła nie dostać tego listu. A dziś zastanawiam się, czy matka przekazała jej, że dzwoniłem tamtego wieczoru. Nie wiem. Nie mam pojęcia, co się wydarzyło. Co myślała, co czuła. Wiem tylko, że może nie wyszłaby za tamtego mężczyznę, gdybym potrafił udowodnić, że ją kocham. Gdybym okazał

więcej uporu. Nie zasłużyłem na nią.

– Proszę tak nie mówić. Oczywiście, że pan na nią zasłużył... I nadal pan zasługuje.

– Już za późno.

Milczałam przez chwilę.

– Wciąż pan ją kocha, prawda?

Właściwie było to pytanie retoryczne.

– Wydaje mi się, że nigdy nie przestałem jej kochać. Nawet kiedy czułem się zraniony, kiedy byłem na nią wściekły, bo nie dotrzymała słowa, bo nie czekała na mnie, choćby wbrew całemu światu, nie przestała być kobietą mojego życia. Nie ma dnia, żebym o niej nie myślał.

Miałam wrażenie, że serce mi pęka. Choć minęły czterdzieści trzy lata, Erwan kochał Amélie tak samo, jak pierwszego dnia. Mimo rozłąki, mimo upływu czasu, mimo że nic już o sobie nie wiedzieli, kochał ją namiętnie, do szaleństwa.

Musiałam coś zrobić. Nie mogłam znieść myśli, że jest tak nieszczęśliwy, podczas gdy trudno było wykluczyć... że Amélie także nadal go kocha.

Musiałam wy badać tamtą stronę. Nie mogłam tak ich zostawić. Jeśli była choć isierka nadziei, że odzyskają szczęście, to nie mogłam pozwolić, żeby zgasła.

I natychmiast zaczęłam układać plan działania.

Już wiedziałam, co zrobię.

– W takim razie, lepiej późno niż wcale – szepnęłam. – Miłość taka jak ta zdarza się rzadko i trzeba o nią dbać. I nigdy nie jest za późno, żeby o nią walczyć.

Erwan westchnął i rzucił mi smutny uśmiech.

– Jest pani taka młoda, Flavie. Kiedyś pani zrozumie, że czasem miłość to za mało, żeby rozwiązać wszystkie problemy i pokonać wszystkie przeszkody.

– Wiem o tym, Erwanie. Wiem... – Westchnęłam jak on przed chwilą. – Mojej matce też nie wystarczyła.

– Pani matce?

Przyszła kolej, żebym teraz ja opowiedziała mu o czymś, czego nie wiedział nikt, nawet moje klubowe przyjaciółki. To była moja rana. Krzyż, który musiałam dźwigać.

I prawdopodobnie jeden z powodów, a może nawet jedyny, dla którego tak gorąco pragnęłam, żeby Erwan i Amélie znów się spotkali. I żeby się nie

okazało, że dla nich jest już za późno.

– Moja matka odeszła, kiedy miałam pięć lat. Zostawiła ojca i mnie; ze łzami w oczach powiedziała, że bardzo nas kocha, ale dusi się w Lannion. Że chce czegoś więcej. I zasługuje na więcej. Złamała ojcu serce. Nigdy się nie ożenił powtórnie, bo nigdy nie zapomniał mojej matki. Od tamtego dnia nie kontaktowała się z nami. Nie zdarzyło się, żeby zadzwoniła w moje urodziny, nie przysłała mi nawet jednej kartki z życzeniami. Nie przyszła na wręczenie dyplomu. Najzwyczajniej w świecie wymazała nas ze swojego życia.

– Musiało być pani bardzo ciężko.

– Przez całe lata jej nienawidziłam. Miałam do niej żal o to, co nam zrobiła. Wielki żal. I nie rozumiałam tego. Jak mogła nas porzucić? Jak można mówić, że kocha się rodzinę i zostawić ją tak po prostu, w jednej chwili, nie oglądając się za siebie, nie żałując? Już tamtego dnia zrozumiałam, że miłość nie zawsze wystarcza...

– Współczuję pani.

– Teraz to już tylko przeszłość. Odzyskałam spokój, pogodziłam się z tym. Już nie mam do niej żalu. Po prostu wykreśliłam ją ze swego życia. Ale wiem, że ojciec wciąż jeszcze cierpi. Choć minęło już niemal ćwierć wieku. I nie mogę mu pomóc. Ale panu mogę. Dla pana jeszcze nie jest za późno, Erwanie!

– Jest tam kto? – Od strony domu dobiegł kobiecy głos.

– Siedzimy na tarasie! – zawołał Erwan, nie odrywając ode mnie oczu. – Flavie, przemyślę to sobie – dodał, zniżając głos. – Obiecuję.

– Dziękuję... – szepnęłam.

– Co obiecujesz, Erwanie? – zapytała właścicielka głosu.

Była mniej więcej w moim wieku. Jej lśniące, kasztanowe włosy układały się w loki. Uśmiechnęła się i zanim jeszcze Erwan nas sobie przedstawił, wiedziałam, kim jest.

Podobieństwo rzucało się w oczy.

– Gwenn – powiedział Erwan, wstając, żeby ucałować bratanicę – przedstawiam ci Flavie.

– Dzień dobry, Flavie! Przepraszam, że nie przywitałam pani u nas, ale nie mogłam wyjść ze stajni. Czyściliśmy właśnie boksy i, szczerze mówiąc, przesiąkłam zapaszkiem, który trudno nazwać przyjemnym. Rozumie pani, co mam na myśli?

– Doskonale rozumiem!

– Romaric już idzie, rozmawia przez telefon. O, już jest!

Rzeczywiście, wyłonił się zza domu i nasze oczy bezwiednie się spotkały. Uśmiechnął się do mnie, a wtedy znów poczułam, że ziemia kołysze mi się pod stopami.

Niesamowite...

– Dobry wieczór – powiedział.

– Dobry wieczór – odparłam.

Trzeba przyznać, że nie było to zbyt oryginalne.

– No, Erwanie, co obiecywałeś? – Gwenn nie rezygnowała.

– Ciekawość to pierwszy stopień do piekła, chyba już ci to mówiono? – odparł Erwan, drocząc się z bratanicą.

– Owszem, mówiono! – rzuciła, podchwytyjąc jego ton. – I to po pięć razy dziennie! Ale ja wciąż jestem ciekawa! Mów!

– Obiecałem Flavie, że zatańczę z nią na balu czternastego lipca.

Uniosłam brwi, spoglądając na Erwana, a on mrugnął do mnie porozumiewawczo.

Wyglądało na to, że mam już plany na wieczór święta narodowego.



## ROZDZIAŁ 10

Nazajutrz wstałam rano, obudzona głośnym odgłosem buta spadającego na podłogę i głośnymi szeptami osób wyruszających na konną wycieczkę. Po dziesięciu minutach, kiedy szczegółowo poznałam program dnia sąsiadów z pokoju obok – ponoć wystarczyło kilka godzin w siodle, żeby dotrzeć nad uroczą zatokę, wręcz idealną na piknik – i pomyślałam, że też chętnie bym ją zobaczyła, zrezygnowałam z dalszego snu, wzięłam szybki prysznic, a potem usiadłam na tarasie, w słońcu, z robótką w rękach, żeby poczekać, aż tamci się wyniosą i przyjdzie pora na śniadanie.

– Ładnie robi pani na drutach – usłyszałam za sobą. – To dla jakiegoś maluszka?

Odwróciłam głowę, uśmiechając się. Romaric stał oparty o framugę okna, a poranne słońce rozświetlało jego rudawe włosy.

– Nie, dla pingwinów – odparłam z pełną powagą.

Lekko zbity z tropu zmarszczył brwi, nie wiedząc, czy żartuję, czy też mówię serio. Rozbawiona postanowiłam mu to wyjaśnić.

– W Australii działa fundacja, której celem jest ochrona pingwinów. Chodzi o ratowanie ofiar katastrof ekologicznych, które wpadły w plamy ropy naftowej, i tym podobne sprawy. Ubrane w to nie mogą próbować samodzielnie czyścić piór z mazutu. Poza tym sweterki utrzymują ciepło, bo mazut pozbawia pingwiny naturalnej ochrony. Ja i kilka moich przyjaciółek postanowiłyśmy wysłać trochę takich ubranek, żeby przyczynić się do ratowania tych biedacw.

– Sweterki dla pingwinów?

– Uhm.

– Jest pani pewna, że to nie żart?

Doskonale rozumiałam jego sceptycyzm, bo zareagowałam tak samo, kiedy usłyszałam o tym od Angélique. Ale wszystko sprawdziłyśmy, ta inicjatywa była poważna i uczciwa. Toteż całym sercem zaangażowałyśmy się w walkę

o pingwiny.

A poza tym to dość oryginalne i miłe, pomyśleć sobie, że gdzieś małe zwierzątko nosi sweterek zrobiony z miłością.

– Tak, jestem pewna.

– No cóż... Dziś wieczorem będę zasypiał odrobinę mądrzejszy. Nie przypuszczałem, że pingwiny potrzebują swetrów.

– Ale tylko te upačkane ropą naftową! Nie wszystkie!

– Tak, rozumiem. To istotna różnica.

– Wręcz zasadnicza.

Uśmiechnął się rozbawiony.

Tym razem ziemia nie zakołysała mi się pod nogami, lecz podejrzewam, że stało się tak tylko dlatego, że nie dotykałam jej stopami.

Uśmiech Romarica naprawdę przyprawiał o zawrót głowy i drzenie serca.

Także mojego.

– Jeżeli ma pani ochotę na śniadanie, to już czeka.

– Skończę ten rząddek i przyjdę.

– Ma pani jakieś plany na dziś? – zapytał nieco później, kiedy przełykałam ostatnie kęsy śniadania dla olbrzymów, które mi przygotował: były to płatki, jogurt, opiekana bagietka, omlet z serem...

Pomyślałam, że zanim to strawię, zacznie się ściemniać. Na szczęście nie planowałam obiadu w restauracji.

Mówiąc, nalał sobie gorącej kawy i wypił ją na stojąco, przy bufecie w kuchni.

Przechyliłam głowę nad oparciem krzesła i trzymając w ręce kubek z herbatą, patrzyłam na Romarica.

– Zamierzałam zwiedzić dwór w Kerzalec. Przeglądając przewodniki, dowiedziałam się, że to miejsce pamięta kawał historii, a podobno w parku o tej porze roku warto spędzić kilka chwil. To świetna okazja, żeby tam wpaść.

– To wszystko prawda – potwierdził Romaric. – Wydaje się, że w tym miejscu czas się zatrzymał. A pani, jako nauczycielce historii, z pewnością bardzo się tam spodoba. Wie pani, że Erwan wyrzeźbił fontannę, która stoi w parku, tuż przed budynkiem?

Ze zdumienia szeroko otworzyłam oczy. To była bardzo ciekawa informacja.

– Nie, nie wiedziałam. W takim razie koniecznie muszę tam pojechać, żeby ją zobaczyć.

– Przekona się pani, że jest... całkiem udana. Zresztą, po co kłamać, jest wspaniała.

– Rozbudził pan moją ciekawość! Proszę powiedzieć mi coś więcej o tej fontannie. Kiedy powstała?

Romarc lekko się uśmiechnął.

– To było jakieś trzydzieści lat temu, na początku lat osiemdziesiątych. Byłem wtedy za mały, żeby naprawdę coś pamiętać, ale Erwan opowiadał mi o tym. Kiedy posiadłość została kupiona przez obecnego właściciela, bogatego mecenasa sztuki, który nie wie, co robić z pieniędzmi, dwór poddano renowacji. Przy tej okazji odnaleziono stare plany pochodzące z dziewiętnastego wieku, z czasów ostatnich panów de Kerzalec. Był tam też projekt kamiennej fontanny z posągami. Właściciel słyszał o Erwanie, o pracach, które wykonał podczas swojej Podróży po Francji. Bo przypuszczam, że pani wie o jego przynależności do Bractwa Rzemieślników?

– spytał z dumą.

Pokiwałam głową.

– I pewnego pięknego dnia właściciel Kerzalec przyszedł do pracowni i powiedział: „Panie Kermarrec, widziałem pana prace, ma pan talent. Chcę odrestaurować dwór Kerzalec i cieszyłbym się, gdyby dołączył pan do mojej ekipy. Przyjmie pan moją propozycję?”.

– Tak po prostu, bezpośrednio?

– Tak, tak po prostu.

– A co odpowiedział pana stryj?

– Powiedział: „Najpierw zobaczymy, jaką ma pan dla mnie propozycję”. Wtedy właściciel wyjął plany fontanny i bez słowa położył je przed Erwanem.

– I co?

Wpatrywałam się w niego, czekając na odpowiedź.

Powiedzmy, że wpatrywałam się, ciekawa tylko jego odpowiedzi...

– Wystarczył jeden rzut oka, żeby Erwan podjął decyzję. Uniósł głowę znad planów, spojrzął na właściciela i podał mu rękę, pytając: „Kiedy mogę zacząć?”. I już. A potem on i specjalista od hydrauliki potrzebowali około roku, żeby wykonać ten projekt.

– Podoba mi się ta historia. Teraz jeszcze bardziej chcę zobaczyć fontannę! Wie pan może o jakichś innych pracach Erwana w okolicy, takich, które

mogłabym obejrzeć? Chętnie popatrzę na jego osiągnięcia.

– Owszem, trochę się tego znajdzie! – odparł z uśmiechem. – Niestety, nie wszystkie są dostępne, wiele znajduje się w rękach osób prywatnych, ale realizował sporo zamówień dla władz miejskich. Jest niezrównanym kamieniarzem i niezwykle utalentowanym rzeźbiarzem. Cięcie kamienia to dla niego źródło dochodu, ale jego pasją, wielką pasją, stało się rzeźbiarstwo.

– Obejrzałam Marię Pannę, którą wyrzeźbił dla kościoła w Karouac, kiedy tam był i... to cudowna figurka. Tak pełna ekspresji, że wydaje się żyć.

– Chętnie bym ją zobaczył.

– Mam zdjęcie w dokumentacji, w pokoju. Mogę je panu pokazać.

– Tak, dziękuję, bardzo chętnie! Nie uwierzy pani, ale nigdy nie słyszałem ani o Karouac, ani o tej figurce, ani o niczym, co się tam wydarzyło.

– Myślę, że tak to jest z każdym z nas. Weźmy na przykład mnie – nie potrafiłabym powiedzieć, jaki był mój ojciec, kiedy miał dwadzieścia lat, ani co wtedy przeżył. Znam okruchy jego wspomnień, ale żadnych dokładnych informacji. Zupełnie jakby przyszedł na świat taki, jaki jest dziś. A przecież kiedyś był małym chłopcem, a potem nastolatkiem i prawdopodobnie, jak wszyscy, przechodził wtedy kryzys dojrzewania...

– Tak, to prawda, nie myślimy o tym, że nasi najbliżsi żyli, zanim się urodziliśmy. Nie przypominam sobie zresztą, żeby któreś z nas, ja albo Gwenn, pytało Erwana o jego Podróż po Francji. Widziałem zdjęcia końcowej pracy stryja, ale nie wiem nic o ludziach, których spotykał ani o tym, co przeżył w ciągu tych kilku lat. Dotąd się nad tym nie zastanawiałem, teraz żałuję, że tak się stało.

– Podobno nigdy nie jest za późno, żeby naprawić pewne błędy – rzuciłam.

– Racja. Ale to naprawdę niesamowite. Dopiero kiedy pojawiła się pani w naszym życiu, przyszło nam do głowy, że czasem warto zadawać pytania.

Poczułam się zażenowana; roześmiałam się sztucznie i szybko zmieniłam temat.

– A tak przy okazji... Wie pan może, czy mogę gdzieś znaleźć listę dostępnych prac Erwana?

– Owszem, na stronie internetowej firmy stryja. Jest tam dział poświęcony jego pracom.

– Strona internetowa? – Zmarszczyłam brwi zaskoczona. – Jak to możliwe, że nie natknęłam się na nią, kiedy go szukałam?

– Nie sądzę, żeby było tam jego nazwisko. To po prostu przegląd jego prac,

ale rzadko coś w niej zmienia. Wciąż mu powtarzam, że mógłby mieć znacznie więcej zleceń, gdyby ta strona była ciekawsza, lepiej rozplanowana, jednak on twierdzi, że i tak ma wystarczająco dużo pracy, a w jego zawodzie nic nie jest tak skuteczne, jak opinia innych zleceniodawców. A ponieważ w tym roku przechodzi na emeryturę, nie widzi sensu, żeby zadawać sobie tyle trudu dla paru miesięcy.

– Rozumiem. Mógłby mi pan podać adres tej strony?

– Tak, oczywiście.

Zanotował adres i podał mi kartkę. Podziękowałam i przez chwilę wpatrywałam się w to, co tam napisał. „Cięte i rzeźbione – świat kamienia” – tak nazywała się firma Erwana. Pomyślałam, że ta nazwa pasuje do niego.

– Dziękuję! Poszperam tam, kiedy będę miała okazję.

Położyłam żółtą kartkę na stole i patrząc na nią, piłam herbatę. Teraz otwierała się przede mną nowa sfera życia Erwana. Myślałam tylko o tym, by poznać jego dzieło, jego rzeźby.

Chciałam dowiedzieć się o nim jak najwięcej.

Wystarczył jeden wieczór, żebym poczuła ogromną sympatię do tego człowieka. To dziwne, że ja, od lat mając jako rodzinę tylko ojca, obdarzyłam przywiązaniem kogoś, kogo dopiero poznałam. Nawet jeśli wydawało mi się, że znam go znacznie dłużej.

– To szczęście mieć kogoś takiego w rodzinie.

– Wiem. To wspaniały człowiek.

– Tak.

– Dwadzieścia lat temu, kiedy nasi rodzice zginęli, zajął się nami. Walczył w sądzie, żeby uzyskać prawo do opieki nad nami, i wychował nas oboje. Zastępował nam i ojca, i matkę. Okazał się doskonałym rodzicem, troskliwym i wyrozumiałym. Zawdzięczamy mu wszystko. Po śmierci rodziców, a byliśmy wtedy parką wcale nie takich łatwych dzieciaków, obdarzył nas miłością i opieką, jakiej potrzebowaliśmy, i dał nam niezbędną do rozwoju przestrzeń. Pozwolił nam przeżywać żałobę, niczego nie narzucając i nie żądając. A potem zabrał nas pewnego dnia na grób rodziców i zaczął nam o nich opowiadać różne historyjki. Dzięki temu nagle wszystko stało się łatwiejsze. Brakowało nam mamy i taty, ale w końcu się z tym pogodziliśmy i spojrzeliśmy w przyszłość. Tylko dzięki niemu. Gdybym miał zapamiętać jedną jego zaletę, to sądzę, że byłoby to oddanie, jakie nam okazał. Zresztą do dziś jest nam bardzo oddany. Stał się dla nas... zacisznym portem.

- Przykro mi z powodu waszych rodziców – szepnęłam.
  - Dziękuję. Bez Erwana ani ja, ani Gwenn nie poradziłibyśmy sobie tak dobrze.
  - Oboje bardzo go kochacie.
  - Jak nikogo innego.
  - Rozumiem. To samo czuję do swojego ojca.
- Zapadła cisza, ale Romaric szybko ją przerwał.
- Widzi pani, nie wiem dokładnie, o co chodzi z tą kobietą z listu, ale...
  - Z Amélie.
  - Tak, Amélie. Ale pomyślałem, że skoro nigdy nie próbowała się z nim spotkać, to może po prostu na niego nie zasługuje.
  - Chyba ta sprawa jest bardziej skomplikowana... Amélie nigdy nie dostała jego listu, proszę o tym nie zapominać.
  - Jednak sama też nie starała się z nim skontaktować – zauważyłam.
  - Nic nam o tym nie wiadomo, lecz nie znamy jej wersji wydarzeń. Nie wiemy, co się z nią działo. Kto wie, może chorowała. Albo próbowała go odnaleźć, ale jej się nie udało. Prawdopodobnie nie wiedziała, gdzie szukać. Kto wie, może ich życie to pasmo nieudanych prób.
  - Mogła się zwrócić do Bractwa, poprosić o informacje. Prawdopodobnie wiadano tam, jak się z nim skontaktować.
  - Może tak zrobiła, lecz nie podano jej adresu. Dyrektorka domu w Breście mnie też nie chciała nic powiedzieć – odparłam.
  - Ale przekazała Erwanowi wiadomość od pani. Prawdopodobnie stałoby się tak samo, gdyby Amélie szukała Erwana.
- Musiałam przyznać mu rację.
- Nie potrafię odsunąć od siebie myśli, że może chciała się tylko zabawić – podjął. – A potem, kiedy Erwan wyjechał, wyszła za innego.
  - Wyszła za męża wiele lat później – wyjaśniłam. – I w końcu się rozwiodła. A poza tym, chociaż działo się to wkrótce po maju sześćdziesiątego ósmego roku, kiedy obyczaje były bardziej swobodne, to nie wywarła na mnie wrażenia kobiety, która kolekcjonuje facetów.
  - Skąd pani wie? Rozmawiała z nią pani?
  - Nie, opieram się na tym, czego się o niej dowiedziałam po otrzymaniu listu. Te informacje nie pasują do wizerunku kobiety, za jaką ją pan uważa.
- Romaric westchnął, a ja zastanawiałam się, co to oznacza. Miałam nadzieję, że go nie uraziłam, nie zraniłam moimi teoriami i obroną Amélie. W głębi

duszy rozumiałam jego nieufność, jego opór. Kochał Erwana, a ten cierpiał z powodu Amélie. Nic dziwnego, że Romaric próbował ją obwiniać. Poza tym, wcale jej nie znał.

Ale nie mogłam nie stanąć w obronie tej kobiety. Za dużo już wiedziałam. Po wczorajszej rozmowie z Erwanem byłam przekonana, że jeśli ktoś zawinił, to najprawdopodobniej i on, i ona. Wiele wskazywało jednak, że ich rozłąka była skutkiem szeregu nieporozumień i fatalnych zbiegów okoliczności.

Zdawałam sobie sprawę, że w tej chwili nie ma sensu przekonywać Romarica. Powinien pomówić o tym ze stryjem, nie ze mną.

Zresztą ja też nie znalazłam jeszcze wszystkich elementów tej układanki, więc jak zdołałabym go przekonać, że jest w błędzie, skoro nie mogłam podać solidnych argumentów? Musiałam poczekać, aż dowiem się więcej.

– Tak czy inaczej, to wszystko jest już tylko przeszłością – powiedział. – Trzeba mu pozwolić żyć jak dotąd. Tak będzie lepiej dla wszystkich. Mogę zapytać – ciągnął, najwyraźniej chcąc zmienić temat rozmowy – czym będzie się pani zajmowała teraz, kiedy nie musi pani prowadzić poszukiwań związanych z tym listem? Ma pani inne podobne plany?

– Przede wszystkim zamierzam dobrze wykorzystać tych kilka dni wakacji!

– Świetny pomysł, w pełni go popieram!

Obdarzył mnie jednym ze swoich uśmiechów i poczułam się tak jak wcześniej.

– A potem? Kiedy już wróci pani do Karouac?

– Wtedy zajmę się przygotowaniem do urodzin ojca, które wypadają dwa dni po moim powrocie, a potem, tak jak obiecałam, pomogę mu przy inwentaryzacji w sklepie.

– Jaki sklep prowadzi pani ojciec?

– Z antykami.

– O, świetnie! Czyli kończy pani ze szperaniem w zakurzonych archiwach?

– No nie, niezupełnie, ale...

Zawahałam się, lecz w końcu uznałam, że postawię na szczerść. Przynajmniej wszystko będzie jasne.

– Prawdę mówiąc, mam pewien plan... związany z tym listem.

Romaric zmarszczył brwi.

Biedak. A już myślał, że zapomnę o tej historii i zajmę się czym innym...

– Tak? – zdziwił się. – A co to za plan?

– Otóż – zaczęłam, uśmiechając się przepraszająco – wykorzystam tę historię

jako kanwę powieści...

Kilkadziesiąt kilometrów od Pont-l'Abbe Erwan, jak co miesiąc, spotkał się z grupą aspirantów czeladniczych, których wprowadzał w tajniki rzemiosła.

A przynajmniej próbował to robić.

Tym razem jednak nie mógł się skupić.

Wczorajsza rozmowa z Flavie przy kolacji nie dawała mu spokoju – wspominał każde słowo, analizował je i ani na moment nie potrafił oderwać się od tych myśli, żeby zająć się tym, co robił.

Walczyć. Walczyć o Amélie.

Minęły czterdzieści trzy lata. Czy naprawdę nie jest za późno?

Prawdopodobnie dawno o nim zapomniała.

Mimo to nie mógł się uwolnić od pragnienia, by ją zobaczyć. Żeby z nią porozmawiać. Żeby wszystko sobie wyjaśnić. Żeby zrozumieć. I żeby ona zrozumiała.

Wszystko, co kosztem niewyobrażalnego wysiłku osiągnął przez długie lata, spychając przeszłość w najdalsze zakamarki pamięci, aby nie cierpieć tak, jak cierpiał na początku, zostało zniweczone w jednej chwili, kiedy Flavie powiedziała mu o liście. Ból powrócił, równie dotkliwy, równie silny jak w pierwszych dniach. Nawet ostrzejszy, bo teraz Erwan zastanawiał się, czy nie popełnił błędu. I czy to wszystko, co się stało, nie było jego winą.

Mimo to nie żywił do Flavie żalu, że zniszczyła kokon, którym z wielkim wysiłkiem otaczał się przez całe lata, żeby nareszcie zaznać spokoju. Miał żal do siebie, nie do niej.

Przypomniały mu się słowa, które wypowiedział ojciec François w dniu jego wyjazdu: „Jeżeli jest ci przeznaczona, nie stracisz jej. Bóg zadba, by was połączyć, cokolwiek się stanie”.

Przez głowę przemknęła mu szalona, całkowicie irracjonalna myśl.

A jeśli teraz właśnie to się dzieje? A jeśli ze strachu zmarnuje szansę na odzyskanie Amélie – tym razem już na dobre?

Erwan nigdy nie był wierzący, ale tego dnia był już niemal gotowy uczynić wyjątek.

Może ojciec François miał rację. Może Bóg czynił w tej chwili to, o czym mówił ksiądz?

Starał się ich połączyć.



## ROZDZIAŁ 11

Romaric nie przesadził – fontanna była naprawdę imponująca.

Nad okrągłym basenem o średnicy około trzech metrów wznosiła się usytuowana centralnie postać kobiety, która wylewała wodę z wysokiego, smukłego dzbanu opartego o jej lewe ramię. Stała z lekko pochyloną głową, tylko od pasa w dół okryta wyrzeźbioną tkaniną, na jej ustach błąkał się uśmiech, gdy wpatrywała się w coś u swych stóp.

Usiadłam na ławce na wprost fontanny i długo obserwowałam tę twarz, pozwalając, by moje myśli płynęły swobodnym strumieniem.

Erwan, Romaric, Amélie, Gwenn, moje pingwiny, Liam i Clarissa, a potem znowu Erwan i Amélie... Tysiące pytań cisnęło mi się do głowy. Czy dobrze zrobiłam, przyjeżdżając tutaj? Czy powinnam stawać na głowie, żeby połączyć Erwana i Amélie? Czy spodobałam się Romaricowi? Ej, a co to za pytanie? Czy zdołam dosiąść konia, nie ośmieszając się, mimo że podstaw jazdy uczyłam się bardzo dawno? Czy skończę kiedyś romans, którego bohaterami byli Liam i Clarissa, teraz zepchnięci do archiwum pomysłów i pokrywający się kurzem?

Uważnie przyglądałam się twarzy kobiety, jakbym sądziła, że jej przymknięte powieki, zarys ust, zaokrąglony podbródek albo wydatne kości policzkowe udzielą mi odpowiedzi na najważniejsze pytania. Im dłużej na nią patrzyłam, tym bardziej znajome wydawały mi się wykute w kamieniu rysy. Intuicja podszeptała mi, żeby sięgnąć do dokumentacji, którą miałam w torbie. Po chwili spośród wielu kartek wyjęłam tę ze zdjęciem Marii Panny.

Pamięć mnie nie myliła. Oblicze Marii Panny z Karouac i twarz kobiety z dzbanem były niemal identyczne. To natychmiast poruszyło moją wyobraźnię. Czy to miało oznaczać, że... tak wyglądała Amélie? Do diaska, jaka szkoda, że nie mam jej zdjęcia! Tak bardzo chciałabym zweryfikować to przypuszczenie!

Do głowy wpadł mi kolejny pomysł... A jeżeli Erwan dał tę samą twarz wszystkim swoim rzeźbom? Nie było innego sposobu, żeby szybko to ustalić;

wyjęłam z kieszeni telefon, połączyłam się z Internetem, wpisałam adres strony rzeźbiarza i czekałam, aż się załaduje, złoścąc się, że trwa to tak długo. W końcu znalazłam się na stronie. Oczywiście, ponieważ nie była dostosowana do możliwości komórek, widziałam połowę zawartości, ale to nie miało żadnego znaczenia, skoro pokazały się zdjęcia. Otworzyłam ich galerię bez problemu i zaczęłam przeglądać różne prace Erwana. Łuki, liczne kominki, kilka fasad budynków i jakaś rzeźba. Ta sama twarz. Zbliżenie na trzecią, potem czwartą i piątą, wykonaną zaledwie dziesięć lat temu. Każda z nich była inna, a jednak wszystkie miały prawie identyczne rysy.

Wszystkie miały twarz Amélie.

Zakończyłam połączenie i wybrałam numer. Dzwoniłam do Chantale.

Chciałam jej zadać kilka pytań.

– Flavie! Mówi Cess!

Kończyłam właśnie deser; wpatrzona w horyzont, przesypywałam między palcami stóp piasek i rozkoszowałam się promieniami dogasającego słońca, które rozpalało niebo i morze, kiedy zadzwonił telefon.

Tego wieczoru wpadłam na pomysł, żeby urządzić sobie piknik na plaży, sam na sam ze sweterkiem dla pingwina. Kupiłam w pobliskim sklepie gotową sałatkę, butelkę mrożonej herbaty brzoskwiniowej i tartę migdałową, a raczej dwie, ponieważ nie sprzedawano ich pojedynczo. Wpadłam na chwilę do pensjonatu, żeby wziąć robótkę i zostawić zakupy, jako że odkryłam mały antykwariat, gdzie kupiłam sporo dość rzadkich monet, wiedząc, że ojciec będzie uszczęśliwiony. Potem usiadłam na piasku nad małą, osłoniętą od wiatru zatoczką, która chroniła mnie także przed kilkorgiem kąpiących się turystów, i rozkoszowałam się wieczorem we własnym towarzystwie. Robiąc na drutach, myślałam o mijającym dniu. I o odkryciach, jakie przyniosł.

– Cześć, Cess, co u ciebie? – powiedziałam, stawiając butelkę na piasku.

– Wszystko w porządku! Jestem z dziewczynami, zwołałyśmy pilne zebranie w „Delicjach”, żebyś nam o wszystkim opowiedziała. Mówię wprost, ten mejl był zbyt lakoniczny, dziewczyny też tak uważają. Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzamy?

– Nie, nie. Jestem na plaży, chciałam obejrzeć zachód słońca. Nawiasem mówiąc, wspaniały.

– No dobrze. Wszystkie już siedzimy, ustawiłam telefon na głośno mówiący,

słyszemy cię.

– Cześć, dziewczyny!

Odpowiedziała mi kakofonia dźwięków, płatanina „Dzień dobry”, „Cześć” i „Chcemy dowiedzieć się wszystkiego o Romaricu!”, a nawet „Naprawdę takie z niego ciacho?” i „Takie rzeczy zdarzają się tylko tobie! Jestem zazdrosna!”.

– Zaczekajcie. To ja wam piszę, że Erwan wciąż do szaleństwa kocha Amélie i daje jej twarz wszystkim kobiecym postaciom, które rzeźbi, a wy pamiętacie z mojego mejla tylko to, że Romaric jest jeszcze przystojniejszy niż dwudziestoletni Erwan?

– A co, powinniśmy zapamiętać coś jeszcze? – zapytała Angélique, udając naiwną. – Flavie, Erwan kocha Amélie, a dla ciebie i tak jest za stary. Nas interesuje, czy może do czegoś dojść z jego uwodzicielskim bratankiem. Zasługujesz na trochę radości i rozrywki.

Westchnęłam.

– Dziewczyny, jesteście niezdolne.

– Ale właśnie takie nas lubisz. No, kawa na ławę. Jaki jest ten Romaric?

Przymknęłam oczy, przywołując jego obraz. To hipnotyzujące spojrzenie, którego głębia czasem przyprawiała mnie o zawrót głowy. Muskularne ramiona, dające poczucie bezpieczeństwa. Uśmiech, który mnie rozgrzewał i peszył zarazem... To niezwykle, nieoczekiwane poczucie błęgiego spokoju i bliskości, jakie mnie ogarnęło, gdy wczoraj wieczorem zarzucił mi na ramiona swój jeszcze ciepły sweter, zauważywszy, że drzę z chłodu. Jego dowcip, lekki i spontaniczny jak uśmiech.

Tak, był pociągający. Nawet bardzo. Od bardzo dawna nie czułam do nikogo takiego pociągu, jak teraz do tego mężczyzny, którego ledwie znałam. Był to pociąg fizyczny, wręcz graniczący z magnetyzmem, i rozbudził we mnie zmysłowość. Przyznaję, że miło czuć takie ożywienie, ale jednocześnie to przebudzenie wprawiało mnie w popłoch – nie przygotowałam się na takie doznania.

Całe szczęście, że przez te wszystkie lata pracy w szkole nauczyłam się, jak zachować pozorny dystans i spokój bez względu na okoliczności (no, prawie), jednak czy ktoś opowiada o takich szczegółach?

– Jest... – Szukałam najtrafniejszych określeń, a potem postanowiłam ująć to zupełnie inaczej. – Powiedzmy, że wygląda jak Superman i ma osobowość bohatera *Pacific Rim*, którego nazwiska nigdy nie pamiętam.

- Charlesa Hunnama?
- Tak, to znaczy postaci, którą uosabia. No wiecie, zawsze z uśmiechem na ustach, szarmancki z natury, otwarty, troskliwy, uprzejmy.
- Tacy faceci istnieją tylko w książkach.
- Owszem, to ten typ.
- Powiem to wszem i wobec: jestem zazdrosna – powtórzyła Bérénice.
- A teraz pytanie za milion euro – dodała Vic. – Podoba ci się?
- Chyba nie ma na świecie kobiety, której by się nie podobał.
- Nie odpowiedziałas na moje pytanie, Flavie.
- Skrzywiłam się; dziewczyny naprawdę za dobrze mnie znały.
- Vic, znam go od wczoraj, jeszcze za wcześnie, żebym mogła powiedzieć, że mi się podoba.
- Czyli, mówiąc wprost, próbujesz nie przyznać się nam, że kompletnie oszalałaś na jego punkcie.
- W porządku, wygrałyście. Tak, uważam, że jest boski i nie można mu się oprzeć. Zadowolone?
- W takim razie już wiesz, co masz robić!
- Co takiego?
- Nie odpuszczaj!
- Jasne! Łatwo powiedzieć, szkoda tylko, że nie tak łatwo zrobić. Chociaż muszę przyznać, że miałam na niego ochotę.
- No dobrze, ale skoro obgadałyśmy już ten temat, to może zainteresuje was, co powiedziała mi Chantale?
- Już do ciebie dzwoniła?
- Owszem.
- W takim razie zamieniamy się w słuch, opowiadaj.
- Otóż France, siostra Chantale, powiedziała, że Amélie się rozwiodła, bo nie układało jej się z mężem. A nie układało im się dlatego, że mimo wszelkich starań ona wciąż nie mogła zapomnieć o Erwanie. Amélie nigdy się do tego nie przyznała, ale France jest pewna, że tak było.
- Co teraz zrobisz?
- Na razie nic. Nie chcę niczego przyspieszać, a tym bardziej zmuszać Erwana do czegoś, czego nie chce. Zaproponowałam jednak, że podam mu telefon Amélie.
- Naprawdę to zrobiłaś?
- Uhm. Chociaż mam wrażenie, że gdyby Romaric o tym wiedział, nie byłby

zadowolony. Uważa, że to już zamknięty rozdział i nie należy wracać do przeszłości.

– W pewnym sensie ma rację – wtrąciła Vic, jak zawsze mocno stąpająca po ziemi.

– Wiem i dlatego nie zamierzam robić niczego, co zmieniłoby obecną sytuację. Ale jeśli Erwan wróci do tematu, jeżeli zapyta mnie o zdanie, to nie będę kłamała. Powiem mu wszystko, co wiem.

– A jeżeli Romaric będzie miał o to do ciebie żal?

Spuściłam oczy. W głębi serca miałam nadzieję, że do tego nie dojdzie, zdawałam sobie jednak sprawę, że gdyby Erwan zaakceptował moją propozycję, Romaric nie byłby zadowolony. Nie chciałam działać w tajemnicy przed nim, chociaż w tym wypadku nic takiego mi nie groziło, ponieważ byliśmy we trójkę, kiedy po raz pierwszy zaproponowałam Erwanowi, że podam mu kontakt do Amélie.

Romaric nie wiedział jednak, że poruszyłam tę kwestię jeszcze raz, kiedy wieczorem jadłam z jego stryjem kolację, a po dzisiejszej rozmowie wolałam już z nim o tym nie dyskutować. Obawiam się, że rodząca się między nami przyjaźń zgaśnie, zanim zdoła się rozwinąć.

– Będzie musiał się z tym pogodzić – powiedziałam jednak, ku własnemu zaskoczeniu. – Decyzja należy do Erwana, a nie do Romarica ani do mnie. Ale teraz to tylko dywagacje. I być może nigdy nie wykroczymy poza to stadium. Na razie chcę się nacieszyć kilkoma dniami wakacji tutaj i przygotować dalsze plany. Bo nie wspomniałam wam o tym, że Erwan zgodził się, żebym opisała jego historię, a przynajmniej oparła na niej swoją powieść.

Dziewczyny zareagowały żywiłowo.

– Genialnie!

– Ale tę to chyba opublikujesz?

– I na pewno potrafisz zrobić z tej historii świetny romans!

– Skoro o tym mowa – podjęła Cess – to musimy się spotkać zaraz po twoim powrocie, żeby przeczytać nasze wersje tej historii i ocenić, która jest najbliższa prawdy, czyli kto wygrał zakład!

– Racja, musimy to zrobić, ale już teraz mogę wam powiedzieć, że raczej rozminęłam się z rzeczywistością. Za to umieram z ciekawości, co wymyśliłyście!

– Dobra, jesteśmy umówione. Pogadamy, jak wrócisz.

Wtedy moją uwagę przyciągnął ruch na lewo ode mnie. Zobaczyłam jeźdźca

na pięknym czarnym koniu. Sylwetki wierzchowca i jeźdźca odcinały się od jasnego nieba, a promienie słońca muskały swym blaskiem kasztanowe włosy mężczyzny i wędrowały po grzbiecie konia.

Kiedy rozpoznałam jeźdźca, serce zamarło mi w piersi.

Romaric.

Prawdopodobnie on też mnie zauważył, bo skręcił w moją stronę.

– Dziewczyno, muszę kończyć – rzuciłam szybko. – Zadzwoń, jak się dowiem czegoś nowego.

– Ale co się stało?

– Opowiem wam potem. Cześć.

Rozłączyłam się w chwili, gdy Romaric był tuż obok.

– Dobry wieczór – powiedział, zsiadając z konia, i uśmiechnął się do mnie.

Wstałam, starając się zachowywać naturalnie i nie okazać, jak działają te jego uśmiechy.

– Dobry wieczór.

– Jak minął pani dzień?

Intuicja podszeptała mi, że facet, który zadaje takie pytanie wyłącznie z uprzejmości, nie patrzy w ten sposób na kobietę. W jego oczach było widać autentyczne zainteresowanie, a to już mi schlebiało.

Wiem, że to idiotyczne, reagować tak emocjonalnie z powodu byle błahostki, ale cóż mogłam na to poradzić? W obecności tego mężczyzny przestawałam nad sobą panować.

I zauważyłam, że za każdym razem jest jeszcze gorzej niż poprzednio.

– Bardzo miło, dziękuję – powiedziałam możliwie najbardziej obojętnym tonem. – A co u pana?

– Dla każdego Kermarreca dzień, w którym znajdzie się chwila na jazdę konną, jest udany.

– Jest pan bez turystów?

– Dziś rano pojechali sami, a Gwenn musiała skoczyć z Erwanem do Brestu, więc jestem skazany na własne towarzystwo.

– Trzeba było mi powiedzieć. Zaproponowałabym panu wspólną wyprawę do Kerzalec.

I przez moment wyobrażałam sobie, jakby to było zwiedzać posiadłość w jego towarzystwie. Coś – szósty zmysł, a może po prostu to, że spędził część wczorajszego wieczoru, opowiadając wraz z Erwanem regionalne legendy, by sprawić mi przyjemność – podszeptało mi, że potrafiłby przekazać

znacznie więcej niż student pierwszego roku, który oprowadzał turystów, ale interesował się tym, o czym mówił, tak jak ja tablicą Mendelejewa.

– O, nie marnowałem czasu – odparł Romaric – bo w ośrodku trzeba było pozatapiać pewne sprawy. A właśnie, jak pani się podoba Kerzalec?

– Wspaniała posiadłość. I miał pan rację, rzeźba i cała fontanna są przepiękne. To prawdziwe dzieło sztuki. Mogłabym je podziwiać całymi godzinami.

Miałam ochotę powiedzieć mu o podobieństwie Marii Panny z Karouac do innych rzeźb Erwana, powstrzymałam się jednak w ostatniej chwili, mimo że aż się paliłam, by podzielić się z nim moim odkryciem – chociaż „podzielić się” – to chyba lekka przesada, bo przecież sam już dawno mógł to zauważyć. Chciałam też zrelacjonować mu rozmowę z Chantale, wolałam jednak nie podejmować tego tematu. Za bardzo lubiłam sposób, w jaki na mnie teraz patrzył.

– A nie mówiłem – odrzekł z dumą w głosie. – Erwan ma wielki talent. To najlepszy bretoński rzeźbiarz, może nawet najlepszy w całej Francji.

– No, skromność wprost pana rozsadza! – powiedziałam kpiącym tonem. – Ale ma pan całkowitą rację, to niezwykle uzdolniony rzeźbiarz – dodałam z uśmiechem, a zaraz potem przeniosłam spojrzenie na konia. – Jesteś piękny – szepnęłam, gładząc go po łbie.

– Flavie, przedstawiam pani Moonlighta. Moonlight, poznaj Flavie.

– Witaj, Moonlight. Oficjalnie spotykamy się dopiero teraz, ale od przyjazdu miałam już kilka okazji, żeby podziwiać cię z daleka... Jesteś wspaniałym koniem – powtórzyłam.

Wierzchowiec obwąchał mi rękę i cicho zarżał.

– Powiedział, że miło się panią wącha.

– Dziękuję za komplement – roześmiałam się, patrząc na konia. – Jesteś prawdziwym dżentelmenem.

– To rzeczywiście dżentelmen. Jest bardzo opiekuńczy wobec Belle.

– A Belle to biała klacz, którą widziałam w dalszej części parku?

– Tak, to ona.

– Belle to twoja przyjaciółka? – zapytałam konia. – Twoja druga połówka?

Moonlight pokiwał łbem, jakby zrozumiał.

Albo ten koń jest nieprzeciętnie zdolny albo jego przypadkowe ruchy uznaję za reakcję na moje słowa, pomyślałam. Tak czy inaczej, dobrze się bawiłam.

– Musisz mi ją przedstawić – dodałam, znów zwracając się do Moonlighta.

– Będzie pani miała okazję ją poznać, kiedy zabiorę panią na przejazd – powiedział Romaric. – Pomyślałem, że moglibyśmy wybrać się gdzieś czternastego lipca, pojutrze. Zdążylibyśmy dokądś pojechać i wrócić na bal i pokaz sztucznych ogni. Skoro ma pani zatańczyć z Erwanem, sprawa jest poważna.

– Tak, istotnie, nie mogę przegapić takiej okazji. Ale czy Gwenn nie będzie miała nic przeciwko temu, żebym wzięła Belle? Wiem, że się zgodziła, jednak nie chciałabym pozbawić jej ulubionego konia.

– Proszę się nie martwić, Gwenn absolutnie nie ma nic przeciwko temu.

– W takim razie chętnie skorzystam z zaproszenia.

Twarz Romarica rozbłysła.

– Świetnie! Jutro wszystko przygotuję. Znam idealne miejsce, spodoba się pani!

– Gdzie?

– To niespodzianka, ale proszę mi zaufać, będzie pani zachwycona.

– Dobrze, w takim razie o nic już nie pytam.

Zapadła cisza, którą po chwili przerwał Romaric.

– Dalej robi pani sweterki dla fok? – zapytał, wskazując leżącą na piknikowym obrusie robótkę.

– Dla pingwinów – poprawiłam go odruchowo. – Tak, ale już prawie skończyłam.

– W takim razie nie przeszkadzam w pracy. Nie darowałbym sobie, gdyby przeze mnie zmarł jakiś biedny pingwinek.

– A może... przyłączy się pan do mnie? – zaproponowałam nieśmiało. – Mam jeszcze herbatę, chociaż nie jest już mrożona... I tartę migdałową. W pudełku były dwie... To znaczy... jeżeli ma pan ochotę.

Spojrzał mi głęboko w oczy, a moje serce na moment zamarło.

– Mam wielką ochotę – odrzekł. – Ale nie chciałbym pani przeszkadzać.

– Nie, skądże, pan... to znaczy... nie przeszkadza mi pan. Wcale. Ja...

Zamilkłam, nie mogąc sobie przypomnieć, co chciałam powiedzieć. Prawdopodobnie nie było to nic ważnego. Moje szare komórki wzięły nogi za pas i bredziłam jak nastolatka.

Całe szczęście, że na co dzień lepiej nad sobą panuję, bo uczniowie pożarliby mnie żywcem.

– Świetnie. W takim razie zostanę – powiedział Romaric.

I znowu się do mnie uśmiechnął. A pode mną jak zwykle ugięły się nogi,



a świat zawirował.

Najbardziej niepokojące było to, że za każdym razem pogrążałam się coraz bardziej.

## ROZDZIAŁ 12

– Gotowa na lekcję? – zapytał Romaric, kiedy spotkaliśmy się przed stajnią rankiem czternastego lipca.

Poprzedni dzień upłynął mi bardzo przyjemnie i był prawdziwie wakacyjny – z owym dolce, far niente i leniwą przechadzką wzdłuż plaży. Wracając, natknęłam się na Romarica, który właśnie czyścił konie. Był bez koszuli i pozwoliłam sobie na chwilę fantazjowania o jego idealnej muskulaturze.

Z rozmarzenia wyrwało mnie pojawienie się Gwenn, która przyszła zapytać, czy znalazłabym chwilę, żeby nauczyć ją robienia na drutach. Muszę przyznać, że przyłapała mnie, jak wpatrywałam się cielecym wzrokiem w tors jej brata. Próbowалам – oczywiście na próżno – przekonać ją, że wcale nie jestem nim zainteresowana, ale w końcu się poddałam – tak czy inaczej, byłoby to kłamstwo – i szybko zmieniłam temat, a Gwenn nie starała się już skłonić mnie do zwierzeń. Resztę dnia spędziłyśmy razem, robiąc swetry dla pingwinów, bo ten pomysł wzbudził jej entuzjazm i postanowiła przyłączyć się do akcji.

Gawędziłyśmy o różnych sprawach – o pracy, o koniach, o pensjonacie, o turystach, przyływach, mężczyznach, o Pont-l'Abbé, Karouac, Erwanie, Amélie... ale nie o Romaricu. Opowiedziałam jej o moim projekcie opisanie historii obojga, a Gwenn zapytała, czy będzie mogła przeczytać książkę, kiedy już ją skończę. Oczywiście zgodziłam się, przy okazji jednak zaczęłam się zastanawiać, jak odbiera się powieść o kimś tak bliskim.

Podzieliłam się z nią tą myślą, czy raczej pytaniem, i długo rozmawiałyśmy na ten temat, a potem, jakby automatycznie, przeszłyśmy do kwestii poszukiwań, jakie prowadziłam, żeby dotrzeć do Erwana i Amélie. Zapytała mnie o nią, więc powtórzyłam wszystko, czego sama się dowiedziałam. Zauważyłam, że Gwenn podchodziła do utraconej miłości stryja inaczej niż Romaric i podobnie jak ja, bardzo chciała się dowiedzieć, co tak naprawdę się stało i czy istniała szansa, by naprawić błędy z przeszłości.

I tak stopniowo zaczęłyśmy rozmawiać o zmarnowanych szansach, o życiu...

W trakcie tej pogawędki niepostrzeżenie w jakiś naturalny sposób przeszłyśmy na „ty”, chociaż żadna z nas tego nie proponowała.

Przekonałam się, że Gwenn jest wrażliwa i serdeczna, podobnie jak jej brat i stryj. Sympatia, którą do niej poczułam, kiedy zobaczyłyśmy się po raz pierwszy, umocniła się jeszcze. Byłam pod wrażeniem tej dziewczyny i już wiedziałam, że jest równie wartościowa, jak Romaric i Erwan.

Dzień zakończył się kolacją we czworo u najstarszego z rodziny Kermarreców, do którego coraz mocniej się przywiązywałam.

To jednak oznaczało, że nie tak łatwo przyjdzie mi opuścić to miejsce, a wyjazd był już boleśnie bliski. Przeżyłam tu kilka cudownych dni i obawiałam się powrotu do rutyny dnia powszedniego. Wiedziałam, że będzie mi brakowało Erwana, Romarica i Gwenn, kiedy znów znajdę się w Karouac, gdzie wiodłam dość monotonne życie.

Ale na razie jeszcze tu jestem, pomyślałam, gdy nasze oczy – moje i Romarica – spotkały się przed tak ciekawie się zapowiadającą wyprawą konną.

– Jak pan widzi, jestem gotowa! – oznajmiłam, unosząc ręce i obracając się powoli.

– Rzeczywiście – stwierdził, patrząc na mnie z uznaniem. – Widzę, że znalazła pani w garderobie Gwenn wszystko, czego trzeba.

Z zadowoleniem zerknęłam na swój ubiór. Kiedy wczoraj wspomniałam Gwenn, że nie mam stroju odpowiedniego do jazdy konnej, natychmiast zaproponowała, żebym wybrała coś z jej szafy. Co prawda byłam trochę niższa i drobniejsza od siostry Romarica, ale przyniosła mi komplet, który, jak powiedziała, stał się dla niej trochę za ciasny. Włożyłam więc szaro-czarne, obcisłe spodnie, czarne skórzane buty z wysoką cholewką – szczęście znów się do mnie uśmiechnęło, bo nosiłyśmy ten sam numer – i mocno pasowany bawełniany żakiet, również czarny. Szara czapka, ponoć nieodzowny element wyposażenia jeźdźca, dopełniła stroju.

Zanim wyszłam z pensjonatu, żeby się spotkać z Romarikiem, długo przeglądałam się w lustrze. Uznałam, że efekt jest zadziwiający i – choć może zabrzmieć to nieskromnie – całkiem dobry. Czułam się jak Indiana Jones w wersji kobiecej: pewna siebie i własnego wdzięku, gotowa przeżyć wszystkie przygody, jakie szykuje dla mnie los – i Romaric.

Czułam się coraz bardziej podekscytowana tą przejażdżką. Jeśli nie liczyć poszukiwania Erwana i Amélie, było to największe szaleństwo, na jakie sobie

pozwoiliam od... od czasu, gdy zostałam nauczycielką. Ale dziś nauczycielka została daleko, daleko stąd, wyrzuciłam ją z głowy i postanowiłam, że czas, żebym sama przeżyła przygody, jakie zwykle wymyślałam dla moich postaci.

Uniosłam głowę i przesłałam Romaricowi uśmiech, odpowiadający nastrojowi dnia – prowokujący.

– Owszem, Gwenn jest kochana, po prostu oddała do mojej dyspozycji swoją garderobę. Nie miałam nic odpowiedniego na tę okazję, a wątpię, żeby w sukience było mi wygodnie.

– Ładnie pani wygląda w tym stroju – powiedział, nie odrywając ode mnie oczu.

– Dziękuję – odrzekłam, czując, jak moją twarz zalewa fala ciepła. – Pan też nieźle się prezentuje.

To, co powiedziałam, zasługiwało na miano eufemizmu roku, jeśli nie całego stulecia.

Miał na sobie brązowe spodnie do jazdy konnej, doskonale podkreślające mięśnie nóg, biały T-shirt, który uwydatniał złocistą opaleniznę i błękit oczu, i czarne skórzane buty. Ten strój, choć prosty, na nim wyglądał świetnie i czynił go diabelnie seksownym. Jakby Romaric i bez tego nie był pociągający.

– Jaki mamy program dnia? – zapytałam z nonszalancją, która nie do końca oddawała moje prawdziwe odczucia. Ale zależało mi, żeby go zaskoczyć, pokazując inną twarz.

Znów spojrzał mi prosto w oczy.

– Niespodzianką ma być tylko cel naszej wycieczki, nie cała reszta – odparł.

– Proponuję zacząć od godziny ćwiczeń, żeby poczuła się pani swobodnie w siodle. Jeździła pani kiedyś konno?

– Dawno temu i zaledwie kilka razy. Właściwie można uznać, że nie.

– W porządku. W takim razie zaczniemy od podstaw. Chodźmy, przedstawię panią klaczy.

Poszłam za nim do stajni i zobaczyłam dwa łby wysuwające się z boksów, których było tu chyba dziesięć. Moonlight zaczął mnie obwąchiwać, jakby mnie poznał.

– Witaj – powiedziałam łagodnie, zbliżając się, by go pogłaskać.

Koń cicho zarżał.

– Mówi, że bardzo się cieszy, widząc tu panią – przetłumaczył Romaric.

– Och, czyżby naprawdę mówił pan po końsku? – zażartowałam, zerkając na

niego spod oka.

– Zdałem egzamin z końskiego na poziomie B2 – oświadczył, udając powagę. – Bardzo dobrze mi szło, ale przerwałem naukę w liceum, ponieważ nie był to przedmiot maturalny.

Uśmiechnęłam się, rozbawiona tym żartem.

– A oto Belle.

Podeszłam i oficjalnie zawarłam znajomość ze wspaniałą klaczą o białym umaszczeniu, którą dotąd widywałam tylko z daleka.

– Witaj, Belle – powiedziałam. – Twoje imię idealnie do ciebie pasuje, moja śliczna...

Długo gładziłam ją po łbie, nic nie mówiąc, tylko podziwiając jej wdzięk. Wyglądała jak księżniczka. Przyjmowała pieszczoty, nie protestując – wręcz przeciwnie, miałam wrażenie, że lubiła, kiedy się nią zachwycano. Wsunęła pysk w moją dłoń, prawdopodobnie szukając jakiegoś przysmaku. Idąc za radą Gwenn, przyniosłam dwa jabłka. Jedno dałam teraz Belle, a drugie podsunęłam Moonlightowi.

– Próbuje pani przekupić je jabłkami? – rzucił stojący za mną Romaric.

Tuż za mną.

Tak blisko, że przeszedł mnie dreszcz, którego nie potrafiłam opanować.

– Właśnie! Pomyślałam sobie, że dzięki temu dotrwam do wieczora bez siniaków i nie ośmieszę się przed panem!

– Zapewniam, że Belle jest bardzo łagodna i spokojna, na pewno pani nie rzuci. Gdyby jednak do tego doszło, to obiecuję, że nie będę się śmiał.

– Mam nadzieję...

– Jest pani gotowa?

– Tak, możemy zaczynać.

Najpierw przypomniał mi elementarz jazdy konnej: jak interpretować reakcje konia, a przede wszystkim Belle, jak trzymać wodze, jaką przyjmować pozycję w siodle, żeby jak najmniej krępować wierzchowca. Powiedział mi także, jak komunikować się z Belle, jakie wykonywać ruchy, żeby się dostosować do tempa jazdy. Przypominało mi się to, czego się nauczyłam za czasów licealnych i bez trudu wracałam do reakcji wyrobionych podczas kilku lekcji jazdy, które wtedy miałam.

Kiedy przyszedł czas, by wprowadzić teorię w praktykę, Romaric położył

rękę na mojej talii, pomagając mi dosiąść Belle. I, rzecz jasna, stało się to, co musiało się stać: spłoszyłam, bliska palpacji serca. Nie wiem, czy sprawił to jego dotyk – delikatny, ale silny, czy bliskość ciała, niemal przytulonego do mojego, czy uważne, skupione na mnie spojrzenie, czy też wszystko po trosze, ale musiałam się zdobyć na wielką powściągliwość, żeby nie paść mu w ramiona i nie wpić warg w jego kuszące usta, nie mówiąc już o reszcie. Żeby nie zrobić tego tu i teraz, na środku wybiegu.

Oczywiście opanowałam się natychmiast. Tylko tego brakowało! Popisałam się już, gdy zawisłam na szyi stryja, nie mogłam teraz rzucać się na bratanka. Nie, mimo wszystko odpowiadałam jeszcze za swoje reakcje.

A przynajmniej taką miałam nadzieję.

Bo tym razem, w tej chwili, brakowało niewiele – bardzo, bardzo mało, żebym uległa prymitywnym popędom.

Nie wiem, czy Romaric wyczuł albo zauważył moje poruszenie – nie dał tego po sobie poznać, kierował moimi ruchami i korygował postawę z taką samą swobodą, jak przedtem. Zachowywał się jak dobry kolega. Kiedy jednak po kilku długich jak wieczność sekundach siedziałam już w siodle, jego ręka opieszale rozstała się z moją talią, a oczy nie traciły kontaktu z moimi, choć ćwiczenie już tego nie wymagało.

Pomyślałam wtedy, że naprawdę nie zdołam poskromić zmysłów.

Po godzinie, uznając, że jestem już gotowa – owszem, byłam, ale żeby podążyć za nim na koniec świata, a nie by poradzić sobie z koniem – Romaric zdecydował, że możemy wyruszyć na przejażdżkę. Spakował jedzenie na piknik do torby przy siodle Moonlighta, jeszcze raz sprawdził, czy prawidłowo siedzę na Belle, i ruszył przodem. Celem naszej wycieczki miała być, jak mi wyjaśnił, uroczą polana nad małym stawem, w sercu lasu.

– To miejsce, o którym słyszało niewielu turystów. Wiąże się z nim wiele legend i opowieści o nieszczęśliwej miłości – dodał z uśmiechem. – Zauroczy panią.

Konie szły stępa, łeb w łeb, pozwalająca na to dość szeroka droga. Od dziesięciu minut Romaric opowiadał fascynującą i tragiczną legendę o Jeziorze Kochanków, jak nazywano tu staw, ku któremu jechaliśmy.

Zgodnie z tą legendą staw powstał z łez kobiety, której mąż zabił jej

ukochanego, gdy wracając z polowania, przyłapał ich w niedwuznaczonej sytuacji na leśnej polance, gdzie mieli schadzke. Oszalały z gniewu zdradzony małżonek dobył szpady i nie zadając zbędnych pytań, przebił nią mężczyznę, który uwiódł mu żonę. Zrozpaczona kobieta osunęła się bez zmysłów na ciało martwego kochanka, a gdy oprzytomniała, płakała rzewnymi łzami przez wiele dni, aż wokół niej powstało jezioro. Utonęła i na zawsze pozostała przy swym umiłowanym.

Ta tragiczna historia idealnie pasowała do folkloru lasu Brocéliande. Dla mnie była fascynująca.

Kiedy Romaric zakończył opowieść, zapytałam, czy ma w zanadrzu jeszcze inne legendy, chociaż już kilka dni wcześniej przekonałam się, że znał ich naprawdę dużo.

– Z pewnością wystarczy ich, żeby nie dłużył się pani czas jazdy nad jezioro!

Pochłonięta rozmową, nie zwracałam uwagi na to, co działo się wokół nas. Wszystkie moje myśli krążyły wokół Romarica. Wiedziałam tylko, że czuję jego obecność u swojego boku, słyszę jego ciepły, łagodny głos, który ledwie naruszał leśną ciszę, upajając mnie i trafiając w moje zainteresowania historią i legendami, i nim...

To, co się wtedy stało, nastąpiło tak szybko, że niczego się nie spodziewałam i nie rozumiałam, co zaszło. Nagle, bez żadnych sygnałów, żadnych oznak, Belle głośno zarżała, stanęła dęba, i zaczęła wierzgać. Zdążyłam tylko chwycić się jej grzywy, by nie runąć do tyłu, bo przemknęło mi przez głowę, że przy upadku na pewno złamałabym sobie kość ogonową. Krzyknęłam ze zdumienia i strachu, potem jednak zacisnęłam zęby, żeby nie potęgować paniki Belle. Muszę przyznać, że piekielnie się bałam, gdy stawała dęba – a wtedy tylko cudem utrzymywałam się w siodle – i cofała się, jakby przeraziło ją coś na drodze.

W ciągu tych kilku chwil przed oczami przesuwały mi się tysiące obrazów i po raz pierwszy w życiu żałowałam, że mam tak bujną wyobraźnię. Niemal widziałam, jak zataczam łuk w powietrzu, zrzucona przez oszalałą kłacz, widziałam, jak depczą mnie kopyta Belle albo miażdży jej ciężar, gdy padam razem z nią, i jak potem do końca życia leżę sparaliżowana, ze zmasakrowaną twarzą. Patrząc na ten krótki katastroficzny film, jeszcze mocniej wczepiłam się we wspianą grzywę Belle i zacisnęłam nogi na jej bokach, w nadziei, że jednak zdołam się utrzymać w siodle. Serce waliło mi jak szalone, byłam bliska hysterii. Nie potrafiłam zapanować nad kłaczą.

Na całe szczęście Romaric zareagował błyskawicznie. Zeskoczył na ziemię, podbiegł i chwycił wodze Belle.

– Wszystko w porządku? – zawołał do mnie.

– Tak – skłamałam.

Pokiwał głową i pociągnął za wodze, żeby zmusić Belle do postawienia czterech kopyt na ziemi. Zaczął mówić do klaczy bardzo łagodnym tonem, by ją uspokoić. Mimo przerażenia podziwiałam jego delikatność i iście olimpijski spokój. Serce tak głośno mi waliło, że nie słyszałam ani jednego słowa, ale widziałam, jak jedną ręką ścisnął wodze, a drugą próbował pogłaskać klacz po chrapach, żeby uśmierzyć jej lęk. Po chwili, która dla mnie była wiecznością, Belle wreszcie się opanowała. Przestała przebierać nogami i poczułam, że rytm uderzeń jej serca i oddech wracają do normy.

W rzeczywistości cały ten incydent trwał najwyżej minutę lub dwie, lecz dla mnie były to godziny. Czułam się pusta i miałam wrażenie, że wszystkie moje mięśnie są sztywne.

Romaric spojrział na mnie i zapytał z niepokojem:

– Już dobrze?

– Teraz tak – odrzekłam i odetchnęłam głęboko. – Dziękuję. Jest pan moim wybawcą – dodałam, żeby rozładować napięcie.

– Naprawdę bardzo mi przykro – powiedział, ignorując moje wysiłki. – Zwykle nic takiego jej się nie zdarza. Coś musiało ją przestraszyć...

– Przecież to nie pana wina... A poza tym na szczęście skończyło się na strachu, więc wszystko w porządku. Obie najadłyśmy się strachu i jesteśmy kwita – dodałam, udając odważniejszą, niż jestem.

Nie chciałam okazać przy nim słabości. Nie miałam pojęcia dlaczego, ale zależało mi, żeby nie zaprezentować się przed nim jako krucha i bezradna istotka.

Pragnęłam, żeby widział we mnie silną kobietę. Taką, która kocha przygody.

Przecież właśnie w taką postać chciałam się dziś wcielić. Nikt nigdy nie widział Indiany Jonesa czy Lary Croft panikujących z powodu takiej błaźnotki.

Romaric uśmiechnął się, pokiwał głową i wyciągnął rękę, żeby pomóc mi zsiąść. Choć dokładałam wszelkich starań, by zachować się godnie i nie okazać, że to, co się stało, zrobiło na mnie wrażenie, moje ciało podle mnie zdradziło. Ledwie dotknęłam stopami ziemi, ugięły się pode mną kolana i o mało nie upadłam. Odruchowo oparłam się o Romarica i uczepiłam jego silnych ramion. Chwycił mnie w talii i podtrzymał, a gdy nasze spojrzenia się



zetknęły, kiedy jego niebieskie oczy spotkały się z moimi, serce znów uderzyło mi mocniej. Zamarłam, lecz tym razem wcale nie ze strachu. Teraz sprawił to on.

– Oho! Jest pani pewna, że już wszystko dobrze? – zapytał, marszcząc brwi i obserwując mnie z niepokojem.

– Tak, tak, już mi przeszło, to nic. Daję słowo – powiedziałam, starając się odzyskać władzę w nogach.

Tym razem mięśnie były mi posłuszne – wyprostowałam się i stałam bez jego pomocy. Udało mi się uniknąć totalnej kompromitacji.

– Widzi pan? – rzuciłam, unosząc brwi. – Kolana już się pode mną nie uginają.

Puścił mnie ostrożnie, jakby nie wierzył, że zdołam się utrzymać na nogach, ale pozostał dość blisko, żeby w razie potrzeby znów mnie złapać.

Na szczęście poradziłam sobie bez pomocy.

Choć może nie do końca „na szczęście”.

– Dobrze – powiedział, nie spuszczając mnie z oka. – Chyba powinniśmy zrobić sobie przerwę. Belle potrzebuje chwili, żeby całkiem ochłonać, a pani po tych wrażeniach też przyda się mały odpoczynek. Już prawie południe – dodał, spojrzawszy na zegarek. – Co by pani powiedziała, gdybym zaproponował powrót na polankę, którą minęliśmy parę minut temu? Urządzilibyśmy sobie na niej piknik. A potem, jeżeli nie straciła pani ochoty, pojedziemy nad jezioro.

## ROZDZIAŁ 13

– Jak pan myśli, co ją tak przeraziło? – zapytałam, kiedy Romaric usiadł obok mnie.

Zawróciliśmy, tak jak sugerował, a kiedy przywiązywał konie do drzewa, rozłożyłam serwetę nad strumyczkiem, który wypatrzyliśmy na skraju polanki, a który prawdopodobnie wypływał z Jeziora Kochanków. Potem wyjęłam nasz prowiant i korzystając z faktu, że mój towarzysz był jeszcze zajęty wierzchowcami, zwałam się na koc z wdziękiem podstarzałej słońicy. Po tym, co się stało, nogi wciąż miałam jak z waty.

Mogłam udawać przed Romarikiem zblazowaną Larę Croft, ale prawda była taka, że nigdy w życiu tak potwornie się nie bałam i wcale się jeszcze nie uspokołam.

– Nie wiem – odpowiedział, przypatrując się koniom.

Moonlight przysunął się do Belle i pocierał łbem o jej łeb i kark, jak gdyby chciał ją pocieszyć. Rżał cicho. Belle wtórowała mu i tuliła się do niego, jakby jego bliskość przywracała jej siły. Ich grzywy się splatały. Mało brakowało, a ujrzałabym nad łbami obojga dziesiątki wzbijających się w górę serduszek. Naprawdę ta para wydawała się przywiązana do siebie jak dwoje ludzi.

A może to tylko ja widziałam coś, czego wcale nie było. Trudno to zresztą wykluczyć, chociaż przyznam szczerze, że znacznie bardziej odpowiada mi ta pierwsza interpretacja.

– Może źmija – podjął Romaric, odpowiadając na pytanie, o którym zdążyłam zapomnieć. – Ale Belle zaraz się uspokoi.

– Moonlight już się nią zaopiekował.

– Owszem, można tak powiedzieć.

– Czy konie mogą się pokochać? – zapytałam, sięgając po pomidorka koktajlowego.

Czułam, jak opada mi adrenalina i mój żołądek wraca do życia. Byłam

głodna jak wilk. Podobno emocje spalają... Nie wiem, jak jest z innymi kobietami, ale ja tak właśnie funkcjonuję.

– Szczerze mówiąc, nie wiem – odparł Romaric. – Możliwe, bo właściwie, dlaczego nie? Dwa konie mogą bardzo mocno się do siebie przywiązać. Często zdarza się, że rozdzielone, naprawdę cierpią. Widywałem ogiery, które popisywały się, żeby zwrócić uwagę konkretnej klaczy i nie chciały się parzyć z inną niż ta wybrana. Pewien ogier chodził za swoją faworytą krok w krok, nie pozwalając konkurentom do niej się zbliżyć. Ale czy to miłość? Nie mam pojęcia, może. Trudno powiedzieć, bo przecież nie siedzimy w ich głowach.

– W każdym razie Belle i Moonlight sprawiają wrażenie bardzo zaprzyjaźnionych.

– To prawda. Są razem od wielu lat, a tak tworzą się więzi.

– Długo je pan ma?

– Gwenn i ja kupiliśmy je od hodowcy dziesięć lat temu, kiedy otwieraliśmy pensjonat. Od urodzenia były razem, więc nie mieliśmy serca ich rozdzielić. Zresztą i tak każde z nas chciało mieć własnego konia. Wystąpiliśmy o trochę wyższy kredyt i kupiliśmy oba.

– Ile mają teraz lat?

– Dwanaście.

– Są już stare?

– Raczej w sile wieku. W przeliczeniu na wiek człowieka to około trzydziestu pięciu – czterdziestu lat. Za pięć, sześć lat przejdą na emeryturę.

– A... A kiedy już będą emerytami, zatrzymacie je tu czy sprzedacie?

– Nie sądzę, żeby Gwenn była w stanie rozstać się z Belle... ani ja z Moonlightem. Przywiązaliśmy się do nich, traktujemy je jak członków rodziny. Nie wyobrażam sobie, żebym sprzedał je tylko dlatego, że są stare.

– Już się bałam, że skończą w schronisku dla koni albo w jeszcze gorszym miejscu...

– Nie, to im nie grozi. Nie zrobilibyśmy im czegoś takiego!

– Pan i Gwenn od dziecka jeździcie konno?

– Odkąd pamiętam. Rodzice kochali konie, oboje byli dobrymi jeźdźcami i korzystali z każdej okazji, by spędzić trochę czasu w siodle. Dlatego zależało im, żebyśmy nauczyli się jeździć, kiedy tylko zaczęliśmy chodzić. Nawiasem mówiąc, w dzieciństwie chciałem zostać weterynarzem, żeby leczyć konie. Prawdę mówiąc...

– Ale to się zmieniło?

– Prawdę mówiąc... sam nie wiem. Dorosłem, uświadomiłem sobie, że w liceum niezbyt dobrze radziłem sobie z biologią, chemią, fizyką... Przemyslałem to, porozmawiałem z Gwenn i z Erwanem i skończyłem studia handlowe, a potem otworzyłem razem z siostrą ten pensjonat.

– I nigdy pan nie żałował, że nie jest weterynarzem?

– Nie, nigdy. Konie są ciągle przy mnie. Jestem zadowolony z życia, jakie prowadzę. Lubię kontakty z ludźmi, którzy do nas przyjeżdżają, lubię z nimi rozmawiać, wymieniać poglądy. Podoba mi się ta różnorodność ludzi, którzy nas odwiedzają, wiem, że mogę tu spotkać i adwokatów, i rzeźbiarzy, a ze wszystkimi łączy mnie miłość do koni. Kiedyś...

Długo opowiadał mi zabawne anegdoty ze swojego codziennego życia. Słuchałam, nie przerywając, bo chciałam dowiedzieć się o nim jak najwięcej. Najzwyczajniej w świecie uznałam, że nie chcę dłużej walczyć ze słabością, jaką do niego miałam, ani ukrywać, jak bardzo podoba mi się jego poczucie humoru. Tak czy inaczej, moje wysiłki spełzłyby na niczym – nie było już dla mnie ratunku.

Bo za bardzo mi na nim zależało.

– Ale dość gadania o mnie – uznał Romaric, opowiedziawszy mi o pewnej niezbyt miłej przygodzie z okresu studiów. – Pomówmy teraz o pani.

– O mnie? – zdziwiłam się. – Och, naprawdę nie ma o czym.

– Pozwoli pani, że nie uwierzę – odparł z uśmiechem.

I zaczął wyliczać na palcach.

– Jest pani nauczycielką, pisze pani książki, robi sweterki dla pingwinów, a w wolnych chwilach bawi się w detektywa. Jak pani znajduje na to wszystko czas?

– Ukradłam Hermionie zmieniacz czasu – wyjaśniłam z pełną powagą.

– Nie tak głośno, bo jeszcze wślizgnę się nocą do pani pokoju, przetrząsnę wszystko i też ukradnę! Bóg mi świadkiem, takie urządzenie byłoby dla mnie skarbem!

Stanęła mi przed oczami wizja Romarica, wchodzącego ukradkiem do mojego pokoju w środku nocy, a w ślad za tym obrazem przyszły inne, moralnie naganne, które spowodowało to, co nazywa się tak wdzięcznie motylami w brzuchu.

– A mówiąc poważnie – podjął – jak pani to robi? Ma pani drugą, ukrywaną tożsamość, jest pani Wonder Woman?

Wzruszyłam ramionami.

– Niestety nie. Po prostu potrafię gospodarować czasem. Prawie nie oglądam telewizji, zamiast tego piszę wczesnym rankiem i do późna wieczorem. Wykorzystuję każdą minutę dnia, żeby wszystko w nim pomieścić.

– I zawsze się to udaje?

– Na ogół tak. Ale to nie takie trudne, kiedy się nie ma ani męża, ani dzieci, ani nikogo, kim należałoby się zająć.

– Czyli nie istnieje żaden pan Richalet ani żadna mała Flavie?

– Nie.

Czy to, co dostrzegłam w jego oczach, było ulgą, czy tylko grą światła, którą zinterpretowałam zgodnie z własnymi marzeniami? Niestety, ów błysk zgasł, zanim zdołałam znaleźć odpowiedź na to pytanie.

Romarcic jeszcze przez chwilę patrzył mi w oczy. Potem zwrócił je na wierzchołki drzew i zapytał:

– Naprawdę opisz pani historię Erwana?

Skinęłam głową.

Wiele bym dała, żeby o tym nie mówić. Nie chciałam, żeby ta sprawa zepsuła nam tak cudowny dzień.

– Tak – przyznałam szczerze. – Naprawdę mam ochotę napisać o nich książkę.

– Dlaczego? – zapytał półgłosem.

– Bo to wzruszająca, przejmująca historia. Chyba każdy autor marzy o napisaniu takiej.

– Ma pani na myśli opowieść, która źle się kończy? – zapytał, z niedowierzaniem unosząc brwi.

– Nie, skądże, nie chodzi o nieszczęśliwe zakończenie. Ta historia po czterdziestu trzech latach wcale nie jest zakończona. To opowieść o miłości, która przewycięża czas i przeszkody i wciąż trwa, choć zagasła już nadzieja. Ile osób pana zdaniem przeżyło taką miłość? Ile miało szczęście być kochanymi tak, jak Erwan kochał Amélie? Tak mocno, że kocha ją do dziś? Ile?

– Nie wiem, Flavie... – odrzekł cicho. – Nie wiem... Na pewno nie ja.

– Ja też nie – przyznałam. – I pewnie między innymi dlatego pragnę to opisać. Bo to piękne i niepowtarzalne. Ponieważ nie chcę, żeby to uczucie poszło w zapomnienie. Ponieważ... to pewna szansa otarcia się o coś, czego być może nie będę miała szczęścia przeżyć.

Spuściłam oczy, zawstydzona, że posunęłam się za daleko w wyznaniach,

i zerwałam stokrotkę. Zaczęłam się nią bawić, jak często w dzieciństwie, a kiedy obrywałam jej płatki, przypomniały mi się te słowa: „Kocha, lubi, szanuje...”.

Odrywałam płatki po jednym, bez pośpiechu, w przeciągającej się ciszy. Czułam na sobie wzrok Romarica.

Nie kocha...

Rzuciłam łądzkę stokrotki i uniosłam głowę, a wtedy dostrzegłam jego spojrzenie – nieodgadnione, zwrócone na mnie.

– Jeżeli to pana uspokoi – powiedziałam – kazałam Erwanowi przyrzec, że jeśli okaże się to dla niego zbyt trudne, zrezygnuję z napisania tej powieści. Daję panu słowo, że nie chcę przysporzyć pańskiemu stryjowi cierpienia, przywołując historię sprzed lat.

– Wiem, Flavie. Wiem o tym. Ufam pani.

– A myślałam, że powie pan, żebym zarzuciła ten pomysł, nie rozgrzebywała przeszłości.

– Nie zamierzam kłamać. Już o tym rozmawialiśmy i nie zmieniłem zdania. Wolałbym, żeby przeszłość pozostała przeszłością. Dziś Erwan prowadzi szczęśliwe życie, a Amélie dawno temu zdecydowała, że jej w nim nie będzie.

Milczałam, mimo że nie do końca się z nim zgadzałam. Tak, Erwan czuł się na swój sposób szczęśliwy, ale widać było, że miał w sercu pustkę, której nigdy nie udało mu się wypełnić. A Amélie nie dokonała świadomego wyboru, z własnej woli nie zrezygnowała z życia u jego boku.

Ale przemilczałam to.

– Jednak rozmawiałem o tym z Erwanem. Wczoraj wieczorem – ciągnął Romaric. – Wiem, że w głębi duszy wciąż jeszcze kocha tę kobietę. I wiem, że odkąd powiedziała mu pani o liście, korci go, żeby się spotkać z Amélie i wszystko wyjaśnić.

– Tak powiedział?

– Nie dosłownie, ale wyczytałem to między wierszami. I powiedziałem mu, co o tym myślę. Teraz zna mój punkt widzenia. Ale jest przecież dorosły i sam musi podjąć decyzję, a ja, cokolwiek postanowi, będę przy nim. Gwenn też.

Uśmiechnęłam się mimowolnie, bo kamień spadł mi z serca. Może Romaric był uparty jak każdy szanujący się Bretończyk, ale na pewno nie był ograniczony. I właśnie dzięki swej inteligencji doskonale wiedział, jak musi postąpić. Wiedział, czego potrzebuje od niego Erwan.

– Lecz jeśli w końcu postanowi niczego nie zmieniać, nie szukać tej Amélie,

ucieszy mnie to. Bo przecież istnieje ryzyko, że ona nie zechce go widzieć, a obawiam się, że tym razem nie podźwignąby się po takim ciosie.

– Ja też tak uważam.

Znów zapadło milczenie, jednak przez cały czas patrzyliśmy sobie w oczy i chyba to rozładowało atmosferę. Teraz już wszystko stało się jasne i nic nie mąciło tego, co, jak wyczuwałam, rodziło się między nami. I co chciałam, żeby się narodziło.

– A może nie wracalibyśmy już dziś do tego tematu? – zaproponował, uważnie mnie obserwując.

– Bardzo chętnie, sama zamierzałam to zaproponować. Dzień jest zbyt piękny na tak poważne rozmowy. A właśnie – podjęłam, wybierając pierwszy temat, jaki mi przyszedł do głowy – przechodząc do radośniejszych spraw: czy Belle miała już żrebacki z Moonlightem?

To zupełnie wystarczyło, żeby przywrócić przyjacielskie relacje między nami i móc znów gawędzić swobodnie o tym i owym.

Romaric długo dzielił się ze mną planami, jakie miał wobec pensjonatu, Belle i Moonlighta. Jak dotąd, jemu i Gwenn szło całkiem dobrze, chcieli więc kupić jeszcze jednego albo dwa konie. Wtedy mogliby organizować przejażdżki dla gości, którzy nie mieli własnych wierzchowców, tak jak dziś dla mnie. Słuchałam, nie przerywając, ale od czasu do czasu podsuwałam mu jakiś pomysł. Między serem a ciastem mnie przypadła główna rola w rozmowie – zabawiałam Romarica anegdotami o moim ojcu i jego sklepie. Kiedy wyraził zdziwienie, że nie wspominam o matce, bąknęłam tylko, że od nas odeszła. Nie zamierzałam psuć pikniku kolejnym trudnym tematem.

Po posiłku pogrążyliśmy się w przyjemnym milczeniu. Ogarnęło mnie swoiste odrętwienie, nad którym nie zapanowałam i któremu nie potrafiłam się oprzeć. Postanowiłam iść w ślady Romarica i położyć się na kocu, by urządzić sobie krótką sjęstę. Czułam ciepło promieni słońca prześwitujących przez korony drzew, słyszałam szelest liści poruszanych przez wiatr i plusk strumyka. Te dźwięki ukołysały mnie do snu. Ptaki śpiewały, konie cicho rżały, a ja miałam coraz cięższe powieki. Dwie minuty, pomyślałam. Nawet mniej. Zamknę oczy na pół minutki.

Drgnęłam, wyrwana ze snu przez kruka, skrzeczącego tuż nad moją głową.

Nie wiem, ile minęło czasu. Szybko się uniosłam i, wystraszona, rozglądałam się wokół, nie bardzo wiedząc, gdzie jestem. Uchwyciłam spojrzenie Romarica, który patrzył na mnie rozbawiony, i po wszystko mi się przypomniało. Panika Belle, piknik i... Zasnęłam. Cholera, cholera...

Zakłopotana, przeprosiłam mojego towarzysza.

– Tak mi głupio, nie chciałam zasnąć, naprawdę przepraszam.

– Nie ma za co. Miło się spało?

– O tak, bardzo. Prawdopodobnie tego mi było trzeba. Długo spałam? Która godzina?

– Dochodzi wpół do trzeciej.

– Już tak późno? Naprawdę przepraszam! Mam nadzieję, że nie spóźni się pan nigdzie z mojej winy!

– Nie, naprawdę nie ma problemu, mam czas – odparł, machając ręką. – Przeznaczyłem to popołudnie na naszą wycieczkę, nie spieszy mi się.

Zawahał się, a w jego oczach dojrzałam figlarny blask.

– Wie pani, że mówi pani przez sen?

Oj...

– A co powiedziałam? – zapytałam, krzywiąc się mimo woli.

– Nic bardzo kompromitującego ani nawet zrozumiałego. To było tylko... nieważne. Nic.

– Niech mi pan powie!

– No dobrze. Wyszepiała pani tylko kilka słów, których nie zrozumiałem i... trochę pani wzdychała. Ale spokojnie, to nie było ani żenujące, ani pozbawione wdzięku. Wydaje mi się, że wyrażało zadowolenie, rozumie pani, co mam na myśli.

Gdybym mogła, po tych słowach najchętniej schowałabym się w mysiej norze albo wcisnęła do dziupli wiewiórki. Ale nie mogłam, więc zrobiłam jedyne, co mi zostało. Ukryłam twarz w dłoniach.

– Boże! Najmocniej przepraszam...

– Nie ma za co. Prawdę mówiąc, to było... całkiem miłe.

– Zaraz się spalę ze wstydu – wyznałam, bojąc się spojrzeć mu w oczy.

– Jeżeli to panią uspokoi, to przysięgam, że zabiorę pani sekret do grobu.

– Dziękuję, od razu mi ulżyło – rzuciłam żartem, wciąż zakłopotana.

Gończkowo szukałam innego tematu rozmowy, chcąc jak najszybciej zepchnąć na dalszy plan tę idiotyczną sytuację. Właśnie wtedy zauważyłam w jego rękach kawałek drewna, którego kształtów dokładnie nie widziałam,



a także nóż.

Skorzystałam z okazji.

– Pan też rzeźbi? – zapytałam, wskazując jego ręce skinieniem głowy.

– Tak, to moje hobby, zajmuję się tym od dawna. Erwan mnie nauczył, ale w przeciwieństwie do niego rzeźbię wyłącznie w drewnie i wszystko, co robię, jest małe.

– Mogę zobaczyć?

– Oczywiście!

Podał mi drewnianą figurkę i natychmiast rozpoznałam, co to.

– O, niedźwiadek! – zawołałam, kładąc ją na dłoni. – Jest uroczy!

– Dziękuję – odpowiedział skromnie. – Muszę go jeszcze wykończyć.

– Wygląda prawie jak żywy.

– Trzeba jeszcze nadać kształt tylnym łapom i dopracować krawat pod szyją, o tu – wskazał palcem miejsce wymagające poprawek.

Można powiedzieć, że to było nieuniknione. Po prostu musiało się stać w tym albo innym momencie.

Kiedy wskazywał, co należy dopracować, jego dłoń otarła się o moją i ten banalny kontakt sprawił, że zadrżałam. Palce Romarica zatrzymały się na drewnianym misiu, teraz już mocniej dotykając mojej dłoni, nasze oczy się spotkały i nie mogłam pozbierać myśli.

– Często... często robi pan... rzeźbi pan takie niedźwiadki? – zapytałam, odwracając wzrok.

– Owszem, dość często – odparł z typową dla siebie nonszalancją i cofnął rękę, lecz nie odrywał ode mnie oczu. – Sprzedaję je w sklepiku z pamiątkami w Pont-l'Abbé. Nie masowo, zarabiam tylko na surowiec, ale to mi wystarcza. Rzeźbię dla rozrywki, nie dla pieniędzy.

Pokiwałam głową, nie wiedząc, po co przytakuję. Jeszcze przez chwilę oglądałam misia, dając sercu czas, by zwolniło rytm, a potem oddałam figurkę Romaricowi.

– Podziwiam. Naprawdę. Jest wspaniały.

– Dziękuję – odpowiedział, biorąc ode mnie swoje dzieło, i nasze ręce znów się spotkały.

Tym razem wiedziałam już, że zrobił to z rozmysłem. Nie mogło być inaczej – chciał, żeby nasze palce się dotknęły.

Dlaczego? Nie śmiałam marzyć, że odwzajemnia moje uczucia. Jego oczy na chwilę zatrzymały się na mnie. Potem bez słowa schował figurkę i nóż do

torby, wstał i zapytał z lekkim uśmiechem:  
– Gotowa do powrotu?

## ROZDZIAŁ 14

Tego wieczoru długo szykowałam się do wyjścia na bal strażaków w Pont-l'Abbé, zanim zesłam na dół, gdzie czekał na mnie Romaric. Poświęciłam dużo czasu na ułożenie włosów, zadbałam o każdy szczegół makijażu, a potem stanęłam przed wysokim lustrem i trzymając w rękach dwie zabrane z domu względnie „wyjściowe” sukienki, zastanawiałam się, która lepiej podkreśli moją figurę i urodę. Żałowałam, że nie wzięłam czerwonej, kupionej kilka lat temu na ślub Angélique. Nadawała się na różne okazje i, zależnie od dodatków, była odpowiednia i na wesele, i na swobodne wieczorne spotkanie, ale elegancka. Kłopot polegał na tym, że bardzo trudno się ją prało, więc nosiłam ją rzadko, chociaż bardzo mi się podobała. Prawdę mówiąc, nie przyszło mi na myśl, żeby ją spakować, kiedy kilka dni temu szykowałam się do wyjazdu.

Kto by pomyślał, że znajdę tu czarującego i dowcipnego mężczyznę, któremu trudno się oprzeć, i że pójdę z nim na zabawę z okazji czternastego lipca? Nie mogłam tego przewidzieć. Przeciwnie – wiedziałam, że poznam Erwana, ale nie spodziewałam się spotkać ani Romarica, ani Gwenn, ani nikogo innego, z kim byłoby mi tak dobrze.

Przykładałam do siebie obie kreacje i nie potrafiłam rozstrzygnąć, w której będzie mi lepiej.

Tego wieczoru będę najpiękniejszą tancerką na balu, cha, cha, cha...

Tak albo nie. Prawdopodobnie pojawi się tam wiele młodych kobiet, pragnących zatańczyć z moim partnerem, a wśród nich z pewnością znajdą się ładniejsze ode mnie.

Przeglądałam się w lustrze, usiłując się zdobyć na obiektywizm. Wyglądałam nieźle, byłam dobrze ubrana, nawet mogłam wydać się komuś ładna i pociągająca. Odpowiedni makijaż podkreślił moje niebieskie oczy, włosy upięłam w luźny kok na karku, celowo pozostawiając na wolności kilka pasemek. Użyłam lakieru, błyszczyku, perfum. Teraz pozostawało wybrać

sukienkę. Niebieska czy różowa? Różowa czy niebieska? W końcu zdecydowałam się na niebieską, bo była w odcieniu oczu Romarica. Przecież to powód równie dobry jak inny, żeby ją włożyć! Wskoczyłam w nią, sprawdziłam, czy wszystko jest jak trzeba – czy nie sterczy mi brzuch, a pośladki nie wydają się za duże, czy nie rozmazał mi się tusz do rzęs. Potem wsunęłam stopy w odkryte pantofle na obcasach – jedyne, jakie wzięłam – i wyszłam z pokoju. Romaric czekał na mnie przy schodach, odwrócony do nich plecami. Wyglądał bardzo elegancko w kremowych lnianych spodniach i błękitnej koszuli – co za zbieg okoliczności, będziemy do siebie pasowali! Słyszając stukot moich obcasów, odwrócił się i posłał mi uśmiech, od którego mój żołądek po raz enty tego dnia zatańczył zumbę.

– Pięknie pani wygląda.

– Pan też całkiem nieźle – rzuciłam z lekka kpiącym tonem.

To znaczy, miałam nadzieję, że w moim głosie pobrzmiewa lekka kpina. Flirt towarzyski nie należał do gier, w których celowałam, łatwiej mi przychodziło pisać dialogi dla książkowych bohaterów niż prowadzić rozmowy z mężczyznami z krwi i kości.

– A może przeslibyśmy na ty? – zaproponował Romaric. – Po tych emocjach, które dziś przeżyliśmy, jakoś głupio bawić się w pana i panią...

– Ma... masz rację. Do diabła z „państwem”, „ty” jest lepsze. Dzięki niemu każde zdanie staje się prostsze – odparłam ze śmiechem.

Muszę przyznać, że ucieszyłam się z tego „ty”. Teraz mogliśmy nieco się do siebie zbliżyć.

Okiełznałam wyobraźnię, zanim na dobre się rozszalała i zaczęła podsuwać mi setki sposobów na zbliżenie się do Romarica. Nie wiedziałam, co się dzisiaj ze mną dzieje. Zwykle moje pomysły dotyczyły postaci fikcyjnych, odkąd jednak poznałam tego mężczyznę i spojrzałam w te lazurowe oczy, miałam wrażenie, że cała wyrywam się ku niemu, wbrew swojej woli. Jakby zawładnął wszystkimi moimi myślami, a przynajmniej tymi, które nie skupiały się na Erwanie i Amélie. Od przyjazdu nie napisałam ani linijki powieści, zapełniłam za to dziesiątki stron notatkami o Erwanie, a jeszcze więcej – o jego czarującym bratanku.

Nie odważyłam się przeczytać tych zapisków, ponieważ się bałam, że świadczą o moim głębokim i nieodwracalnym zadurzeniu w tym facecie.

– Jesteś gotowa? – zapytał, podając mi ramię.

– Jestem gotowa – potwierdziłam, wsuwając rękę pod jego łokieć.

– W takim razie chodźmy.

Kiedy przyszedliśmy na zabawę, Erwan i Gwenn siedzieli już przy stoliku. Przysiedliśmy się do nich, a Romaric zaproponował, że pójdzie po coś do picia.

– Dla mnie piwo – powiedział Erwan.

– A dla mnie Sex on the Beach – wybrała Gwenn.

Erwan uniósł brew.

– Gwenn, to miejska zabawa, a nie klub nocny. Podejrzewam, że nie mają tu nic mocniejszego od piwa i soku owocowego.

– Na wszelki wypadek zapytaj. Jeżeli nie zrobią mi drinka, weź sok owocowy.

Romaric spojrzał na mnie.

– Dla mnie też – powiedziałam.

– Sex on the Beach? – zapytał, uśmiechając się kącikiem ust, a w jego oczach dostrzegłam niesamowity blask.

Było w nim rozbawienie połączone z czymś, czego wolałam się nie domyślać, żeby nie popełnić błędu.

To nie mogło przecież być...

Nie, to nie mogło być to, o czym pomyślałam. Stanowczo za dużo sobie wyobrażam.

– Nie, mówiłam o soku owocowym – wyjaśniłam z pośpiechem.

Uśmiechnął się szeroko – nie miałam pojęcia, dlaczego – i wstał.

– Zamówienie przyjęte. Zaraz wracam.

Odszedł, a ja mimowolnie powiodłam za nim wzrokiem. Poruszał się ładnie, z istic kocią lekkością i zwinnością, więc pomyślałam, że prawdopodobnie świetny z niego tancerz. Przekonałam się już, że jest doskonałym jeźdźcem. I bardzo dobrym rzeźbiarzem. I...

– Wypalisz mu dziurę w koszuli, jeżeli dalej będziesz tak się w niego wpatrywała.

Czując, że oblewam się rumieńcem, szybko odwróciłam głowę do Gwenn.

– Nie czerwień się tak, ja tylko się z tobą droczę – powiedziała. – Wiem przecież, że mój brat jest całkiem niezły, w swoim typie...

W swoim typie... No dobrze, jasne, Romaric był jej bratem i na pewno patrzyła na niego inaczej niż ja, ale mimo wszystko... Zasługiwał na więcej

niż to „całkiem niezły w swoim typie”. Każda inna kobieta powiedziała by po prostu, że to piekielnie przystojny facet, a większość marzyłaby, żeby zechciał na nie spojrzeć.

Ty też, szepnął mi jakiś cyniczny głosik.

W książkach – tych, które pisałam i tych, które czytałam – taki wewnętrzny głos zawsze mówił prawdę. Tym razem owa reguła potwierdziła się w życiu.

– Wie pan, że Romaric jest do pana podobny? Macie prawie takie same oczy – powiedziałam, zwracając się do Erwana, żeby zmienić temat rozmowy. – Bardzo przypomina pana z czasów młodości.

Uniósł brew i ta mina sprawiła, że podobieństwo stało się niemal uderzające.

– Tak pani uważa?

– Flavie, musisz mi kiedyś pokazać te wycinki z gazet, które zebrałaś – wtrąciła się Gwenn. – Chcę zobaczyć zdjęcia, o których mówisz.

– Oczywiście, kiedy tylko znajdziesz wolną chwilę. Mam je w torbie.

Spojrzałam na Erwana.

– W tamtych czasach był pan naprawdę przystojnym chłopakiem.

Znow uniósł brew, a Gwenn parsknęła śmiechem.

– To znaczy... nadal jest pan przystojny, chciałam tylko powiedzieć... Dobrze, lepiej przestanę mówić, zanim kompletnie się pogrążę – zakończyłam i też wybuchnęłam śmiechem.

Boże, jak taka niezdara może uczyć młodzież!

– Proszę się nie przejmować – uspokoił mnie Erwan. – Zrozumiałem pani intencję. I przyznaję, było na czym zawiesić oko – dodał skromnie.

– Jestem pewna, że złamał pan niejedno serce – powiedziałam.

– Wątpię, to raczej niemożliwe.

– A może po prostu nie wiedział pan, ile dziewcząt wzdycha do pana! Może nigdy nie odważyły się wyznać, że się zakochały. Może...

– Od razu widać, że jest pani pisarką. Ma pani wybujałą, nieokiełznaną wyobraźnię – zaśmiał się Erwan.

– A ja uważam, że Flavie ma rację – powiedziała Gwenn. – Po prostu nigdy tego nie zauważyłeś, bo zawsze bez reszty pochłaniało cię rzeźbienie!

I Amélie, dodałam w myśli.

– Czego nie zauważył? – zapytał Romaric, wracając z czterema szklankami. Postawił przed nami to, o co prosiliśmy.

– Siał spustoszenie w kobiecych sercach, ale o tym nie wiedział.

– Widzę, że pod moją nieobecność odbyła się tu interesująca rozmowa.

– Cóż, braciszku, staramy się, jak możemy. Dziękuję za sok. – Gwenn wskazała szklanekę. – Domyślam się, że nie mieli alkoholu?

– Zgadłaś, Sherlocku! – zażartował.

– Ile jestem winna? – zapytałam.

– Nic, dziś to ja stawiam. I nie zamierzam słuchać żadnych protestów – dodał, kiedy, jak przystało na prawdziwą feministkę, otworzyłam usta, żeby zaprotestować.

– Za co pijemy? – rzuciła Gwenn, zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć.

Spojrzenia całej trójki zwróciły się w moją stronę, jakby gospodarze uznali, że toast należy do mnie.

Cała ta rodzina doskonale radziła sobie ze zmienianiem tematu rozmowy.

– Po pierwsze, Romaricu, dziękuję za poczęstunek. I proponuję, żebyśmy wzniesli toast za życie i niespodzianki, jakie niesie.

– Za życie i niespodzianki, jakie niesie – powtórzyli chórem.

A Romaric wyszeptał te słowa, patrząc mi prosto w oczy.

Wypiliśmy w ciszy, jeśli można mówić o ciszy, kiedy tuż obok gra zespół rockowy. Moje nogi same wybijały rytm i czułam, że ogarnia mnie gorączka tańca.

Zawsze lubiłam tańczyć. Ale od razu dodam, że to wcale nie znaczy, że umiem tańczyć, i nie przypuszczam, żebym miała ukryty talent w tej dziedzinie. Tak jak każdy, potrafię tańczyć makarenę, YMCA, kaczuszki i podążać za innymi w wężyku. Z dobrym partnerem mogę ewentualnie poradzić sobie z rock-and-rollem czy salsa. Przyznam jednak, że od kilku lat nie miałam zbyt wielu okazji, by spróbować sił z wytrawnymi tancerzami, toteż... na tym wyczerpywały się moje umiejętności.

Romaric chyba zauważył, że się wiercę, bo odstawił szklanekę, wstał, wyciągnął do mnie rękę i z uśmiechem, który stopiłby potężną krę, zapytał:

– Czy piękna dama zechce ze mną zatańczyć?

Znów poczułam dziwne mrowienie w łożądku, ale postanowiłam je zignorować i upewniwszy się, że kolana nie zrobią mi głupiego kawału, kiedy wstanę, podałam mu rękę i odpowiedziałam, lekko skłaniając głowę:

– Z radością, szlachetny kawalerze. To miłe z pana strony.

Kątem oka zobaczyłam, jak Erwan uśmiecha się, rzucając porozumiewawcze spojrzenie Gwenn, nie miałam jednak czasu o tym myśleć, bo Romaric już prowadził mnie na parkiet, by mi pokazać, jak się tańczy rocka aż do zawrotu

głowy.

Trudno powiedzieć, że okazał się dobrym tancerzem, bo daleko mu było do perfekcji – chociaż w moich oczach był doskonały – radził sobie jednak całkiem nieźle. Na pewno lepiej niż ja i wystarczająco, żeby poprowadzić mnie bez problemów. Tańczył swobodnie, obracał mną i kręcił, aż się zatraciłam i już nie wiedziałam, jak się nazywam i gdzie mieszkam.

Przede wszystkim jednak nie odrywał ode mnie wzroku. Czułam się niemal jak bohaterka końcowej sceny *Dirty Dancing*. Świat wokół nas przestał istnieć, został tylko ten mały skrawek parkietu, po którym krążyliśmy. Nie liczyło się już nic poza jego ręką w mojej dłoni, jego oczami wpatrzonymi w moje. Serce biło mi jak szalone – nie wiem, czy od szybkiego tańca, czy z powodu bliskości Romarica, kiedy przytulał mnie do siebie i kładł mi rękę na plecach.

Melodie płynęły jedna po drugiej, a my wciąż tańczyliśmy, aż poprosiłam, by się nade mną zlitował. Konałam z pragnienia, musiałam odetchnąć.

Kiedy siadaliśmy, zabrzmiały pierwsze dźwięki wolnej muzyki. Jakaś cząstka mnie pożałowała, że właśnie teraz przerwaliśmy. Mogłam się znaleźć w jego ramionach... Na pocieszenie wypiałam kilka łyków soku, który wcale nie ukoił pragnienia, wręcz przeciwnie.

Jakaś dziewczyna – całkiem ładna, co wcale mnie nie zdziwiło – podeszła do Romarica i zaprosiła go do tańca.

– Przykro mi, ale mam już stałą partnerkę – odparł bez wahania.

Obserwowałam dziewczynę, jak odchodziła, wyraźnie rozczarowana, i nie mogłam opanować radości z tego zwycięstwa. Został tu ze mną! Ze mną! Ukryłam triumfalny uśmiech, pijąc sok, i dopiero później zauważyłam, że jakiś mężczyzna poprosił do tańca Gwenn. Oboje prowadzili już ożywioną rozmowę, a jego ręka – co zwróciło moją uwagę – powędrowała w dolne partie pleców Gwenn, która zdawała się nie mieć absolutnie nic przeciwko temu. Widząc, jak się zachowywali, wywnioskowałam, że dobrze się znają. Mimo pewnej powściągliwości widać było, że przyciągają się jak magnesy.

Jak zawsze wrodzona ciekawość zaczynała brać górę nad moimi manierami i z największym trudem powstrzymałam się od zapytania Romarica o tę parę, choć wiedziałam, że ich relacja – albo brak relacji – absolutnie nie jest moim problemem. Zamiast wtykać nos w cudze sprawy, zwróciłam się do siedzącego przy stoliku Erwana.

– A pan nie tańczy?



- Najpiękniejsza kobieta w tym towarzystwie jest już zajęta, więc nie.
- A kto to? – zapytałam, wodząc wzrokiem po tłumie i szukając tej, o której mówił. – Gwenn?
- Usłyszałam śmiech Erwana i spojrzałam na niego.
- Pani, a któżby inny!
- O, uwodziciel z pana! Romaricu, pozwolisz, że zdradzę cię z twoim stryjem?
- Dopóki wszystko zostaje w rodzinie, nie sprzeciwiam się. Nie, cofam te słowa, fatalnie to zabrzmiało!
- Masz rację! No, Erwanie, niech pan ze mną zatańczy!
- Z przyjemnością poddam się dyktaturze kobiet – powiedział z uśmiechem.
- Kiedy weszliśmy na parkiet, zespół muzyczny zaczął kolejną wolną melodię, a ja kątem oka zauważyłam, że Gwenn wciąż jest w ramionach tego samego partnera. Erwan uniósł lewą rękę, prawą objął mnie w talii. Wsunęłam dłoń w jego rękę, drugą oparłam na jego ramieniu i zaczęliśmy tańczyć, początkowo w milczeniu.
- Po chwili Erwan przerwał ciszę:
- Mogę panią o coś zapytać, Flavie? Ale to dość osobiste.
- Proszę!
- Co panią skłoniło do szukania mnie i Amélie? Dlaczego po prostu nie wyrzuciła pani tego listu? Wiele osób na pani miejscu tak by zrobiło. Przyznaję, że jestem pani za to wdzięczny, ale chciałbym wiedzieć, co panią powodowało.
- Może odezwała się we mnie ciekawość historyka i zapragnęłam się dowiedzieć, jakie były wasze dalsze losy. Czy życie znów was połączyło, czy pokonaliście przeszkody.
- I tylko dlatego?
- Początkowo tylko...
- A potem?
- Potem... Im dłużej szukałam, im więcej wiedziałam i lepiej was poznawałam, a właściwie Amélie, bo znacznie trudniej było ustalić, kim był autor listu... Ale odchodzę od tematu. Krótko mówiąc, poznając was oboje, zaczęłam się do was... przywiązywać. Do was obojga. Ta historia nie dawała mi spokoju. Wciąż o was myślałam, wszystkiego chciałam się dowiedzieć. I chciałam też opisać wasze dzieje, bo byłam przekonana, że to świetny temat na piękny romans. Bo to musiał być piękny romans, nawet jeśli zakończenie

nie było szczęśliwe. Przynajmniej do dziś. I... – umilkłam.

– I? – podchwycił Erwan.

– No cóż, przyznam, iż zaczęłam się uważać za pośredniczkę między wami, uwierzyłam, że doprowadzę do waszego spotkania. Wiem, wiem, to trochę pochopny wniosek, ale nie mogłam się wyzbyć nadziei... Sama nie wiem, ale miło jest mieć nadzieję, że robi się coś dobrego. Że chociaż raz w życiu uszczęśliwi się ludzi.

– Jestem przekonany, że uszczęśliwia pani ludzi na co dzień. Już choćby poprzez ten zawód, który wymaga oddania...

– Tak, to znaczy nie, bo naprawdę chciałam zrobić coś konkretnego. Dla was. Chciałam zabawić się w Sama Becketta i naprawić błędy przeszłości. Połączyć dwie bratnie dusze – powiedziałam, patrząc na niego przepraszająco.

Erwan się uśmiechnął.

– Muszę przyznać, że dużo myślałem o tym, co mi pani powiedziała. O tym, że nigdy nie jest za późno.

Pokiwałam głową.

– I?

Westchnął.

– Jeszcze nie podjąłem decyzji. Muszę się zastanowić. Po prostu... trochę się boję. Prawda, że to głupie? Mam prawie sześćdziesiąt trzy lata, a boję się spotkania z kobietą...

– Nie, to nie jest głupie, wręcz przeciwnie. To dowodzi, że nadal pan ją kocha. Gdyby już nic dla pana nie znaczyła, nie bałby się pan.

– Ale czy ja jeszcze coś dla niej znaczę?

– Myślę, że tak, choć to tylko moja opinia. Erwanie, nie chcę pana do niczego zmuszać. Proszę jednak pamiętać, że gdyby miał pan ochotę porozmawiać o tym albo o czymkolwiek innym, zawsze znajdę dla pana czas.

– Dziękuję, Flavie. Dziękuję za wszystko, co pani dla mnie zrobiła.

– Nie ma za co, naprawdę nie ma za co. To raczej ja powinnam panu podziękować. Przyjęliście mnie, jakbym należała do rodziny, chociaż nie mieliście powodu tak mnie traktować. Spędziłam w pana towarzystwie wspaniałe chwile i nie zapomnę o tym. Nigdy o panu nie zapomnę.

Moje spojrzenie zwróciło się na Romarica, który obserwował, jak tańczę z jego stryjkiem. Uśmiechnął się do mnie, jak już tyle razy, odkąd przyjechałam, a ja cicho westchnęłam. Wiedziałam, że nigdy nie zapomnę tych kilku dni. Że nie zapomnę o Erwanie, Gwenn, a przede wszystkim o Romaricu. O nim na

pewno nie.

Gdy ucichły ostatnie dźwięki melodii, Erwan odprowadził mnie do stolika, podziękował i oddał oficjalnemu partnerowi.

Reszta wieczoru minęła niepostrzeżenie i zanim zauważyłam, była już prawie północ. Lada chwila karoca znów miała stać się dynią, a ten cudowny dzień – wspomnieniem. Zostało mi już niewiele czasu i ze ściśniętym sercem myślałam o zbliżającym się wyjeździe.

Dwa dni – miałam tylko tyle, by nacieszyć się tymi niezwykłymi chwilami, które przeżywałam. Potem wcześniejsze zobowiązania zmuszały mnie do powrotu do Karouac – obiecałam ojcu, że pomogę mu przy inwentaryzacji w sklepie. Wiedziałam, że gdybym poprosiła, zwolniłby mnie z danego słowa, zdawałam sobie jednak sprawę, że nie mogę tak postąpić.

A wszystko dlatego, że ojciec celowo wybierał co roku właśnie ten tydzień na inwentaryzację. Robił to tuż przed i po rocznicy ślubu, a także – swoich urodzin. Nawet po tylu latach te dni zawsze były dla niego wyjątkowo trudne, więc obiecałam sobie, że w tym czasie nie zostawię go samego. Jeszcze nigdy nie złamałam danego słowa i nie zamierzałam tego zrobić teraz.

Choćby nawet miało mnie to kosztować utratę mężczyzny, w którym się zakochałam.

Nie mogłam już bowiem wypierać się swoich uczuć. Nie wiedziałam, kiedy to się stało ani co do tego doprowadziło, ale zadurzyłam się w Romaricu jak podłotek, błyskawicznie i do utraty tchu. Oczywiście było to szaleństwo, przecież wiedziałam, że już wkrótce życie nas rozdzieli – i prawdopodobnie nigdy więcej się nie spotkamy. Może przez kilka tygodni czy miesięcy będziemy utrzymywać kontakt, jak to znajomi z wakacji. Ale potem codzienność osłabi tę więź, nasze kontakty staną się coraz rzadsze. Aż w końcu zupełnie ustaną.

Serce ścisnęło mi się na myśl, że ludzie, do których tak szybko się przywiązałam – prawdopodobnie za szybko – wkrótce znikną z mojego życia. Że on zniknie z mojego życia. Nie chciałam tego. Nie chciałam, żeby tak się stało!

Czułam się, jakbym znowu miała piętnaście lat i z ciężkim sercem żegnała koleżanki oraz kolegów z kolonii letnich.

Westchnęłam mimowolnie, czym oczywiście zwróciłam uwagę Romarica.

– Wszystko w porządku? – zapytał, patrząc mi w twarz.

Poczułam, że w prawym oku mam łzę i zamrugałam powiekami, by ją przepędzić. A potem uśmiechnęłam się do niego promiennie.

– Oczywiście, jest cudownie.

Już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale przerwał mu głos prowadzącego zabawę.

– Panie, panowie – zaczął młody człowiek, który stał z mikrofonem przed orkiestrą – teraz zapraszam wszystkich na plażę. Za kilka minut zaczynamy pokazy sztucznych ogni i zapewniam państwa, że tego widowiska pod żadnym pozorem nie wolno przeoczyć! Spotkamy się zaraz po pokazie, żeby na zakończenie wieczoru jeszcze trochę potańczyć albo choćby posłuchać muzyki!

Tłum tancerzy ruszył ścieżką wiodącą na plażę. Także ci, którzy jak my siedzieli przy stolikach, wstali i poszli nad morze. Romaric podał mi rękę i razem z Erwanem podążyliśmy za resztą gości.

Sztuczne ogni były godne święta. Nie tak piękne, jak zwykle w Karouac, ale miłe dla oka. Po kwadransie pełnych podziwu „o” i „a” albo „jaka piękna czerwień” i końcowym bukicie, który rozsypał się po całym niebie, wszyscy wrócili na tańce.

Kiedy podchodziliśmy do stolika, który jakimś dziwnym przypadkiem nie został zajęty przez nikogo innego, Erwan, nie siadając, powiedział:

– Dobrze, młodzi ludzie, moje stare kości są już zmęczone, więc chyba powinienem wrócić do domu. Rom, jeżeli spotkasz swoją siostrę, ucałuj ją ode mnie. A wy dwoje bawcie się dobrze. Flavie, może zajrzałaby pani do mnie jutro?

– Z przyjemnością!

– W takim razie proszę przyjść na kolację i przyprowadzić Gwenn i Roma, skoro nadarza się okazja. To znaczy... jeżeli Gwenn pojawi się do tego czasu.

– Jesteśmy umówieni!

Ucałował Roma – to zdrobienie, które usłyszałam dziś po raz pierwszy, bardzo mi się spodobało – i mnie, a potem poszedł do zaparkowanego sto metrów dalej samochodu.

Orkiestra zagrała wolną melodię i Romaric, do którego nie odważyłam się jeszcze zwracać „Rom”, a w każdym razie, nie bez jego zgody, poprosił mnie do tańca. Oczywiście zgodziłam się z radością, bo przecież czekałam na tę

chwilę przez cały wieczór.

Serce uderzyło mi mocniej, kiedy wziął mnie w ramiona i zaczęliśmy tańczyć. Milczeliśmy. Czułam na plecach dotyk jego ręki, silnej i władczej, ale łagodnej i delikatnej, i bliskość jego policzka, który niemal ocierał się o moje włosy. Podobał mi się zapach jego płynu po goleniu, a może wody kolońskiej – nie potrafiłam tego rozpoznać. Przenikało mnie ciepło bijące od jego ciała. Instynktownie, podświadomie przysunęłam się tak, że dotykałam piersiami umięśnionego torsu mojego partnera i musiałam się powstrzymać, by nie położyć głowy na jego ramieniu.

Uniosłam oczy i natrafiłam na jego spojrzenie, a wtedy nagle cały świat zniknął. Już niczego nie słyszałam, niczego nie widziałam – tylko pochyloną nade mną twarz i łagodny uśmiech Romarica. Wydawało się, że czas nie ma już nad nami władzy.

Przynajmniej nie miał, dopóki nie wmieszała się w to pogoda i ciężka kropla wody nie rozprysnęła się na moim prawym oku – wraz z nią przysł czar. Z największym trudem powstrzymując się od rzucenia wiązki bardzo niekobiecych przekleństw, wysunęłam się z objęć Romarica i ocierałam powieki, starając się – o ile to możliwe – nie rozmazać tuszu do rzęs, niestety, niewodoodpornego. Po tej podstępnej kropli zaraz spadła druga, trzecia i zanim zdążyliśmy się zorientować, lunęło jak z cebra.

I nie był to ciepły deszcz – bynajmniej nie ciepły. I wcale nie wydawało mi się to zabawne.

– Chodź, musimy się schować! – zawołał Romaric, którego głos ledwie przebił się przez dudnienie ulewy.

Pociągnął mnie za sobą, próbując jeszcze osłaniać własnym ciałem. Rzecz jasna, niewiele to dało i po paru krokach oboje przemokliśmy i przemarzliśmy do szpiku kości.

Schroniliśmy się we wnęce przy wystawie sklepowej, wraz z innymi zmokniętymi uczestnikami zabawy. Sukienka lepiła mi się do ciała, odsłaniając wszystko, co było do pokazania. Było mi zimno. Tuliłam się do Romarica, modląc się, żeby nie zauważył moich sterczących sutków, i poczułam, że obejmuje mnie i przyciąga jeszcze bliżej. We wnęce było mało miejsca, za to z każdą chwilą przybywało chętnych, by tam się schować. Romaric pochylił głowę i szepnął mi do ucha:

– Lepiej pobiegnijmy do auta, tam przynajmniej będzie sucho.

– Dobrze – powiedziałałam, szcękając zębami.

I tak nie mogłam już bardziej zmoknąć, a w samochodzie było ogrzewanie.

– Ruszamy!

I pognaliśmy w stronę samochodu. Otworzył go z daleka pilotem, więc równocześnie wskoczyliśmy do środka, błyskawicznie zamykając za sobą drzwi. Romaric szybko przekręcił kluczyk i włączył ogrzewanie.

– Co za ulewa... – zaczął, odwracając głowę w moją stronę.

– Przemokłam do... tak... do suchej nitki – powiedziałam, splatając ręce, żeby osłonić to, co nazbyt dobrze odsłaniała lekka sukienka.

Pewnie oboje wyglądaliśmy żałośnie z włosami oblepiającymi głowę, w ubraniach klejących się do ciała, ociekający wodą. Ta sytuacja wydała mi się komiczna i w końcu zachichotałam, a potem, już nie zdoławszy się powstrzymać, parsknęłam głośnym, niemal histerycznym śmiechem, którym zaraziłam Romarica. Śmialiśmy się, nie mogąc przestać, a jeśli nawet któreś z nas próbowało, to wystarczyło, że spojrzało na to drugie, by znów zacząć. Tak minęła wieczność, chociaż może było to tylko kilka minut – czas nie miał już dla mnie znaczenia, straciłam orientację – zanim ten rechot stopniowo ustąpił uśmiechom.

A potem także uśmiechy zaczęły przygasać i ich miejsce zajęło coś, czego nie potrafiłam nazwać. Powietrze jakby się naelektryzowało, choć wiem, że wcześniej takie nie było, a oczy Romarica wbiły się w moje. Jego ręka uniosła się wolniutko ku mojej twarzy, dotknęła policzka i wsunęła się we włosy. Wędrował spojrzeniem od moich ust do oczu, jego twarz była coraz bliżej i działo się to niepostrzeżenie. W końcu oczy Romarica wypełniły całe moje pole widzenia. Nie dostrzegałam niczego poza nimi, czułam tylko jego zapach, słyszałam jego oddech. Po chwili długiej jak wieczność dotknął wargami moich ust – najpierw delikatnie, nieśmiałym muśnięciem, ale mimowolnie westchnęłam. Drżały mi kolana, opadłam z sił, dosłownie topniałam od jego bliskości, mrówki wędrowały mi po kręgosłupie.

A kiedy położył drugą dłoń na moim policzku, gdy rozchylił wargi i wsunął język do moich ust, straciłam kontrolę nad sytuacją. Jego pocałunek był czuły i namiętny, łagodny i żarłoczny. Jego język pieścił mój agresywnie, pożądliwie, wolno i zmysłowo. Bezwiednie wsunęłam palce w czuprynę mojego ukochanego i bez reszty poddałam się doznaniom, jakie budziły we mnie jego usta, ręce, pieszczoty.

A potem, nagle, ogarnęła nas gorączka, która zawładnęła naszymi ciałami i, co gorsza, odebrała nam rozum. Pocałunki nie były już łagodne, lecz coraz

zachłanniej, coraz bardziej namiętne. Ledwie zauważyłam, że jego ręce, wędrujące po moim ciele przez mokrą sukienkę, zapuściły się na nogi, uda, plecy, piersi, a wargi okrywały pocałunkami każdy dostępny skrawek mojej skóry. Nasze ciała przyciągały się, zwierzały, pragnąc się połączyć.

I tak, zanim zauważyłam, pośród pieścizot i pocałunków wylądowałam na kolanach Romarica i, całując go namiętnie, odszukałam ręką pasek jego spodni i rozpięłam. Było mi niewygodnie, kierownica krępowwała mi ruchy, ale nic sobie z tego nie robiłam. Chciałam Romarica, pragnęłam go ponad wszystko. Pożądałam go – tu i teraz.

Kiedy próbowałam usiąść wygodniej, uderzyłam głową o podsufitkę i syknęłam z bólu.

To go powstrzymało.

– Flavie, Flavie... – wydyszał. – Zaczekaj!

Odsunął mnie i spojrzał mi w oczy.

– Zaczekaj. Nie możemy tego tak zrobić.

Poczułam się, jakby świat się zawalił. Powinnałam się domyślić, że kiedy coś wydaje się za piękne, żeby mogło być prawdziwe, na ogół nie jest prawdziwe.

– Nie?

– W każdym razie... nie tu, nie w taki sposób, w aucie, jak para ukrywających się smarkaczy. Zasługujesz na coś lepszego niż siedzenie samochodowe.

Pogładził mnie po twarzy i pocałował – czule, ale spokojnie.

– W domu mam bardzo wygodne łóżko...

– To na co jeszcze czekamy? – usłyszałam własny głos, dziwnie schrypnięty i zmysłowy.

Nie poznawałam samej siebie.

Nie przestając mnie całować, pomógł mi wrócić na fotel, a potem włączył silnik i wrzucił bieg. Jeszcze raz skradł mi całusa, rozpalając moje zmysły – o ile dało się jeszcze bardziej je rozpalic – i znacznie szybciej, niż pozwalał na to kodeks drogowy, zawiózł mnie do domu.

Ledwie weszliśmy do pensjonatu, a Romaric zaczął mnie namiętnie całować i przyznam, że nie pozostawałam mu dłużna. Trudno mi było uwierzyć w to, co się dzieje, ale pragnęłam wycisnąć jak cytrynę każdą minutę w jego ramionach, żeby się nim nasycić. Jego ręce wędrowały po moich plecach,

pośladkach, zsunęły się na uda, a wtedy uniósł mnie jak piórko. Oplotłam go nogami w talii, wsunęłam mu palce we włosy, nie przerywając pocałunku. Zauważyłam, że zabrał mnie do części domu, której nie znałam, ale to mnie nie obchodziło. Liczył się tylko Romaric, jego dłonie na mojej skórze, wargi przy moich wargach, pieśczoła języka.

Po raz pierwszy kochaliśmy się w pośpiechu, żarłocznie, namiętnie, zaspokajając palącą potrzebę, nieodparty głód ciała. Oboje czuliśmy równie gwałtowne pożądanie, domagające się, by zaspokoić je tu, natychmiast, teraz. Jego ręce i usta były na całym moim ciele, smakowały każdy centymetr, badały każdą krągłość, zawładnęły mną, pobudzały każdy nerw, aż przestałam czuć cokolwiek poza palącym, nienasyconym pragnieniem. Z niecierpliwością sama sięgnęłam po prezerwatywę i wsunęłam mu ją, nieco dłużej niż trzeba wodząc palcami, żeby doprowadzić go do szaleństwa. A przy okazji także siebie.

Przymknął oczy, zaczął oddychać szybciej i chwycił mnie w ramiona. Przywarłam do niego, jak najbliżej, coraz bliżej, aż poczułam, jak ociera się o mnie, wokół mnie, na mnie. Wreszcie czułam bicie jego serca na żebrach, chociaż może to moje serce uderzało o jego żebra. Tworzyliśmy jedność i trudno było określić, gdzie kończę się ja, a gdzie zaczyna się on. Stopniowo nasze ruchy stawały się coraz bardziej gwałtowne, pocałunki coraz bardziej namiętne, aż nagle wszystko eksplodowało wokół mnie i we mnie. U szczytu rozkoszy wiedziałam, że Romaric podąża tuż za mną.

Później, gdy już przygasł ten ogień, kiedy minęła gorączka nagłego pożądania, nie szczydziłam czasu, żeby się poznawać, rozsmakować w sobie i kochać – leniwie, bardzo wolno, delikatnie i czule, w blasku świateł, które zapaliliśmy. Nasze ruchy nabrały łagodności, ale były już śmielsze. Moje ręce zuchwale wędrowały po ciele Romarica, zatrzymywały się na mięśniach ramion, brzuchu, pośladkach. Rozkoszowałam się dreszczami, które wywoływały u niego moje pieśczoły. Nie spieszyłam się, rozbudzając na nowo jego i moje pragnienie, całowałam go, szukając najwrażliwszych obszarów, sprawdzając jego i moją wytrzymałość, aż znów poczułam w sobie tę lawę. Całym swoim jestestwem zapragnęłam tylko jednego – jego.

Za drugim razem kochaliśmy się tak, jakby świat poza tym pokojem nie istniał. Jakby nie liczyło się już nic oprócz naszych oddechów, które się łączyły, dwóch kochających się ciał i bijących zgodnym rytmem serc.



Jakby czas, którego było przecież tak mało, już się nie liczył.

## ROZDZIAŁ 15

Nocą deszcz ustał, a wczesnym rankiem słońce, które ledwie wstało, obudziło mnie, muskając ciepłymi promieniami moje powieki. Otworzyłam oczy i rozejrzałam się wokół, nie bardzo wiedząc, gdzie jestem. To na pewno nie było miejsce, gdzie spałam przez kilka poprzednich nocy. Nie wspomnę już nawet o ręce, uniemożliwiającej mi jakikolwiek ruch, ani o drugiej, leżącej na mojej piersi. Nawet tak zaspana, nie miałam wątpliwości, że żadna z nich nie jest moja. Rozbudziłam się na dobre, przypomniawszy sobie miniony wieczór.

Bal. Ulewa. Pocałunki.

I najcudowniejsza noc, jaką dane mi było przeżyć.

Nie zamierzam kłamać – nie jestem zatwardziałą dziewicą. Miałam za sobą wiele związków – niektóre poważniejsze, inne przelotne, mniej lub bardziej udane. Ale jeszcze nigdy ziemia nie zadrżała pode mną tak jak tej nocy.

A Bóg mi świadkiem, że zadrżała.

To wspomnienie sprawiło, że poczułam się szczęśliwa i odprężona. Było mi niesamowicie dobrze. Tak, poznałam najprawdziwsze szczęście. I byłam zakochana po uszy. Jeżeli nawet wcześniej miałam jakiegokolwiek wątpliwości, to teraz wszystkie już się rozwiały.

Kochałam go. Owszem, zdawałam sobie sprawę, że postępuję bardzo głupio, tak się angażując. Wiedziałam, że za dwa dni wyjeżdżam i nie będzie mi łatwo. Lecz to było silniejsze ode mnie. Nie mogłam, nie chciałam się opierać. Nieważne, co będzie potem. Wolałam przeżyć to, co zostało mi dane, wykorzystać w pełni szansę otrzymaną od losu, choćby ceną miało być złamane serce i wiele przepłakanych nocy, kiedy już wrócę do Karouac, niż zrezygnować i stracić te chwile wielkiego szczęścia. Erwan dał mi przykład. Lepiej kochać i cierpieć, choćby szczęście trwało krótko, niż wycofać się teraz, a potem żałować. Bo naprawdę warto było zaryzykować. Romaric na to zasługiwał.

Był cudowny – czuły, opiekuńczy, namiętny. Dowcipny i czarujący.

Niesamowicie seksowny. Musiałabym być z lodu, żeby mu się oprzeć. Tylko szalona kobieta mogła nie paść mu w ramiona.

Nie byłam szalona. I nie byłam górą lodową.

Westchnęłam przeciągle, a potem wolno odwróciłam głowę i powiodłam wzrokiem po jego nagim, wręcz boskim ciele. Jeszcze głęboko spał, osłonięty kołdrą tylko do bioder. Przy okazji ściągnął ją także ze mnie, co szybko naprawiłam, czerwieniąc się jak młoda żona po nocy poślubnej. Przez chwilę podziwiałam jego muskularny tors i dołki na wysokości lędźwi. Serce znów uderzyło mi mocniej. Nie mogłam oprzeć się pokusie i delikatnie powiodłam palcem po jego ramieniu, wciąż zaborczo mnie obejmującym. Z barku przesunęłam czubek palca na kręgosłup i powędrowałam w dół. Zatrzymałam się tam, gdzie sięgała kołdra. Nie ośmieliłam się ruszyć dalej.

– Nie, nie przestawaj... – wyszeptał.

Czując, jak oblewam się rumieńcem, gwałtownie cofnęłam rękę i spojrzałam na twarz Romarica. Obserwował mnie jednym okiem, wciąż jeszcze tuląc głowę do poduszki. Zauważyłam wesoły, lekko kpiący uśmiech w kącie jego ust. Nadal trzymał prawą rękę na mojej piersi.

– Przepraszam, nie chciałam cię obudzić...

Zamilkłam. Co można powiedzieć mężczyźnie, którego się pokochało do szaleństwa i z którym spędziło się noc jak z najpiękniejszego romansu? „Dzień dobry, jak się masz? Wypałeś się? Posłuchaj, mam nadzieję, że niczego nie żałujesz, bo ja uważam tę noc za najpiękniejszą w życiu i mam nadzieję, że to powtórzymy”. Nie, takie słowa nie przeszłyby mi przez usta, chociaż bardzo pragnęłam, żeby tak właśnie było – żeby on też nie żałował tego, do czego między nami doszło.

Odniosłam jednak wrażenie, że Romaric nie zadawał sobie tyłu pytań, co ja. Z uśmiechem, który tak często gościł na jego twarzy, uniósł się na łokciu i w czułym geście zbliżył twarz do mojej twarzy.

– Na co miałbym narzekać, skoro budzę się przy tak wyjątkowej kobiecie? – szepnął, całując mnie w usta.

Ten pocałunek przyprawił mnie o zawrót głowy. Cóż, przynajmniej wiedziałam, że mój ukochany także nie żałował tej nocy. To już całkiem nieźle.

– Dzień dobry – szepnął mi w usta.

– Dzień dobry – odpowiedziałam, ledwie przerywając pocałunek.

– Dobrze spałaś?

– Uhm. Fantastycznie.

Uśmiechnął się i znów mnie pocałował, ale tym razem bardziej namiętnie.

Osunęłam się i wtuliłam w jego ramiona. To było najwygodniejsze miejsce w łóżku. Słusznie uznając ten ruch za zachętę, okrył pocałunkami mój policzek i dotarł do tak wrażliwego miejsca za uchem. Natychmiast poczułam dreszcz i miłe ciepło ogarnęło mnie od stóp do głów, szczególnie silne w dole pleców.

– Flavie? – szepnął mi do ucha.

– Uhm? – odparłam od niechcenia, bez reszty skupiona na jego pieściznach.

– To była cudowna noc – szepnął.

I jakby na potwierdzenie tych słów, ugryzł mnie lekko w ucho. Jęknęłam i choć czułam się, jakby przeszył mnie prąd, odpowiedziałam cicho:

– Tak, naprawdę wyjątkowa.

Jeszcze przez chwilę szczyptał mnie zębami i już traciłam kontakt z rzeczywistością, gdy znów szepnął:

– Flavie?

– Uhm? – Tylko tyle byłam w stanie z siebie wydusić.

Jak miałam sklecić spójne zdanie, kiedy pieścił moje piersi, wodził palcami po brzuchu, a jego usta bez końca drażniły moje ucho?

– Masz jakieś plany na dwie najbliższe godziny? – zapytał, nie przerywając zabawy mną.

– Nic... o tym nie wiem. Nie.

– Dobrze się składa.

I zaczął bardzo szczegółowo wtajemniczać mnie w swoje plany.

Z pewnością minęły dwie godziny, zanim głód wypędził nas z sypialni, a wtedy, korzystając z tego, że Romaric szykował śniadanie, wzięłam prysznic i przebrałam się w czyste ubranie. Kiedy wróciłam, w kuchni unosił się smakowity zapach grzanek, a mój żołądek zaczął głośno się dopominać odrobiny uwagi.

– Oj, przepraszam – skrzywiłam się, kładąc rękę na brzuchu – ale chyba zgłodniałam.

– Siadaj, śniadanie zaraz będzie gotowe.

Po chwili postawił przede mną tyle jedzenia, że starczyłoby dla całego pułku wojska. Pieczywo, masło, konfitury, gofry, kawa i herbata. W wazonie na

stoliku pachniała róża z ogrodu. A na moim talerzu stał uroczy miś, którego Rom rzeźbił wczoraj, kiedy spałam jak dziecko.

– O, wykończyłeś go?

– Tak, wczoraj, jak wróciliśmy. To dla ciebie.

– Dla mnie? Dziękuję, ubóstwiam go! Ale... po co ten prezent?

– Tak sobie. Cieszę się, że mogę ci go dać.

Wzięłam misia do ręki i uśmiechnęłam się słodko.

– Dziękuję! Jest naprawdę śliczny!

Romaric pochylił się, pocałował mnie w usta i szepnął:

– Ale nie tak, jak ty...

Na te słowa moje serce zmiękło jeszcze bardziej i gdyby to było możliwe, znów zakochałabym się w Romaricu.

Podał mi herbatę, sobie nalał kawy i usiadł obok mnie.

– Gwenn wróciła? – zapytałam, smarując kromkę chleba konfiturą.

– Nie sędzę, nie widziałem ani jej butów, ani samochodu. Całe szczęście, że tej nocy w pensjonacie nie było gości...

W tym momencie otworzyły się drzwi.

– O wilku mowa... – rzucił Romaric. – O której to się wraca? – dodał, udając srogiego.

– Dzień dobry państwu! – powiedziała Gwenn, siadając naprzeciwko brata.

Była ubrana tak, jak wczoraj wieczorem, i rozpromieniona. Sędząc po nastroju, ona też miała za sobą udaną noc.

– Jak się miewacie? – spytała. – Wypaliście się? Konam z głodu! Starczy tego i dla mnie?

– Oczywiście – włączyłam się do rozmowy. – Trzy osoby na pewno porządnie się tu najedzą. Częstuj się.

Wstała, żeby wyjąć z szafki kubek, a kiedy Romaric nalał jej kawy, wypła ją niemal duszkiem.

– O Boże, jak dobrze! – westchnęła.

– Powiesz w końcu, gdzie byłaś? – zapytał Romaric tonem opiekuńczego starszego brata.

Już raz czy dwa widziałam tę minę i słyszałam ten ton. Prawdę mówiąc, podobało mi się i jedno, i drugie. Otaczał opieką tych, których kochał. I chociaż czasami wydawało mi się, że trochę przesadza, zawsze mnie tym rozczulał.

Tak, zakochałam się w nim bez pamięci i nic mi w nim nie przeszkadzało.

– Nie mam zamiaru – odparła jego siostra. – Czy ja cię pytam, co robiłeś w nocy?

Poczułam, że znów jestem czerwona jak piwonia, więc szybko uniosłam do ust filizankę. Nie, rzeczywiście, lepiej, żeby Gwenn nie pytała, jak Romaric spędził tę noc, bo chyba ze wstydu zapadłabym się pod ziemię.

Przypuszczam, że dopiero wtedy Gwenn zrozumiała, że coś między nami zaszło, bo widząc moje rumieńce, spojrzała na brata, potem na mnie i znowu na niego. Uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Dobrze, pójdę się przebrać i pędzę do koni – oznajmiła, dolewając sobie kawy i sięgając po gofra.

Potem ruszyła do drzwi kuchni.

– A, Flavie... – Odwróciła głowę, przystając w progu.

– Tak?

– Pamiętasz, miałaś mi pokazać, jak się spuszcza te oczka?

– Pokażę ci, kiedy będziesz miała wolną chwilę!

Znów się uśmiechnęła.

– Zapomnijmy o tym. Wydaje mi się, że na dwa najbliższe dni masz ciekawsze zajęcia.

Teraz przynajmniej wszystko było jasne. Nikt nie musiał snuć domysłów. Gwenn wiedziała, że Rom i ja nie jesteśmy sobie obojętni.

– Na pewno? – zapytałam jeszcze.

– Na pewno! Zajmiemy się tym kiedy indziej.

– No dobrze...

– A poza tym – ciągnęła z porozumiewawczym uśmiechem – ja też mam pewne plany.

Odwróciła się i już miała wyjść, kiedy odezwał się Romaric:

– Gwenn, Erwan zaprosił na kolację nas wszystkich: Flavie, ciebie i mnie.

– Dobrze, będę pamiętała! Przyjdę, jak dotrą tu nasi goście i rozmieścimy ich konie w stajni!

Powiedziawszy to, wyszła, ale zaraz potem jej głowa znów wychyliła się zza framugi.

– Zapomniałabym! Miłego dnia! – rzuciła z wymownym uśmiechem. – Bawcie się dobrze!

– Dzięki!

– Już uciekam! Do zobaczenia wieczorem.

I pobiegła, stukając obcasami.

Spojrzenie Romarica wędrowało od drzwi do mnie i ode mnie do drzwi. Trwało to kilka sekund. Potem, jakby pod wpływem nagłego impulsu, wstał i ruszył za siostrą, rzuciwszy:

– Zaraz wracam!

– Hm... Dobrze, zaczekam.

Po dwóch minutach, zanim zdążyłam przełknąć grzankę z konfiturą, wrócił, promiennie uśmiechnięty.

– Umówiłem się z Gwenn. Zajmie się pensjonatem. Jestem wolny jak ptak, wyłącznie do twojej dyspozycji, przez całe dwa dni. Powiedz, co chcesz robić? Ty decydujesz!

Już zdecydowałam.

– Zabierz mnie, dokąd chcesz, ale opowiedz mi historię tego miejsca.

– Skoro tak, to już wiem, czego ci trzeba.

## ROZDZIAŁ 16

Okazało się, że Rom, który chyba zaczynał mnie już poznawać, naprawdę wybrał idealny cel wycieczki – średniowieczny zamek wznoszący się pod przełęczą, w zalesionej dolinie. Wiodła do niego tylko jedna droga, a kuśił romantyczną nazwą: Zamek w Dolinie Miłości. Jakże oprzeć się czarowi tej nazwy i tajemniczej aurze, która go otaczała i zawładnęła mną, gdy tylko wysiadłam z samochodu?

– Och! – szepnęłam zachwycona.

Romaric zaśmiał się cicho, wziął mnie za rękę i poprowadził.

– Przecież jeszcze nic nie widziałaś. Chodź!

Minęliśmy fortyfikacje, a potem dotarliśmy na dziedziniec.

Przystanąłam i obróciłam się, chłonąc każdy detal, ale moje oczy nie były w stanie wszystkiego ogarnąć i dostrzec.

– Nieprawdopodobne! Nie przypuszczałam, że taki zamek może się wznosić w środku lasu!

– Chodź! – ponaglił mnie, ciągnąc za rękę. – Musisz obejrzeć wnętrze. Jest tam coś, co chcę ci pokazać.

Dreptałam za nim, wykręcając sobie szyję, żeby jak najwięcej zobaczyć i nie przeoczyć żadnego szczegółu. Zaprowadził mnie do rozległej sali, a stamtąd kręconymi schodami na piętro. Tam weszliśmy do komnaty i zatrzymaliśmy się przy załomie muru.

– Co to? Jakieś tajemne przejście? – zażartowałam.

– Zgadłaś!

– Nie?! – zawołałam, poważniejąc. – Takie prawdziwe?

– Najprawdziwsze! Prowadzi do podnóża góry.

– Szedłeś nim kiedyś?

Pokiwał głową, uśmiechając się jak psotny chłopiec.

– Erwan zabierał mnie tu czasami, kiedy pracował przy renowacji murów, zanim skończyły się finanse. Pewnego dnia przeszedłem tunelem do końca.



Może niezbyt łatwo poruszać się tam w sukni, ale przejście istnieje i jest dobrze utrzymane. A przynajmniej było, kiedy ostatnio do niego zaglądałem. Można tamtędy dotrzeć do grotty nad strumykiem.

- Erwan tu pracował?
- Tak, przy obróbce kamienia do rekonstrukcji fortyfikacji.
- Fantastyczne. Po prostu fantastyczne!
- Chcesz wejść do tunelu?
- Oczywiście, że chcę!
- To na co czekamy?

Ukryte przejście – a właściwie nie takie ukryte, skoro jego wylot był dobrze widoczny – było ciemne, wilgotne, zimne i bardzo ciasne. Jednak napawałam się każdą spędzoną tam chwilą, wyobrażając sobie mieszkańców zamku, którzy korzystali z tunelu w razie oblężenia albo żeby niepostrzeżenie wymknąć się na spotkanie z przyjacielem, kochankiem, szpiegiem. W duchu snułam już romantyczne i dramatyczne historie, opowieści miłosne, rycerskie, o bitwach i zdradach, łącząc to, co wiedziałam, z tym, co widziałam. Wreszcie, po kwadransie wędrówki w dół, tunel się skończył, a my – jak zapowiedział Rom – znaleźliśmy się przy grotcie nad strumykiem.

Zatrzymałam się i popatrzyłam z uśmiechem na Romarica.

Wydawało mi się, że przeżywam wielką przygodę badacza przeszłości i bardzo mi się to podobało.

- Często tu przychodzisz?
- Echo powtórzyło moje słowa dziesięć, może sto razy.
- Tu, czyli do jaskini, czy do zamku?
- Jedno i drugie!
- W zamku byłem może dziesięć razy, w czasie wakacji, z Erwanem. A w grotcie... mniej więcej tyle samo, nie pamiętam. Odkryłem to przejście drugiego dnia. – Romaric się skrzywił. – Szkoda, że nie widziałaś miny Erwana, kiedy wróciłem... Szukał mnie już od dłuższego czasu i był mocno zaniepokojony. Tego dnia porządnie natarł mi uszu, daję słowo!
- Ale nie zabronił ci tam wracać?
- Poszedł ze mną.
- No tak. Powinnałam się domyślić.
- A kiedy się przekonał, że tunel nie zawali mi się na głowę, pozwolił,

żeby tam chodził, pod warunkiem, że zawsze go uprzedzę, aby nie tracił czasu na poszukiwania.

– Zachował się bardzo fajnie. Podejrzewam, że ja na jego miejscu skazałabym cię raczej na areszt domowy. Za bardzo bym się bała, że coś ci się stanie.

– Sama widzisz, że tu nic nikomu nie grozi... – powiedział, tuląc mnie.

– Tak, to prawda. A potem często tu przychodziłeś?

– Nigdy.

– Tak? Dlaczego?

– Po prostu nie było okazji. W następne wakacje Erwan już tu nie pracował, więc nie mogłem. A potem zaczęły się studia, pensjonat i cała reszta. Nie nadarzyła się żadna możliwość i prawie zapomniałem o zamku. Przypomniałem sobie o nim dopiero dziś rano.

– Rozumiem. I bardzo ci dziękuję, że mnie tu przywiozłeś. Jest cudownie!

– Wiedziałem, że ci się spodoba! Potrafisz sobie wyobrazić wszystko, co tutaj się wydarzyło?

– Tak, doskonale sobie wyobrażam. Wymykali się ukradkiem...

– Nocne schadzki zakochanych...

– Dostarczana niepostrzeżenie żywność...

– Wyprowadzany dyskretnie kochanek...

– Szpiegostwo, zdrady...

Nasze oczy spotkały się i oboje parsknęliśmy śmiechem. Byliśmy sobie warci. Dajcie nam dwie minuty, a napiszemy historię zamku od nowa!

Rom pocałował mnie i zapytał:

– Chcesz tu posiedzieć czy wracamy?

– Wróćmy do zamku, chciałabym go obejrzeć...

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem, gołąbeczko.

Oprowadził mnie po wszystkich komnatach. Nie zajęło nam to dużo czasu, bo wszędzie panowała pustka, a budowla była stosunkowo mała.

Obeszliśmy cały zamek, ale nie mieliśmy jeszcze ochoty wracać do pensjonatu. Usiadłam na najniższym stopniu kamiennych schodów prowadzących na piętro i zapatrzyłam się w sklepienie nad komnatą, która zapewne była salą recepcyjną, i poprosiłam Romarica:

– Opowiedz mi jego historię.

Uśmiechnął się.

– Będziesz zachwycona. O tym zamku praktycznie nic nie wiadomo.

Nieznana jest dokładna data budowy, nie wiemy, kto był jego właścicielem. Historycy nie odnaleźli dotąd zbyt wielu dokumentów, a wzmianki o nim w innych źródłach są bardzo nieliczne, zarówno w archiwach z tamtych czasów, jak i na mapach czy w literaturze. To niezwykle tajemnicza budowla. Możesz sama zdecydować o tym, co się tu działo.

Zamilkł, a ja czekałam, pewna, że Romaric wie jednak trochę więcej.

– Oczywiście – dodał na potwierdzenie moich domysłów – te mury obrosły dziesiątkami legend, które mówią o jego powstaniu i mieszkańcach, a każdy ma swoją ulubioną. Ale to nic pewnego, tylko legendy.

– Co mówią?

– Według niektórych zamek został wybudowany przez pewnego rycerza, który po powrocie z krucjaty nie chciał już słyszeć o wojnach i zaprzagnął żyć z dala od świata. Inne głoszą, że władcy Bretanii trzymali tu swoje kochanki.

– Ale ty w to nie wierzysz.

Pokręcił głową.

– W atmosferze tego zamku jest coś, co przekonuje mnie do innej historii.

– Opowiedz mi swoją ulubioną.

Usiadł obok, opierając się o mur, przyciągnął mnie do siebie i otulił ramionami. Oparłam głowę na piersi Romarica, czekając, aż ukołysze mnie jego głos.

– Był sobie kiedyś – zaczął, od niechcienia wodząc palcem po moim ramieniu – młody masztalerz imieniem Youenn, młodzieniec prostolinijny, uprzejmy i dobry. Pracował u pana, któremu był głęboko oddany i gotów poświęcić dla niego życie. Ów pan miał niezwyklej urody córkę, Alwenn. Pewnego dnia suweren, będący wrogiem ojca dziewczynki, uprowadził ją i więził przez wiele tygodni.

Ojciec Alwenn odchodził od zmysłów. Po śmierci żony ją jedną miał na świecie, toteż nie przebierał w środkach, by wyrwać córkę ze szponów porywacza. Wysyłał całe oddziały rycerzy, jednak ci za każdym razem wracali z niczym.

Wówczas Youenn, który w skrytości ducha od dawna głęboko i szczerze kochał Alwenn, wpadł na pewien pomysł. Nocą wymknął się z zamku i w przebraniu wmieszał się między służbę wroga. Przez kilka tygodni wytrwale dążył do celu, aż w końcu przypadł mu obowiązek noszenia Alwenn posiłków. Dziewczyna natychmiast go poznała, choć był w przebraniu, i zrozumiała, że zjawił się tu, by ją ocalić. Odzyskała nadzieję i odwrotnie

czekała co wieczór, gotowa do ucieczki.

Ale Youenn długo czekał na odpowiednią chwilę. W końcu, po wielu nocach, udało mu się wyprowadzić Alwenn z zamku, także w przebraniu. Odwiózł ukochaną do ojca tak szybko, jak tylko zdołał biec koń, którego ukradł, a potem pokornie oddał ją swemu panu. Widząc, jak Youenn patrzy na Alwenn, pan zrozumiał, że jego masztalerz kocha dziewczynę szczerze i z całego serca. Przekonał króla, że ten młodzieniec dowiódł większej odwagi i mądrości niż wielu rycerzy, i poprosił o rycerski pas dla swego sługi.

W sekrecie kazał także wybudować ten zamek, a kiedy gmach był już gotowy, poprosił córkę na rozmowę i zapytał, czy kocha Youenna. Zauważył bowiem spojrzenia, jakie wymieniało tych dwoje od powrotu Alwenn. Dziewczyna spłoniła się i wyznała, że darzy dzielnego młodzieńca miłością i nade wszystko pragnie zostać jego żoną. Usłyszawszy potwierdzenie tego, czego od dawna się domyślał, ojciec oznajmił córcę, że z radością przyjmie Youenna na zięcia. W dniu ślubu podarował córcę i zięciowi zamek, aby mieszkali w nim, bezpieczni po wsze czasy...

Westchnęłam ze wzruszenia.

– Piękna legenda... Mnie też najbardziej się podoba.

– Nie słyszałaś innych.

– To nic. Opowiedziałeś ją tak ładnie, że musi pozostać moją ulubioną.

Rom dotknął ustami moich włosów i mocniej mnie objął. Odwróciłam głowę i spojrzałam na niego.

– Skąd to wszystko wiesz? – zapytałam. – Znasz tyle legend, tyle opowieści... Wiesz o tym regionie więcej niż ja, a przecież to ja studiowałam historię, nie ty...

– To niezupełnie tak... Studiowałam ekonomię, ale równocześnie wybrałem kurs historii Francji i dziedzictwa narodowego. Uznałem, że powinienem umieć wskazać gościom, co warto obejrzeć w okolicy, musiałem więc poznać region jak własną kieszeń. Przeczytałem wszystko, co wpadło mi w ręce, szukając ciekawostek i legend, ucząc się lokalnej historii. Oczywiście wertowałem też przewodniki turystyczne. Czytałem wszystko, co dotyczyło miejsc w promieniu pięćdziesięciu, sześćdziesięciu kilometrów stąd.

Czym jeszcze zadziwi mnie ten mężczyzna?

– No, no, no!

– Zaimponowałem ci, co? – spytał z udawaną dumą.

Muszę przyznać, że naprawdę zrobił na mnie wrażenie. Powiedziałam mu to

i zobaczyłam, jak jego twarz się rozświećla. Zupełnie jak buzia dziecka, które pani nauczycielka pochwaliła za dobrze odrobione lekcje.

– Czyżbym dzięki temu zyskał w twoich oczach?

– Owszem, trochę. Nawet sporo...

– Rozumiem.

Zmarszczył brwi, udając, że nad czymś się zastanawia, a potem zapytał:

– A gdybym opowiedział ci tragiczną historię namiętnej miłości kobiety, która podczas pierwszej wojny światowej mieszkała tam, gdzie dziś jest pensjonat, to myślisz, że zdołałbym cię przekonać, żebyś...

Zamilkł.

– Żebym...? – podchwyciłam.

Wyszeptał mi kilka słów do ucha.

– Tylko tyle? – odparłam żartobliwym tonem, unosząc brwi. – Śmiało pan sobie poczyna, panie Kermarrec! Uważa pan, że mogłabym spełnić taką prośbę?

– Żeby wygrać, trzeba grać, panno Richalet. I co? – Potarł czubkiem nosa o mój nos, cmoknął mnie raz, drugi i trzeci, a potem pocałował w usta. – Pani profesor, niech się pani zgodzi!

– Ale proszę pamiętać, że ta historia musi być naprawdę ciekawa, żebym uznała pana zwycięstwo i zgodziła się na pańską prośbę... – odpowiedziałam, oddając mu tyle całusów, ile on mi ukradł. – Musisz mi naprawdę zaimponować, bo będę nieprzejednana.

– O, panno Richalet, zapewniam, że pani zaimponuję...

– Pyszałek...

## ROZDZIAŁ 17

– Było bardzo miło, moi drodzy – oznajmiła Gwenn, skończywszy deser – ale teraz wybaczcie mi, że was zostawię. Jestem umówiona.

Rom uniósł głowę i zrobił minę opiekuńczego starszego brata.

– Dokąd się wybierasz?

– Właściwie nie powinno cię to obchodzić, ale skoro pytasz, to idę się spotkać z Danem. Wybieramy się na festyn.

– Ma na imię Dan?

Gwenn uniosła brew i dopiero teraz zauważyłam jej uderzające podobieństwo do Romarica.

– Tak – odparła z lekkim westchnieniem irytacji. – Ma na imię Dan, jest w moim wieku i trenuje karate. Musisz przyznać, że będę przy nim bezpieczna. Jeszcze jakieś pytania?

– Nie... Tylko... mimo wszystko bądź ostrożna.

– Nie martw się, braciszku. – Rozczulona Gwenn cmoknęła Romarica w policzek. – Zawsze jestem ostrożna. Nie musisz się o mnie bać.

– Tak, wiem, ale... Miłego wieczoru, Gwenn. Bawcie się dobrze.

– Wy też!

Powiedziawszy to, pożegnała się najpierw ze stryjem, potem ze mną i wyszła z domu.

Erwan przez chwilę patrzył wymownie na bratanka.

– Będziesz musiał pogodzić się w końcu z faktem, że to już duża dziewczynka i nie potrzebuje twojej opieki.

Rom westchnął.

– Sam o tym wiem. Ale nie potrafię się nie martwić...

– Pozwól jej żyć. Jest wystarczająco dojrzała, żeby wiedzieć, co robi. I zasługuje na kogoś dobrego, kto się o nią zatroszczy.

– Skąd możesz wiedzieć, że właśnie ten jest dobry i nie złamie jej serca?

– Bo przeprowadziłem błyskawiczne śledztwo w jego sprawie.

- No proszę! Zarzucasz mi nadopiekuńczość, a sam wcale nie jesteś lepszy!
- Z tą różnicą, że ja robię to dyskretnie.

Uśmiechnęłam się mimowolnie. Niedaleko pada jabłko od jabłoni – Erwan i Romaric byli do siebie znacznie bardziej podobni, niż początkowo sądziłam. Obu cechowała troskliwość, uprzejmość, łagodność i serdeczność. Obaj byli też niezwykle opiekuńczy. I obaj zazdrośnie ochraniaли drogie ich sercu osoby. A ja, podobnie jak niegdyś Amélie, nie potrafiłam się oprzeć temu niemal doskonałemu facetowi.

– Erwanie, myślę, że my też już pójdziemy. Flavie obiecała mi spacer po plaży...

Prawdę mówiąc, obiecałam co innego, ale Romowi nie wypadało mówić o tym, do czego się zobowiązałam, jeżeli historia, którą chciał mi opowiedzieć, okaże się tak dobra, jak zapewniał.

Rzeczywiście była dobra. Wręcz doskonała. Piękna, poruszająca, przejmująca, dramatyczna, porywająca i wstrząsająca do tego stopnia, że zapragnęłam kiedyś ją opisać.

Tymczasem jednak musiałam wywiązać się z obietnicy. Słowo się rzekło.

- Uciekajcie, dzieciaki. I bawcie się dobrze.
- Miłego wieczoru i do jutra – powiedziałam, całując go w policzek, i pomyślałam, że ja też traktuję go prawie jak stryjka.

Po chwili wyszliśmy.

Uśmiechając się pod nosem, Erwan zaparzył sobie kawę i usiadł na tarasie.

Dziś wieczorem czuł się szczęśliwy. Jego bratanek i bratanica, dwoje najbliższych mu ludzi, których kochał ponad wszystko, spotkali wreszcie swoje bratnie dusze. W przypadku Gwenn było jeszcze za wcześnie, żeby powiedzieć, czy ta znajomość okaże się trwała, ale od dawna nie widział jej tak rozpromienionej.

W przypadku Romarica było inaczej. Przez tych kilka dni chłopak bardzo się przywiązał do Flavie, Erwan to czuł. Jeszcze nigdy nie widział go równie szczęśliwego, radosnego, jak teraz, gdy pojawiła się w ich domu.

Była dla niego stworzona. Łagodna i miła, a przy tym bardzo w nim zakochana. Tylko ślepy by tego nie zauważył. Kiedy patrzyła na Romarica, jej oczy lśniły niezwykłym blaskiem.

Dokładnie takim, jaki rozpalał oczy jego bratanka.

Właściwie nie rozmawiali o tym, ale Erwan dobrze go znał i z pewnością nie mylił się, interpretując drobne sygnały, jakie dostrzegał. Romaric zakochał się w kobiecie, która nieodwracalnie odmieniła życie jego stryja.

Erwan odstawił filiżankę i wyciągnął z kieszeni list. Nie rozstawał się z nim ani na chwilę, odkąd go odzyskał. Długo patrzył na złożoną kartkę.

Tak, Flavie odmieniła jego życie, przywożąc ten list. Nadała wszystkiemu nowy sens, przywróciła nadzieję. Nadzieję, że dla niego i Amélie może jeszcze nie jest za późno.

Dotąd brzmiały mu w uszach słowa, które wypowiedziała kilka dni temu. „Nic prócz śmierci nie jest nieuchronne i ostateczne, ale nawet w sprawie śmierci można negocjować, czego przykładem Orfeusz”.

Jej słowa skłoniły go do refleksji i teraz coraz poważniej myślał o tym, by wyruszyć na poszukiwanie Amélie – choćby po to, żeby w końcu mogli sobie wszystko wyjaśnić. Żeby się dowiedzieć, czy wszystko już ostatecznie przepadło, czy może zdoła mu wybaczyć, że nie uczynił tego, co powinien.

Tak, każdy mijający dzień utwierdzał go w przekonaniu, że to najlepsze rozwiązanie. Dowiedzieć się całej prawdy i podjąć decyzję...

Ale czy znajdzie w sobie dość odwagi, żeby zaryzykować utratę nadziei?

– A teraz, panno Richalet, przyszła chyba pora, by wywiązać się z obietnicy.

– Tu? – zapytałam, rozglądając się wokół.

Dotarliśmy nad urokliwą zatoczkę, cichą i spokojną w subtelny blasku księżycy w pełni. Jediną wadą tego miejsca, a zarazem tym, na czym dziś wieczorem szczególnie nam zależało, była jego trudna dostępność – najpierw musieliśmy się wspinać po długim, skalistym wzgórzu, które otaczało plażę i ukrywało ją przed oczami spacerowiczów i innych intruzów, przeistaczając ten piaszczysty brzeg w zakątek wyłącznie dla wtajemniczonych. Zbliżała się północ i ciszę mącił tylko plusk fal i szum wiatru. Miałam wrażenie, że jesteśmy na świecie zupełnie sami.

– To idealne miejsce! – oznajmił Romaric. Wyciągnął z plecaka duży koc i rozłożył go na piasku. – Tutaj z pewnością nikt nam nie przeszkodzi!

Wciąż się wahałam.

– Dość tego, pani profesor! Zawsze była pani taka zasadnicza i sztywna? – zapytał, rzucając mi wyzywające spojrzenie.

– Skądże znowu! – Wzruszyłam ramionami. – Muszę się po prostu



zastanowić.

– Zastanawia się pani? A nad czym?

– Nie wiem, co zdjąć najpierw...

– To się robi ciekawe...

Wzięłam głęboki wdech i zaczęłam kolejno zdejmować to, co na sobie miałam: szal, prawy sandałek, lewy, zegarek, klipsy, bluzkę, spódnicę – bardzo wolno, bardzo zmysłowo. Widziałam, jak oczy Romarica wędrują po mnie, a kiedy spódnica leżała już u moich stóp, miałam wrażenie, że mój ukochany zaraz się na mnie rzuci.

Ale to jeszcze nie był koniec. Nie spuszczać go z oka, cofałam się w stronę morza. Kiedy woda obmyła mi nogi, w pierwszej chwili zadrżałam, mimo to cofałam się nadal, aż sięgnęła mi do pasa. Wtedy przykucnęłam i zanurzyłam się całkowicie, by zdjąć bieliznę, którą rzuciłam na plażę.

Upadła Romaricowi pod nogi – to nie było zamierzone, celowałam w koc, ale nigdy nie byłam w tym zbyt dobra. Mój mężczyzna przez moment patrzył na mokre ciuszki.

– No i co, kto teraz pęknie?

– Na pewno nie ja – odparł natychmiast i zaczął się rozbierać.

Nie zostawił niczego.

Nieźle...

Po raz pierwszy miałam okazję zobaczyć go z daleka zupełnie nagiego. Oczywiście znałam jego ciało, przemierzyłam każdy jego centymetr, wpatrywałam się w nie minionej nocy, ale w moich oczach Romaric był tak piękny, doskonały, że obserwując go, czułam się jakbym patrzyła na dzieło wielkiego mistrza – to była nieskończona przyjemność, fantastyczny widok, który nigdy nie nuzył. Toteż kiedy szedł do mnie sprężystym krokiem, korzystałam z każdej chwili, by przypatrywać się ruchom mięśni, każdemu drgnieniu tego ciała. Choć było ciemno, musiał zauważyć moje gorące spojrzenie, bo uśmiechnął się pyszałkowato i celowo zwolnił kroku, bym mogła nacieszyć nim oczy.

Wreszcie zbliżył się do mnie, a wtedy natychmiast wtuliłam się w jego ramiona. Troszeczkę dlatego, że w taki sposób próbowałam ukryć, że nie czuję się zupełnie swobodnie, kiedy goła jak noworodek sterczę w morzu, praktycznie na oczach wszystkich, chociaż przecież na plaży nikogo nie było, ale trochę dlatego, że pragnęłam poczuć jego bliskość – teraz, natychmiast.

Spędziłam cały dzień w jego towarzystwie, a był to dzień na jego

podobieństwo – wspaniały, cudowny, niezapomniany. Niestety, ten wspólny dzień nieuchronnie zbliżał mnie do bolesnej chwili pożegnania. A Bóg mi świadkiem, że nie byłam jeszcze na to gotowa.

Bezwiednie objęłam Romarica z całej siły, jakbym chciała na zawsze odcisnąć go na swojej skórze.

– Ej... co się dzieje? – zapytał zaniepokojony, ujmując moją twarz w dłonie.

– Nic. Wszystko w porządku. Naprawdę – dodałam z uśmiechem, który miał być przekonujący. – Po prostu czuję się trochę skrępowana.

Z uśmiechem na ustach poprowadził mnie trochę dalej od brzegu, tam, gdzie woda sięgała mi po szyję.

– Teraz lepiej?

– Owszem, troszkę.

Uniósł mnie lekko i pomógł mi opleść go nogami w pasie. Potem mocno mnie przytulił. Czułam dotyk jego gorącej skóry, jego tors na swoich piersiach, jego członek ocierający się o moje łono.

– A teraz – wyszeptał schrypniętym głosem, dotykając policzkiem mojej twarzy i trącając nosem czubek mojego nosa – czy teraz już ci dobrze?

Krew buzowała mi w żyłach, zaczynałam zapominać, gdzie jestem.

– Owszem, trochę lepiej...

– Tylko trochę? – nalegał, cmokając mnie w usta i bardzo delikatnie poruszając biodrami.

Delikatnie, ale wystarczająco, żebym to poczuła i żeby mnie rozpalić.

– Uhm...

– Mogę zrobić coś jeszcze, żebyś poczuła się swobodnie?

Jego usta wędrowały od mojego ucha przez szyję i ramię, leciutko mnie szczypiąc, a biodra nie przerywały ledwie zauważalnych ruchów, doprowadzając mnie do szaleństwa. Bezwiednie przywarłam do niego.

– Możesz... – szepnęłam.

– Powiedz...

Dotknęłam ustami jego ucha.

– Weź mnie... – szepnęłam.

Usłuchał.

Zapatrzony w moje oczy, zaniósł mnie na plażę i nie przestając całować, ułożył na kocu, a potem sięgnął po prezerwatywę.

A później się kochaliśmy. Czule i namiętnie. Pełen subtelności i pożądania, szeptał mi do ucha słowa, jakie pragnęłam usłyszeć. Tłumił moje krzyki

pocałunkami i dawał mi dokładnie to, czego chciałam – trwające tych parę chwil przekonanie, że jutro nie istnieje.

Później, kiedy nasze ciała już ochłonęły, gdy serca biły wolniej, a oddechy się wyrównały, Romaric spojrział mi w oczy, pocałował mnie czule i dotykając czołem mojego czoła, wypowiedział słowa, które tak bardzo pragnęłam usłyszeć, a zarazem ich się bałam.

– Zostań. Nie wyjeżdżaj jeszcze.

Zamknęłam oczy i westchnęłam.

– Nie mogę – szepnęłam.

– Ej – rzucił, lekko się odsuwając.

Nie mogłam udawać, że nie wyczuwam w jego głosie rozczarowania, które wszakże odzwierciedlało to, co sama czułam. Ujęłam jego twarz w dłonie i teraz to ja patrzyłam mu w oczy. Chciałam mu wytłumaczyć. Chciałam, żeby zrozumiał.

– Rom, nie chodzi o to, że nie chcę zostać. To nie tak, wręcz przeciwnie. Ale... jest rocznica ślubu mojego ojca, no i jego urodziny, a musisz wiedzieć, że... odkąd matka odeszła, ten dzień jest dla niego bardzo trudny...

Urwałam, a po chwili mówiłam dalej.

– To dla mnie bardzo ważne, żeby być w tym momencie przy nim, dla niego. Rozumiesz? Nie mogę go zostawić. Nie mam najmniejszej ochoty rozstawać się z tobą, z każdą minutą coraz trudniej mi o tym myśleć, ale ja... ja...

– Nie martw się – powiedział. – Rozumiem. Rozumiem – powtórzył ciszej.

Przytulił mnie mocno.

– Znajdziemy jakieś rozwiązanie – szepnął, okrywając mnie czułymi pocałunkami, w ten właściwy sobie sposób, który zawsze przyprawiał mnie o dreszcz. – Obiecuję ci, że jakoś sobie z tym poradzimy.

## ROZDZIAŁ 18

### *DWA DNI PÓŹNIEJ*

– Puk, puk.

Uniosłam oczy znad walizki, którą pakowałam i zobaczyłam stojącego w otwartych drzwiach Romarica. Oparł się o futrynę.

– Cześć – rzuciłam, uśmiechając się smętnie.

– Cześć.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie bez słowa. A potem Romaric powiedział cicho:

– Flavie...

Zamilkł i pod wpływem impulsu w dwóch susach pokonał cały pokój, ujął moją twarz w dłonie i pocałował. Zamknęłam oczy, rozkoszując się bliskością jego ust, ale po trosze i po to, żeby powstrzymać łzy.

Ten pocałunek – czuły i pełen desperacji – mówił, jak bardzo Rom będzie za mną tęsknił.

Ja też będę za tobą tęskniła. Tak bardzo będzie mi Ciebie brak...

Za szybko odsunął głowę i tylko oparł czoło o moje czoło.

– Obiecujesz jechać ostrożnie? – spytał.

– Obiecuję – szepnęłam głosem pełnym łez, które starałam się połykać.

– Obiecujesz, że do mnie zadzwonisz, jak tylko dotrzesz do domu?

– Tak... Tak, obiecuję – odpowiedziałam. – Zadzwonię tuż po powrocie.

To był najlepszy kompromis, jaki na razie udało nam się osiągnąć – telefon, skype, wszystko, co pozwalało maksymalnie zbliżyć się do siebie.

Poprzedniego dnia długo o tym rozmawialiśmy, a Romaric posunął się nawet do pomysłu, żeby zaproponować mojemu ojcu przyjazd tutaj, do pensjonatu. Rozwiązanie było bardzo kuszące i pozwoliłoby odsunąć czas naszego rozstania, więc byłam wdzięczna, że chciał zaprosić go do siebie.

Ale zbyt dobrze znałam tatę, żeby się łudzić – wiedziałam, że odmówi, zasłoni się niemożnością zamknięcia sklepu choćby na kilka dni, bo przecież właśnie latem interesy idą najlepiej – co z technicznego punktu widzenia było prawdą, chociaż zamykając na krótko antykwariat, z pewnością nie naraziłby się na bankructwo. Potem prawdopodobnie namawiałby mnie, żebym została i nacieszyła się wakacjami i Romarikiem, nie przejmując się takimi błahostkami jak jego urodziny i inwentaryzacja – a tym bardziej rocznica ślubu. Tłumaczyłby też, że już czas, żebym zaczęła żyć własnym życiem, nie przejmując się starym ojcem. I że bardzo dobrze poradzi sobie beze mnie.

Jeśli nawet była to prawda, to nie chciałam, żeby musiał to mówić. Przez całe lata byliśmy tylko we dwoje. Przez całe lata stanowił dla mnie podporę i wspierał się na mnie. Jak mogłabym zostawić go samego, wiedząc, że odejście matki nawet po tak długim czasie wciąż sprawiało mu ból i tylko moja obecność nie pozwalała mu pograć się w tych przykrych wspomnieniach? Odpowiedź była prosta – nie mogłam tego zrobić. A Romaric, mając świadomość, że gdyby chodziło o Erwana, postąpiłby tak samo, nie próbował nakłonić mnie do zmiany zdania.

Analizowaliśmy sytuację na wszystkie strony i doszliśmy do wniosku, że chwilowo musi nam wystarczyć telefon.

Zamknęłam oczy, powstrzymując jęk rozpacz.

Chociaż wszystko ustaliliśmy, od wczoraj strach chwycił mnie za gardło i mimo usilnych starań racjonalnego traktowania sytuacji i uspokojenia się, nie mogłam się wyzbyć przerażającego przeczucia, że dziś wszystko dzieje się po raz ostatni: że widzę Romarica po raz ostatni, że po raz ostatni czuję bicie jego serca przy swoim. Że dotykam go ostatni raz i po raz ostatni go całuję.

Kiedy o tym myślałam, czułam, jak powoli umieram. Wydawało mi się, że strach rozedrze mi serce.

A jeżeli nasza miłość okaże się tylko wakacyjną przygodą – pełną żaru, lecz efemeryczną? A jeżeli, mimo wszystkich obietnic i przysiąg, nigdy więcej się nie spotkamy? A jeżeli życie, obowiązki, rutyna dnia codziennego w końcu wezmą górę nad uczuciem, którym się darzymy?

A jeżeli... jeżeli jego uczucie do mnie nie jest równie silne jak moje?

Czy to przeżyję?

Spojrzałam mu głęboko w oczy, chcąc znaleźć w nich zapewnienie, że moje obawy są bezpodstawne, że ta gorycz, którą czułam, jest niepotrzebna.

Że nasza historia nie skończy się tak banalnie.

Ale w głębi serca wiedziałam, że nie mógłby mi tego obiecać. Czasami nawet najlepsza wola człowieka nie wystarcza. Byłam świadoma – świadoma do bólu – że każde z nas już zbudowało sobie życie, które kocha i z którego trudno byłoby zrezygnować. Rom miał swój pensjonat, konie, siostrę i stryja, ja miałam domek, uczniów, ojca, przyjaciółki. Dwa życia, dwa światy, dwie odrębne rzeczywistości, które nas dzieliły, choć pozwoliły nam się zbliżyć do siebie.

Nie byłam pewna, czy wystarczy nam siły woli, żeby pokonać te przeszkody. Czy okazemy się zdolni do kompromisów. Czy to wszystko nie doprowadzi do końca tego „my”, którego tak pragnęłam, a które jednak zaczynało mi się teraz wymykać.

Zanim zalałam się łzami i zrobiłam coś naprawdę głupiego, jak choćby wyznanie, że go kocham, że przez tych parę dni nieuleczalnie się w nim zadurzyłam (powstrzymywałam się od wyznań, nie chcąc ani niczego przyspieszać, ani sprawiać, żeby czuł się jakkolwiek zobowiązany) – odsunęłam się od Roma. A przy tych wszystkich posępnych myślach, które mnie dopadły, spychając wszystkie inne troski, odczułam to jak amputację bez znieczulenia. Chyba była to najtrudniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek przyszło mi zrobić.

I natychmiast poczułam potworną pustkę.

Lepiej od razu zacznij się przyzwyczajać, złotko, pomyślałam, bo tak to właśnie jest!

Zdobyłam się na uśmiech, którym chciałam pokryć kłębiące się we mnie uczucia, a potem dyskretnie otarłam łzę, wbrew mojej woli spływającą po policzku.

– Nie znoszę pożegnań – powiedziałam, robiąc głupią minę. – Naprawdę. Ten, kto je wymyślił, powinien srogo odpokutować!

Wiedziałam, że nie zdołam w ten sposób rozładować napięcia, musiałam jednak coś powiedzieć, by nie zalać się łzami.

– Ja też – przyznał Romaric, smutno się uśmiechając. – Zwłaszcza dziś – dodał.

Odwróciłam się do niego plecami, ale nie tylko po to, żeby zamknąć walizkę. Chciałam ukryć drżenie ust i rąk, więc bardzo wolno zaczęłam wkładać komputer do torby, przesuwając go i dziesięć razy sprawdzając, czy nie grozi mu uszkodzenie. Potem w ślimaczym tempie zasuwałam zamek. Prawdę mówiąc, robiłam wszystko jak wyjątkowo ślamazarny ślimak. Kiedy

już nie mogłam zrobić niczego, żeby odwlec tę nieuchronną chwilę, wzięłam głęboki wdech i odwróciłam się do Romarica.

- Jestem gotowa – oznajmiłam tak stanowczo, jak mogłam.
- Zniosę walizkę na dół.
- Dzięki.

Przed domem czekali już na mnie Gwenn i Erwan. Kiedy Romaric poszedł zapakować walizkę do bagażnika, a przy okazji położyć moją torbę na przednim siedzeniu, najpierw zatrzymałam się przy Gwenn i serdecznie ją uścisnęłam.

– Dziękuję za wszystko, Gwenn. Za gościnę, za twoją uprzejmość, za strój do jazdy konnej. Bardzo się cieszę, że mogłam cię poznać.

– Ja też się cieszę, Flavie – odpowiedziała, odwzajemniając mój uścisk. – Jedź ostrożnie, dobrze? I zadzwoń, kiedy już będziesz na miejscu.

– Zadzwonię.

– Pogadamy na skypie, kiedy będziesz miała wolną chwilkę?

– Chętnie, Gwenn. Z przyjemnością. I pamiętaj, jeżeli będziesz miała ochotę odwiedzić północne wybrzeże, to mam duży pokój gościnny... Z bardzo szerokim łóżkiem – dodałam, mrugając do niej okiem – więc gdybyś chciała kogoś ze sobą zabrać, nie ma problemu.

– Dziękuję, jesteś naprawdę kochana! – roześmiała się. – I nie zdziw się, jeżeli skorzystam z zaproszenia!

– O to chodzi, bardzo chętnie zabiorę cię do naszego klubu robótek ręcznych i przedstawię dziewczynom. Na pewno się polubicie!

– Skoro tak mówisz, to przyjadę, jak tylko znajdę kilka wolnych dni! Nie wiem, kiedy, ale cię odwiedzę.

Uściskała mnie jeszcze raz, a potem odsunęła się, żeby zostawić mnie z Erwanem.

– Erwanie – zaczęłam, obejmując go. – Jeszcze raz dziękuję za gościnę. I za to, że opowiedział mi pan o waszej miłości. Za wszystko. Nigdy nie zapomnę, że przyjął pan zupełnie obcą osobę do swego domu, okazując mi tyle serca.

– Proszę nie dziękować – powiedział i uścisnął mnie serdecznie. – I nie jest pani obca. Już dawno nie jest mi pani obca.

– Dziękuję, Erwanie. Rom i Gwenn mają dużo szczęścia, taki krewny nie

każdemu jest dany. Nie muszę panu mówić, że zawsze będzie pan u mnie mile widzianym gościem. A poza tym, nie pozwolę panu tak łatwo o sobie zapomnieć, bo przecież zamierzam napisać tę książkę!

– Mam nadzieję, że często będę o pani słyszał! – odparł z uśmiechem. – Zresztą, skoro już o tym mówimy... Załóżmy, że jednak najdzie mnie ochota, żeby posłuchać pani rady i że postanowię jechać na południe... Pojechałaby pani ze mną? – zapytał ciszej.

Cofnęłam się i patrzyłam na niego szeroko otwartymi oczami, całkiem zaskoczona.

– Spokojnie, jeszcze nie podjąłem decyzji! Ja tylko pytam.

Uśmiechnęłam się od ucha do ucha. TAK!

– Pojadę z panem z największą radością, Erwanie!

– Bo skoro chce pani opisać tę historię, to... warto znać jej zakończenie, prawda?

Radość przepęłniała mi serce. Gdyby Erwan spotkał się z Amélie... Gdyby sobie wszystko wyjaśnili... Gdyby ich historia zaczęła się po latach od tego, na czym się przed laty skończyła... Tak bym się cieszyła, gdyby odzyskali tę utraconą miłość! Nadzieja na to nieco złagodziła smutek pożegnania.

Nieco.

– Oczywiście! – zawołałam z entuzjazmem. – Nieskończona historia jest niewiele warta. Potrzebujemy zakończenia...

– No dobrze, ale jak mówiłem, decyzja jeszcze nie zapadła.

– Oczywiście, zdaję sobie z tego sprawę. Tak czy inaczej... wie pan, gdzie mnie szukać, kiedy już pan coś postanowi.

– Tak.

Uściskaliśmy się jeszcze raz na pożegnanie.

– Szczęśliwej drogi, Flavie. – Uśmiechnął się do mnie.

– Dziękuję, Erwanie.

Znów poczułam, jak łzy napływają mi do oczu. Zamrugałam powiekami, żeby je ukryć.

– Gwenn, chciałaś, żebym zajrzał z tobą do stajni, więc chodźmy! – powiedział Erwan, rzucając bratanicy wymowne spojrzenie.

Najpierw zmarszczyła brwi, ale zaraz zrozumiała jego intencję.

– Tak, oczywiście, chodź, musisz rzucić na to okiem!

Powstrzymałam uśmiech, doskonale rozumiejąc ten manewr Erwana. Chciał dać Romowi i mnie odrobinę czasu tylko dla nas. Ostatnią chwilę we dwoje.



Do diabła, jak ja nie lubię słowa „ostatni”.

Patrzyliśmy, jak odchodzą, a potem skupiliśmy się na sobie.

– No dobrze. Widzisz... Już czas. Ja... – zaczęłam.

Nie zdążyłam nic więcej powiedzieć, gdyż Romaric chwycił mnie w ramiona i wpił się wargami w moje usta, a ja odpłaciłam mu równie gorącym, rozpaczliwym pocałunkiem, pełna żalu, że tak to się kończy.

– Flavie... – szepnął.

– Nie – poprosiłam. – Nic nie mów. To, co chcesz mi powiedzieć teraz, zostaw na potem, kiedy do ciebie zadzwonię, dobrze? Pozwól mi myśleć, że nie rozstajemy się na zawsze.

– To nie...

Położyłam mu palec na ustach. Nie chciałam usłyszeć tego, co zamierzał powiedzieć. Tak jak niegdyś Amélie, nie chciałam wiązać Romarica przysięgami, których może nie zdołałby dotrzymać. Wolałam, żeby nic nie mówił, niż żeby obiecywał rzeczy niemożliwe.

Ale moje serce burzyło się przeciwko tej decyzji.

– Ciii... – szepnęłam, patrząc mu w oczy.

Jeszcze raz go pocałowałam, dając wyraz cierpieniu, żalowi i obawom. A potem wyrwałam się z jego objęć i wskoczyłam do samochodu, zalewając się łzami, których nie mogłam już powstrzymać. Wyjechałam na drogę, jakbym zobaczyła diabła.

Nie oglądałam się za siebie. I bez tego czułam, że serce mi pęka.

Stojący kilka metrów dalej Erwan obserwował ruszającą gwałtownie Flavie. Było mu żal bratanka. Wiedział, co znaczy rozstać się z osobą, którą się kocha. To boli. Bardzo boli.

Zwrócił oczy na Romarica, który sprawiał wrażenie odrętwiałego, bezradnego, jakby nagle ziemia przestała się obracać.

– Będzie za nią tęsknił – powiedziała Gwenn.

– Wiem.

– Mnie też będzie jej brakowało. Naprawdę bardzo ją polubiłam.

– Tak, ja też. Ale to tylko krótkie rozstanie.

– Mam nadzieję.

– A ja pewność. Zobaczymy się z nią za kilka tygodni. Mam pewien plan.

– Plan? Intrygujesz mnie!

– Gwenn, zamierzam się spotkać z Amélie. Pojedziemy razem, ty, Rom i ja.  
A Flavie pojedzie z nami.

## ROZDZIAŁ 19

### KAROUAC, BRETANIA DWA TYGODNIE PÓŹNIEJ

Nie mogłam usiedzieć w miejscu.

Nie byłam w stanie skupić się na czytaniu ani na żadnej czynności. Nawet na drutach robiłam najwyżej kilka oczek, a potem podrywałam się z fotela, przywierałam nosem do szyby i wypatrywałam Jego.

Zachowywałam się jak mała dziewczynka, która czeka na przyjście Świętego Mikołaja. Ale ja nie czekałam na prezenty.

Wypatrywałam tylko Jego.

Opuściłam stanowisko obserwacyjne, żeby pójść do kuchni i zaparzyć sobie herbatę. Dzięki temu na kilka minut mogłam przynajmniej zająć czymś ręce. Bałam się wyjść do ogródka, bo tam mogłabym nie usłyszeć dzwonka. Nie brałam się do pisania, ponieważ i tak zabrakłoby mi natchnienia. Myślałam tylko i wyłącznie o jednym.

Za kilka minut znów będę z Romarikiem.

Nastawiłam wodę, wyjęłam różne herbaty, filtr i łyżeczkę i zabrałam się do przyrządzania mojej ulubionej mieszanki, nie przestając wsłuchiwać się w odgłosy dobiegające z ulicy. Czy to jakiś samochód zaparkował przed moim domem?

Kiedy woda zaczęła wrzeć, sięgnęłam po czajnik i napełniłam filiżankę. Potem, żeby zająć czymś ręce, machinalnie poruszałam torebką herbaty w wodzie, po raz setny w ciągu ostatnich dni przypominając sobie chwilę, kiedy Romaric zapytał, czy może mnie odwiedzić.

Powiedzieć, że wyjazd z Pont-l'Abbé nie był dla mnie łatwy, to eufemizm stulecia.

Okazało się to po prostu straszne. Odczułam to jak wewnętrzne rozdarcie,

jakbym zostawiła w pensjonacie część siebie. Przy nim.

Zgodnie z GPS-em pokonałam dokładnie dwa kilometry i pięćset czterdzieści metrów, czyli odległość między pensjonatem a tablicą oznaczającą granicę Pont-l'Abbé, gdy musiałam zjechać na pobocze. Opadłam głową na kierownicę i wybuchnęłam płaczem.

Zaczekałam, aż ten atak rozpaczy minie, łzy ustaną i nie będę już chwytala powietrza jak ryba wyrzucona na brzeg, a potem ruszyłam dalej, odczuwając każdy przejechany kilometr jak ukłucie przeszywające mi serce.

Droga do Karouac zajęła mi ponad trzy godziny, ponieważ musiałam się zatrzymywać jeszcze trzy czy cztery razy, żeby przeczekać kolejną falę łez, i kompletnie mnie wyczerpała. Po powrocie pojechałam prosto do ojca, nawet nie zaglądając do domu. Czułam się pusta, bezsilna i potrzebowałam wsparcia. Ojciec znał mnie zbyt dobrze, żebym musiała cokolwiek mówić – od razu zauważył, że coś jest nie tak, a moje zaczerwienione oczy i mina mocno go zaniepokoiły.

– Kochanie, co się stało? – zapytał, kiedy wysiadłam z samochodu.

Mimo że postanowiłam być twarda i dzielnie to znieść – kogo chciałam właściwie oszukać? – po prostu padłam mu w ramiona.

– Tato – jęknęłam, zanosząc się szlochem – chyba się zakochałam.

Uśmiechnął się pobłażliwie, przytulił mnie, gładził po włosach.

– Chodź, napij się herbaty i o wszystkim mi opowiedz.

Po kilku minutach, trzymając w ręku filiżankę ulubionej herbaty, opowiadałam mu ocenioną, oficjalną wersję tego, co wydarzyło się w Pont-l'Abbé. Mówiłam o Erwanie, o Romaricu, o reakcji rodziny Kermarreców na list, o balu, zamku i o tym, że w ciągu kilku dni zakochałam się po uszy, „co jest kompletnym szaleństwem, wiem, wiem” – dorzuciłam, uprzedzając wszelkie komentarze ojca.

On jednak powiedział coś, czego się nie spodziewałam.

– Wiesz, kochanie – zaczął – ja zakochałem się w twojej matce w parę godzin. A po tygodniu błagałem ją, żeby została moją żoną. Czas nie zawsze jest najważniejszy. Kotku, nie twierdę, że tak jest w twoim przypadku, nawet nie znam tego chłopaka, ale z tego, co powiedziałaś, wnioskuję, że odwzajemnia twoje uczucia. Czy powiedział albo zrobił coś, co świadczyłoby,

że nie chce się już z tobą spotkać?

Pokręciłam głową.

– Wręcz przeciwnie.

– To dlaczego płaczesz? – spytał. – Macie przed sobą całe życie, znajdziecie sposób, żeby rozwiązać problem odległości.

– Nie wiem, tato. Boję się. Obawiam się, że choćbyśmy oboje mieli jak najlepszą wolę, to może być koniec, że codzienne obowiązki będą działały przeciwko nam, że rozstaliśmy się już na zawsze. A...

Zacisnęłam powieki, powstrzymując cisnące się do oczu łzy. Znowu!

– Już teraz potwornie mi go brakuje, tato! – rzuciłam rwącym się głosem.

– Najprawdopodobniej jemu też ciebie brakuje, pchełko. Ale poradzicie sobie, na pewno sobie poradzicie! Dajcie sobie tylko trochę czasu. No i zaufaj mu. Może cię zaskoczy.

Zmusiłam się do bladego uśmiechu.

– Masz rację. Jestem głupia. Wpadam w histerię i zachowuję się jak dziecko.

– Nie, zachowujesz się jak zakochana kobieta, to normalne.

– Jak mam teraz przetrwać dzień po dniu bez niego?

– Tak, jak powiedziałaś: dzień po dniu, kochanie. Zobaczysz, że nawet się nie obejrzyysz, a znów będziecie razem.

– Może... Tak, masz rację, muszę w to uwierzyć, nie mogę tak szybko zwątpić. Kocham cię, tato – dodałam, tuląc się do niego. – Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

Zawsze miałam w nim dobrego doradcę. Był moim głosem rozsądku w każdej sprawie – z wyjątkiem tych, które dotyczyły jego, ale przecież tak to często bywa. Wcale nie kłamałam, mówiąc, że nie wiem, co bym bez niego zrobiła. Był moją opoką, ostoją, dawał mi poczucie bezpieczeństwa, odkąd odeszła matka. Do dziś, chociaż mam prawie trzydzieści lat, zawsze zwracałam się do niego, kiedy było mi źle, i to on opatrywał moje drobne rany. Kiedyś pocałunkami łagodził ból obitych kolan, teraz swą obecnością, wsparciem i radami pomagał mi wyjść z dołka.

– No już, zadzwoń do niego – powiedział. – Jestem pewien, że nie może się doczekać twojego telefonu.

Usiadłam w ogrodzie, żeby zadzwonić do Roma. Odebrał natychmiast.

- Flavie! Umierałem ze strachu! Jeszcze chwila, a sam bym zadzwonił!  
Jak dobrze było usłyszeć jego głos! Wydawało mi się, że wyjechałam już kilka dni temu, chociaż minęły zaledwie... cztery godziny. Z zegarkiem w ręku cztery godziny i dwanaście minut. A ja już tęskniłam. Bardzo.
- Nie, Flavie, powiedziałam sobie, nie zaczniesz znowu płakać. Już wszystko dobrze.
- Przepraszam... – tłumaczyłam się, odchrząkując – po prostu podróż... zajęła mi więcej czasu, niż powinna.
- Miałaś wypadek? Nic ci się nie stało?
- Nie, nie miałam wypadku, wszystko w porządku! Po prostu zatrzymywałam się częściej, niż powinnam. Ale nic się nie stało. Jestem teraz u ojca.
- Flavie...
- Romaric! – usłyszałam dobiegające z daleka wołanie Gwenn. Zaklął pod nosem, ale nie tak cicho, żebym nie usłyszała.
- Słuchaj... mogę zatelefonować wieczorem? Przed chwilą przyjechali nowi goście, wyglądają na niezbyt łatwych. Gwenn naprawdę potrzebuje pomocy.
- Dobrze, zadzwoń, kiedy będziesz mógł.
- Do usłyszenia wieczorem! Flavie, bardzo... – Zamilkł. – Do usłyszenia – powtórzył. – Całuję cię.
- Ja też. Do wieczora.

Zgodnie z obietnicą zadzwonił wieczorem. Przedtem zdążyłam umówić się z dziewczynami na nadzwyczajne spotkanie nazajutrz w południe i pójść na plażę, żeby z ulubionego zakątka – tego rzadko odwiedzanego przez turystów, bo trudno dostępnego – popatrzeć na zachodzące słońce, marząc o Romaricu. Właśnie wtedy – zupełnie jakby czytał w moich myślach – zadzwonił do mnie. Rozmawialiśmy długo, chyba ponad godzinę. Opowiedział mi o gościach, którzy przyjechali do pensjonatu – pięcioosobowej rodzinie ekscentryków o osobliwych wymaganiach w kwestii opieki nad końmi. Powiedział też, że miał okazję poznać Dana, który pojawił się na krótko przed naszą rozmową. A przy okazji dodał, że Erwan i Gwenn przesyłają mi pozdrowienia i że stryj miał rację, bo Dan jest sympatycznym, dobrze ułożonym chłopakiem. Gawędziliśmy jeszcze o różnych drobiazgach, żeby przedłużyć rozmowę. Żeby jak najdłużej być razem.

Aż w końcu Rom westchnął, a ja zaczęłam się bać tego, co będzie dalej.

– Flavie?

– Tak?

– Już za tobą tęsknię. Wiem, że to nierozsądne, bo przecież nie ma cię dopiero od kilku godzin, ale nie potrafię sobie z tym poradzić. Brakuje mi cię... Bez ciebie pensjonat jest taki pusty.

Kamień spadł mi z serca i poczułam wielką radość. Przez chwilę obawiałam się usłyszeć, że to, co między nami zaszło, było fajne, ale na tym koniec. Wiedziałam, że takie stwierdzenie kłóciłoby się z jego zachowaniem przez dwa ostatnie dni, ale teraz nie myślałam zbyt logicznie, a przede wszystkim potwornie się bałam, że nigdy więcej go nie zobaczę.

– Rom, ja też tęsknię – szepnęłam. – Nawet sobie nie wyobrażasz, jak...

Odniosłam wrażenie, że w słuchawce zabrzmiał jego śmiech.

– Flavie?

– Tak?

– Mógłbym do ciebie przyjechać?

TAAAK! – krzyknęłam w duchu. Przyjeżdżaj choćby dziś, zaraz, nie zwlekając, jesteś mi potrzebny, pragnę cię.

Rzecz jasna, nic takiego nie powiedziałam.

– Kiedy tylko zechcesz – odrzekłam. – Ale... co z pensjonatem? Myślałam, że...

– Jakoś to załatwię. Choćbym miał wpaść na kilka godzin, muszę cię zobaczyć. Jeszcze nie wiem, kiedy będę mógł się wyrwać, ale obiecuję ci, że coś wymyślę.

Rozłączyłam się z błogim uśmiechem na twarzy.

Potem to stało się już rutyną: Romaric dzwonił każdego wieczoru i rozmawialiśmy co najmniej godzinę, często nawet dłużej. Opowiadając sobie o szczegółach minionego dnia, nieco lepiej się poznawaliśmy. On mówił, co się dzieje w pensjonacie, o Gwenn, Erwanie, Danie, o przygodach Moonlighta i Belle, a ja o urodzinach taty, o tym, co robiłam, żeby poprawić ojcu humor, o sklepie, o moich przyjaciółkach. Pytał, czy piszę, czego właściwie nie robiłam, bo prawdę mówiąc, wciąż jeszcze byłam za mocno skupiona myślami na nim, żebym mogła się skoncentrować na czymkolwiek innym, a ja pytałam, czy rzeźbi. I też odpowiadał, że nie, ale nie próbował wyjaśniać, dlaczego.

Aż w końcu, przed kilkoma dniami, wreszcie zadał mi to pytanie.

– Flavie, mogę przyjechać w najbliższy weekend?

Pukanie do drzwi gwałtownie wyrwało mnie z rozmarzenia. Na moment zamarłam, by po chwili ożyć. Serce tłukło mi się w piersi, krew pulsowała w skroniach. To na pewno on. Pobiełam do drzwi i otworzyłam je na oścież.

Stał tam, na progu, z tym uśmiechem, który sprawiał, że ziemia drżała pod moimi nogami.

– Dzień dobry – powiedział, patrząc mi w oczy. – Sprzedaję odkurzacze. Jest pani zainteresowana?

Parsknęłam śmiechem i padłam mu w ramiona.



## ROZDZIAŁ 20

Erwan przystanął na dziedzińcu przed kościołem.

W mieście dużo się zmieniło, tu jednak wszystko było jak dawniej. Dokładnie tak, jak w jego wspomnieniach. Odwrócił się, zatrzymując spojrzenie na rogu ulicy i bramie, w której się ukrył podczas ślubu Amélie, trzydzieści osiem lat temu. To cała wieczność. A jednak wydawało mu się, że dopiero wczoraj patrzył, jak rozpromieniona kroczyła u boku ojca po schodach kościoła, żeby poślubić innego mężczyznę.

Zamknął oczy i wziął głęboki wdech – musiał uspokoić łomoczące serce, odegnąć złe wspomnienia, które nagle go tu dopadły. Pielgrzymka, w którą wyruszył, by odwiedzić wszystkie ważne dla niego tamtego lata zakątki Karouac, miała dodać mu odwagi i siły, a nie zmuszać do przeżywania na nowo bolesnych chwil. Nie chciał dziś o nich pamiętać.

Mimo to postanowił trochę poczekać, zanim pójdzie na ich plażę. Przedtem musiał się upewnić, czy tego chce.

- Erwanie, wszystko w porządku? – zapytała stojąca przy nim Gwenn.
- Tak, tylko dziwnie się tutaj czuję po tylu latach.
- Wyobrażam sobie. Chcesz już teraz wejść do kościoła czy wolisz zaczekać?
- Nie, chodźmy.
- Dobrze – powiedziała, wsuwając mu rękę pod ramię. – Idziemy.

Razem weszli po stopniach, potem Erwan pchnął ciężkie drzwi, jak tego ostatniego dnia lata tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego roku.

Teraz napłynęły inne wspomnienia – rozmowa z ojcem François, godziny spędzone na pracy wraz z kolegami zajmującymi się renowacją świątyni, śmiech i żarty, które umilały im czas. Nagle znów miał dwadzieścia lat i żył każdym dniem, jakby jutro nie istniało.

- Ładnie tu – szepnęła Gwenn, rozglądając się. – Tak jasno, wręcz przytulnie, inaczej niż w tych mrocznych, zimnych kościołach, które

najczęściej się widuje. Podoba mi się. Wykonałeś kawał dobrej roboty!

– Mówisz, jakbym to ja wybudował ten kościół! Przecież ja tylko naprawiłem parę sekcji z tyłu. Tu – powiedział, wskazując palcem fragment muru – i tam. Ale masz rację, ten kościół jest inny i lubiłem do niego przychodzić. Kiedy potrzebowałem, znajdowałem tu spokój i pocieszenie.

– W sumie to zabawne.

– Co jest zabawne?

– Właśnie to, że przychodziłeś tu w poszukiwaniu spokoju i pocieszenia. Znam cię i wiem, że zawsze byłeś swego rodzaju ateistą. Zwłaszcza że tu pracowałeś, to jakby ktoś szedł odpocząć do biura.

– Po pierwsze, najczęściej pracowałem jednak na zewnątrz, a to wiele zmienia. A po drugie, to nie miało dla mnie nic wspólnego z symboliką religijną. Nie zaglądałem tu, żeby się modlić ani błagać Boga o zmiłowanie. Przychodziłem ze względu na spokój, ciszę, ponieważ znajdowałem tu coś, co mnie uspokajało. A poza tym lubiłem rozmawiać z proboszczem.

– Tym, o którym mówiła Flavie?

– Uhm...

Doszli do połowy transeptu. Erwan wodził wzrokiem dookoła, szukając figurki Marii Panny. Szybko ją zauważył.

– Tak dawno cię nie widziałem... – powiedział, podchodząc bliżej. – Zapomniałem już...

Zapomniałem już, jak jest podobna do Amélie...

– To jest ta wspaniała rzeźba, o której mówiła Flavie?

– Tak, to ona.

– Naprawdę piękna. Aż trudno uwierzyć, że miałeś zaledwie dwadzieścia lat, kiedy ją zrobiłeś. Kochany, już wtedy byłeś wielkim artystą! – powiedziała Gwenn, całując Erwana w policzek. – Jestem dumna, że mam takiego stryjaszka!

– Dziękuję, aniołku, ale zlituj się i nie nazywaj mnie stryjaszkiem, bo i tak czuję się już stary.

– Cóż za niespodzianka! Przecież to nasz młody Erwan, jeśli mnie oczy nie mylą! Przyszedłeś sprawdzić, czy dotrzymałem obietnicy i dbałem o Marię Pannę, którą mi podarowałeś?

Erwan szybko się odwrócił.

– Już nie taki młody, ojczy, już nie taki młody. Zapewniam, że nigdy nie wątpiłem, że dotrzyma ojciec słowa. Jak się ojciec miewa?

– Dla mnie już zawsze będziesz młodym Erwanem – odparł ojciec François, biorąc go w ramiona. – Miewam się całkiem dobrze. Miło cię znowu widzieć, nawet po tylu latach. Brakowało mi ciebie.

– Mnie też ojca brakowało, ale... nie mogłem tu wrócić.

– Tak, rozumiem. Flavie opowiedziała mi w kilku słowach o tym, co się stało. Odwiedziła mnie po powrocie. Przykro mi, że los nie był dla ciebie życzliwy.

– Dziękuję, ojcze. Ale to się zmieni. Postanowiłem wziąć sprawy we własne ręce. Lepiej późno niż wcale... Pamięta ojciec, co powiedział mi w dniu naszego pożegnania?

– Słowo w słowo.

– Powiedział mi ojciec, że jeżeli jest mi pisana...

– To Bóg zadba, by was połączyć. Tak. A ty powiedziałaś, że wolisz liczyć na siebie.

– I właśnie teraz wprowadzę te słowa w czyn, ojcze. Szkoda tylko, że minęły czterdzieści trzy lata, zanim zdobyłem się na zrobienie czegoś, co powinienem był zrobić dawno temu. Postanowiłem się spotkać z Amélie.

– Życzę ci, żeby ta historia zakończyła się tak, jak pragniesz, Erwanie.

– Dziękuję, ojcze.

– Odwiedzisz mnie jeszcze, zanim opuszczę tę parafię? Chciałbym, żebyśmy sobie pogadali, jak kiedyś.

– Odchodzi ojciec?

– Pamiętaj, że nie jestem już młody. Najwyższy czas, żeby kościołem i parafianami zajął się ktoś inny.

– Kiedy opuszcza ojciec parafię?

– Na pewno zostanę jeszcze trochę, nie martw się, ale lepiej nie czekaj z odwiedzinami kolejnych czterdziestu lat. Tyle już raczej nie pożyję.

– Obiecuję, że odwiedzę ojca, jak tylko spotkam się z Amélie.

– Trzymam cię za słowo.

– Na pewno przyjadę.

Gwenn dość niedyskretnie chrząknęła.

– Ojcze, pozwól, że przedstawię ci moją bratanicę i wychowankę, Gwenn.

– Bardzo mi miło, Gwenn.

– Mnie również, ojcze – powiedziała, ściskając wyciągniętą rękę księdza.

– Jest pani podobna do Erwana...

– Powinien ojciec poznać mojego starszego brata. To wykapany Erwan.

– A skoro już mowa o Romaricu... Ojczy, musimy już iść, chcemy zrobić komuś niespodziankę. Flavie jeszcze nie wie o naszym przyjeździe – dodał z uśmiechem.

– Wspaniała niespodzianka, na pewno bardzo się ucieszy!

– Też tak myślę.

– Do zobaczenia wkrótce, drogi Erwanie. Oby tym razem Niebo dało ci wszystko, czego pragniesz.

– Do zobaczenia, ojczy.

Romaric i ja prowadziliśmy ożywioną rozmowę w przedpokoju, a mówiąc wprost, całowaliśmy się tak zapamiętale, jakby od tego zależało przetrwanie kuli ziemskiej, i zastanawiałam się nawet, jak go nakłonić do obejrzenia mojego domu, a szczególnie sypialni, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

W pierwszej chwili postanowiłam zignorować intruza, który pojawił się, żeby przeszkodzić nam w powitaniu.

– Nie otworzysz?

– Nie, nie, ktokolwiek to jest, może przyjść później.

Pukanie się powtórzyło.

– Może jednak powinnaś sprawdzić, kto to – zasugerował Rom.

– Nie, naprawdę mam teraz ważniejsze sprawy – mruknęłam, nie rozumiejąc, dlaczego Romaric namawia mnie do otwarcia drzwi. Czyżby on nie myślał teraz tylko o jednym?

Znów rozległo się pukanie.

– Słuchaj, musisz otworzyć. Obiecuję, że nie ucieknę tak szybko.

Westchnęłam.

– No dobrze... Skoro nalegasz...

Ruszyłam w stronę drzwi, mamrocząc pod nosem, że ktokolwiek tam jest, odprawię go i zaraz wrócę do własnych zajęć, nie licząc się z tym, co o mnie pomyśli niespodziewany gość.

Otworzyłam, gotowa skoczyć do gardła natrętowi, a wtedy...

– Erwan! Gwenn! Co wy...

Uznałam jednak, że te pytania mogą chwilę poczekać i uściskałam z radością oboje, choć może z nieco mniejszym zapałem niż Roma, kiedy przed chwilą ujrzałam go w tym samym miejscu.

– Flavie! – zawołała Gwenn, całując mnie na powitanie. – Tak się cieszę, że cię widzę!

– Ale co... a pensjonat? Zamknęliście? A kto zajmuje się końmi?

– Zostawiliśmy wszystko w dobrych rękach, nie martw się. Zaprosisz nas do środka?

– Oczywiście, wchodźcie! Zaskoczyliście mnie trochę, dlatego zachowuję się jak nieprzytomna. Zapraszam. Tak bardzo się cieszę, że przyjechaliście!

Cofnęłam się i spojrzałam na Roma, który uśmiechał się szeroko.

– Nic mi nie powiedziałaś, paskudo!

– Chcieliśmy ci zrobić niespodziankę.

– Lepiej zapytaj, dlaczego przyjechaliśmy. Zapytaj! – nalegała Gwenn.

– Dobrze: dlaczego przyjechaliście?

– Flavie – odezwał się Erwan – jedziemy odnaleźć Amélie, wpadliśmy po drodze, żeby cię zabrać.

– Naprawdę?

Erwan pokiwał głową. Zwróciłam oczy na Roma i Gwenn, żeby się upewnić, a oni też zgodnie pokiwali głowami.

– Cudownie!

Mówiąc to, zawisłam na szyi Erwana.

Znowu.

Najwyraźniej rzucanie się na mężczyzn z tej rodziny weszło mi w krew.

Kolejne godziny upłynęły nam na dopracowaniu planu działania. Erwan poinformował nas, co zamierza zrobić, a ja zasugerowałam kilka modyfikacji. Romaric i Gwenn uczestniczyli w naradzie każde na swój sposób – on milczał, a ona wskazywała każdy słaby punkt planu. Wspólnie opracowaliśmy strategię, która musiała się sprawdzić. Jediną niewiadomą była Amélie. Miałam do niej zadzwonić, powiedzieć o przesyłce, lecz nie wchodzić w szczegóły, i zaproponować spotkanie, abym mogła przekazać jej list.

Postanowiliśmy wprowadzić w życie pierwszą część planu już wieczorem. Około dziewiętnastej, czyli kiedy Amélie powinna już być w domu, usiadłam wraz z Romarikiem, Erwanem i Gwenn przy kuchennym stole i wybrałam numer.

– Dzwoni – szepnęłam.

Ta informacja była zupełnie zbędna, musiałam jednak coś powiedzieć, żeby rozładować napięcie. Ręce miałam spocone i trudno było mi uwierzyć, że za chwilę naprawdę usłyszę Amélie. Ile razy wyobrażałam sobie ten moment, ile razy myślałam o tym, że do niej telefonuję i opowiadam o swoim odkryciu,

o Erwanie...

– Tak, słucham?

– Czy mogłabym mówić z panią Lacombe?

Modliłam się w duchu, żeby nie uznała za niegrzeczne zwracania się do niej panińskim nazwiskiem.

– Tak, to ja.

– Dobry wieczór, nazywam się Flavie Richalet.

– Dobry wieczór.

– Przepraszam, że pani przeszkadzam. Otrzymałam pani numer od pani dawnej przyjaciółki, Chantale Dumas, a właściwie od jej siostry, France.

– Tak, rzeczywiście dobrze je znam. Jeśli można zapytać, w jakiej sprawie pani dzwoni?

– Otóż... to dość niezwykła historia, ale zapewniam, że wszystko jest prawdą. Mieszkam obecnie w Karouac, w domu zwanym za pani czasów Domem Dyrektora. Kilka tygodni temu przyszedł do mnie list adresowany do pani.

– Tak, to naprawdę zadziwiające.

– List został wysłany w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku i zaginął gdzieś na poczcie. Pozwoliłam sobie go otworzyć, żeby sprawdzić, czy to coś ważnego, czy nie.

– Skoro pani dzwoni, to chyba coś ważnego.

– Owszem.

– O co chodzi?

– O wiadomość od pani przyjaciela.

– To znaczy?

– W tym problem... nie podpisał się, więc nie wiem – skłamałam, lekko się krzywiąc.

– No tak. To rzeczywiście dziwna sprawa. Właściwie nie wiem, co powiedzieć. Dziękuję, że zadała sobie pani trud, żeby nawiązać ze mną kontakt. Zechce pani przesłać mi ten list?

– Szczerze mówiąc, wolałabym przekazać go pani osobiście, a przy okazji porozmawiać z panią. Jestem historykiem, zamierzam napisać powieść, której akcja będzie się rozgrywać w Karouac w tamtych latach, więc pomyślałam, że pani relacja bardzo by mi pomogła... Gdyby zechciała pani poświęcić mi trochę czasu... Upiekłabym dwie pieczenie przy jednym ogniu.

Ścisnęłam kciuki, zacisnęłam nawet palce u nóg, czekając na tę decydującą

dla nas odpowiedź.

Litości, niechże się zgodzi... niech się zgodzi!

– No dobrze... skoro pani chce... dobrze. Ale zamierza pani odbyć tak daleką podróż tylko po to?

– Właściwie nie, i tak planowałam pobyt w tym regionie.

Byłam na siebie zła za tyle kłamstw i półprawd, którymi ją zasypałam, lecz miałam nadzieję, że mi to wybaczy, kiedy się dowie, co mną powodowało.

– Skoro tak, chętnie się z panią spotkam. Już dawno nie rozmawiałam z nikim o Karouac.

– Super! Świetnie! Zadzwoń, jak już przyjadę. Za dwa, trzy dni, dobrze?

– Tak, wtedy łatwiej będzie nam się umówić w konkretnym miejscu.

– Świetnie, doskonale! – powtórzyłam. – Do zobaczenia wkrótce, pani Lacombe! Bardzo się cieszę, że będę miała okazję poznać panią osobiście!

Rozpromieniona, odłożyłam telefon.

– Załatwione, czeka na nas!

Na drugim końcu kraju, w miasteczku Valensole, Amélie Lacombe długo jeszcze patrzyła na słuchawkę, marszcząc brwi.

Kim mogła być ta lekko zwariowana kobieta, która twierdziła, że ma adresowany do niej list? Skoro Chantale podała jej numer – chociaż powinna była zapytać, to nie fair z jej strony – to na pewno jej ufa, ale to i tak jakaś szalona historia.

Potem wzruszyła ramionami. Nie warto się przejmować – wkrótce się okaże, o co tu chodzi.

I nie myśląc już o telefonie ani o rozmówczyni, Amélie wróciła do swoich zajęć, nieświadoma, że w jej życiu właśnie się dokonuje gwałtowna zmiana.

## ROZDZIAŁ 21

Jak okiem sięgnąć, pola lawendy. Gdziekolwiek spojrzeć – fiolet. Nie mogłam się nacieszyć pięknem regionu, w którym nigdy dotąd nie byłam. I miasteczka, znanego mi tylko z przeglądanych ostatnio stron internetowych.

Valensole, stolica lawendy. Cel mojej przygody. Cel naszej przygody.

Wciągnęłam w nozdrza powietrze, rozkoszując się delikatnym zapachem, a moje oczy spotkały się z wpatrzonymi we mnie niebieskimi oczami. Uśmiechnęłam się do ich właściciela, a z tego, jak je zmrużył, zrozumiałam, że odwzajemnia uśmiech.

– Na jakiej ulicy jest ten pensjonat, Erwanie?

Siedząca obok mnie Gwenn pochyliła się nad planem miejscowości.

– Przy drodze do Oraison. To na północ od Valensole – odparł, odwracając głowę.

– Mam, wiem, gdzie to jest. Już niedaleko.

– Zgadza się, myślę, że powinniśmy być na miejscu za dwadzieścia minut.

– Na szczęście, bo chciałam w końcu rozprostować nogi!

Erwan i Gwenn rozmawiali, a ja odchyliłam głowę na oparcie i zapatrzyłam się na otaczające nas pola.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, który postanowiłam uznać za znak, że los nam sprzyja, ktoś w ostatniej chwili odwołał rezerwację, więc mogliśmy z dwudniowym wyprzedzeniem wynająć pokoje w uroczym pensjonacie wśród lawendowych pól na północ od Valensole i uniknąć pobytu w kiepskim hotelu, gdzie zamierzaliśmy się zatrzymać po bezowocnych poszukiwaniach miłszego noclegu w okolicy. Tak, wiem, że trudno liczyć na coś lepszego, kiedy ktoś tak późno decyduje się na pobyt na południu w środku sezonu, ale byliśmy usprawiedliwieni.

Nazajutrz – a dla wtajemniczonych: wczoraj – zapakowaliśmy bagaże do samochodu Erwana, Romaric usiadł za kierownicą i pojechaliśmy na południe. Zatrzymaliśmy się na noc w hoteliku w połowie drogi z Karouac do Valensole,



a dziś o świcie ruszyliśmy w dalszą podróż, kiedy ptaki ledwie się budziły. Już od dłuższego czasu jechaliśmy pośród lawendowych pól, a ja nie mogłam się napatrzyć na ten pejzaż, tak odmienny od morskiego, i równie zachwycający.

Uśmiechnęłam się do siebie i moje spojrzenie znów spotkało się w lusterku wstecznym ze wzrokiem Romarica.

– Dojeżdżamy do Valensole – oznajmił.

Usiadłam prosto. Znaleźliśmy się u celu. W mieście Amélie. Zbliżała się chwila, która miała przesądzić o dalszym życiu Erwana.

Miasteczko było pełne uroku. Dominowały tu stare budynki z jasnego kamienia, które z pewnością widziały wiele różnych zdarzeń. Gdyby kamienie mogły mówić, opowiadałyby o tym, co się tu działo przez długie lata. Przejechaliśmy przez centrum, kierując się na drogę do Oraison, żeby zostawić w pensjonacie rzeczy i przejść do kolejnego punktu naszego planu.

Internetowy informator nie kłamał.

Pensjonat zbudowany był z beżowego kamienia i zwieńczony dachem z pomarańczowej dachówki. Z niebieskimi okiennicami prezentował się bardzo malowniczo wśród pól lawendy.

– Niesamowity widok! – zawołała Gwenn, wysiadając z samochodu.

Mogłam tylko się z nią zgodzić – ten pejzaż zachwyciłby nawet najbardziej zblazowanych turystów.

Właściciele – starsze małżeństwo, które powitało nas ciepłym uśmiechem – zaprowadzili nas do pokoi, jednego dla mnie i Romarica, drugiego dla Gwenn i Erwana. Chcieliśmy się tylko odświeżyć, ustaliliśmy więc, że za kilka minut spotkamy się na dole, na tarasie.

Kiedy zesłam z Romem, Gwenn i Erwan już tam siedzieli i rozmawiali. Ulokowałam się między panami i wyjęłam z torebki telefon.

– Gotów? – zapytałam Erwana.

Skinął głową.

– W takim razie zaczynamy.

Z sercem walącym jak młot wybrałam numer lekko drżącymi palcami.

– Pani Lacombe? Mówi Flavie Richalet.

– Dzień dobry, jak się pani miewa?

– Doskonale, dziękuję. A pani?

- Dziękuję, dobrze.
  - Dzwonię, jak się umówiliśmy, żeby powiedzieć, że jestem w Valensole. Czy znajdzie pani dla mnie chwilkę?
  - Za dwie godziny kończę pracę. Może wtedy się spotkamy?
  - Z przyjemnością.
  - Wie pani, gdzie jest merostwo?
  - Tak.
  - Tuż za nim jest mały park, bardzo ładny, cienisty, więc w tak upalny dzień jak dziś bardzo tam przyjemnie. Będę czekała za... powiedzmy... dwie i pół godziny, dobrze?
  - Oczywiście! Mam na sobie różową sukienkę.
  - Ja jestem ubrana na czerwono. Będę miała w ręku szkicownik.
  - Zapamiętałam! Do zobaczenia wkrótce!
  - Do zobaczenia.
- Zaczekałam, aż się rozłączy, potem odłożyłam komórkę i patrząc na Erwana, powiedziałam:
- Kości zostały rzucone. Spotykamy się za dwie i pół godziny w parku na tyłach merostwa.

Dwie godziny później byliśmy na miejscu. Ulokowaliśmy się tak, żebyśmy mogli zobaczyć nadchodzącą Amélie, sami jej się nie pokazując. To znaczy tak, żeby nie zobaczyła Erwana. Miałam się z nią spotkać pierwsza, a potem zniknąć, kiedy on się pojawi. Cała ta inscenizacja wprawiała mnie w zażenowanie, ale przecież robiliśmy to w dobrym celu, żeby ich spotkanie było jak z bajki. I nie wątpiłam, że takie właśnie będzie. Nie mogło się stać inaczej, ta historia musiała mieć swój happy end.

Zaplanowaliśmy wszystko niemal co do sekundy. Brakowało nam tylko głównej bohaterki.

Minuty dłużyły się jak godziny. Nie śmiałam nawet się domyślać, jakie uczucia targają Erwanem. Lęk, niecierpliwość, strach, miłość... W końcu Amélie pojawiła się w alejce. Szła spokojnie, bez pośpiechu, nie podejrzewając, co wkrótce nastąpi. Była wysoka. Ładna. Siwizna nie zdążyła jeszcze całkowicie wyprzeć rudej barwy jej włosów. Ta kobieta była naprawdę... olśniewająca. Łączyła w sobie grację tancerki z dostojeństwem arystokratki i urodą bogini. Zerknęłam na Erwana, który zamarł, wbijając

w nią wzrok.

Amélie usiadła na ławce, wyjęła z torebki nieduży szkicownik i zaczęła rysować. Czekałam jeszcze kilka minut, a kiedy wybiło wpół do siódmej, opuściłam swoje miejsce i ruszyłam w jej stronę.

– Pani Lacombe?

Uniosła głowę, zwracając na mnie lazurowe oczy. W tej chwili zauważyła moją różową sukienkę.

Uśmiechnęła się.

– Pani Richalet, jak się domyślam?

– Słusznie – potwierdziłam, wyciągając do niej rękę. – Ale proszę mówić do mnie Flavie!

– Dobrze. A mnie proszę nazywać Amélie, tak będzie łatwiej.

Uścisk jej dłoni był delikatny, lecz zdecydowany.

Nie mogłam uwierzyć, że stanęłyśmy twarzą w twarz. Podobnie jak z Erwanem, od tygodni rozmawiałam z nią w myślach. Ta sytuacja wydawała mi się nierzeczywista. Nieprawdopodobna, a jednak niezwykle ekscytująca. Byłam tak bliska połączenia Erwana i jego ukochanej!

Usiadłam obok niej tak, żeby była odwrócona tyłem do Erwana, Roma i Gwenn, których spojrzenia czułam na sobie.

– Dziękuję, że zgodziła się pani tak nagle ze mną spotkać. Nie wyobraża sobie pani, jak trudno mi było ją znaleźć!

– To chyba jakiś ważny list, skoro zadała sobie pani tyle trudu, żeby mi go oddać – powiedziała, unosząc brwi.

– Tak, rzeczywiście.

– Na co czekamy? Proszę mówić!

– Otóż, jak wspomniałam przez telefon, ten list został wysłany w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym i był zaadresowany do pani.

– W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym... Trzeba przyznać, że poczta długo pracowała nad jego dostarczeniem! – zauważyła rozbawiona.

– To prawda.

– Rozbudziła pani moją ciekawość. Któż taki mógł do mnie pisać w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym, żeby to było warte pani wysiłku i tak dalekiej podróży?

– Ktoś, kto bardzo panią kochał. Kto naprawdę panią kochał. Prawdę mówiąc, bardzo chciał osobiście wręczyć pani ten list.

Mówiąc to, zwróciłam oczy na Erwana, który zbliżał się z listem w ręce.

Amélie obejrzała się i zamarła. Potem podniosła się wolno, jak automat.

– Erwan... – szepnęła.

– Witaj, Amélie – powiedział tylko.

Dyskretnie wycofałam się do Romarica i Gwenn, zostawiając Erwana i Amélie samych, żeby mogli nadrobić minionych czterdzieści kilka lat.

\*\*\*

Nie zmieniła się, pomyślał Erwan, stojąc naprzeciwko Amélie. Wciąż była zachwycająca i wciąż jej widok zapierał mu dech w piersi. Minęły cztery dekady, a jednak miłość, jaką ją darzył, była wciąż równie silna, głęboka, nieśmiertelna.

Jego serce tłukło się jak spłoszony ptak w klatce. Nie przypuszczał, że w tym wieku można odczuwać taki sam lęk, takie same obawy, jak we wczesnej młodości. Teraz stawką była reszta jego życia – jego los miał się rozstrzygnąć w ciągu kilku najbliższych minut i Erwan bał się jak dziecko.

– Nie spodziewałam się, że jeszcze cię zobaczę – powiedziała cicho Amélie.

– Wiem.

Sprawiała wrażenie oszołomionej. Rozumiał ją. Na jej miejscu on też by osłupiał. Ale poznała go natychmiast. To musiało znaczyć, że o nim nie zapomniała. Tak, nie zapomniała o nim.

– Tyle lat już minęło.

– Dokładnie czterdzieści trzy.

– Czterdzieści trzy bez jednego miesiąca – poprawiła go.

A więc i ona liczyła te lata?

Poczuł, że budzi się w nim nadzieja, że ogarnia go całego.

– Czekałam na ciebie, ale na próżno – podjęła, a w jej głosie usłyszał smutek, ból, żal.

– Wiem.

– Wyszłam za męża.

– Wiem. Byłem tam. Cudownie wyglądałaś w sukni ślubnej. Zupełnie jak... bogini.

Zawsze była jego boginią.

– Byłeś tam? Ale... – Zmarszczyła brwi.

– Byłem, schowałem się w bramie. Przyjechałem za późno.

Czy dostrzegła jego cierpienie? Czy wyczuła, jak żałował, że pojawił się zbyt późno? Oddałby wszystko, byle cofnąć czas, wymazać przeszłość i napisać nowy bieg zdarzeń – z nią.

– Nie spełniłeś obietnicy – powiedziała. – Nie napisałeś do mnie. Nie wróciłeś, żeby mnie zabrać. Obiecałeś mi, ale nic nie zrobiłeś. Przez ciebie cierpiałam. Złamałeś mi serce swoim milczeniem.

– Ale ja do ciebie napisałem, Amélie.

Podał jej kopertę.

Długo jej się przyglądała, zanim ostrożnie wyjęła kartkę. Rozłożyła ją i przeczytała. Erwan patrzył na to bez słowa. Siedziała nieruchomo, wodząc oczami po tekście. Po długich sekundach łza – jedna, samotna – spłynęła po jej policzku. Amélie otarła ją wierzchem dłoni. Potem uniosła oczy i spojrzała na niego, zadając nieme pytanie.

– Ten list do ciebie nie dotarł – wyjaśnił. – Dopiero kilka tygodni temu dostarczono go Flavie. Za późno.

„Nigdy nie jest za późno”, szeptał mu w głowie głos Flavie.

– Napisałeś do mnie – powiedziała Amélie zduszonym głosem.

Już nie pytała – to było stwierdzenie faktu.

– Tak – szepnął Erwan. – Tak, napisałem, prosiłem, żebyś za mnie wyszła. Czekałem na odpowiedź, a potem zadzwoniłem do ciebie. Telefon odebrała twoja matka. Zanotowała mój adres i numer, pod którym można mnie było zastać. I znowu czekałem, aż się odezwiesz. Długo. Bardzo długo. Niestety, za długo, bo potem było już za późno.

Amélie zamarła.

– To byłeś ty? – zapytała, wstrzymując oddech.

– Ja?

– Kiedy przyjechałam do domu na Boże Narodzenie, zdobyłam się wreszcie na odwagę i zapytałam mamę, czy przyszedł do mnie jakiś list, czy ktoś dzwonił... Mimo że milczałeś, bo myślałam, że milczysz, nie straciłam jeszcze nadziei. Moja matka często nie pamięta o takich sprawach, więc liczyłam jeszcze, że po prostu zapomniała. Kiedy ją o to zapytałam, przypomniała sobie, że ktoś dzwonił, ale, o dziwo, nie mogła znaleźć kartki, na której zapisała dane tej osoby. Natomiast bardzo dokładnie pamiętała imię chłopaka.

Umilkła. Erwan wpatrywał się w usta Amélie, czekając na to imię.

– Antoine – podjęła. – Takie imię podała, kiedy zapytałam, jak się nazywał

ten ktoś. W pierwszej chwili poczułam się, jakby ziemia rozstąpiła mi się pod stopami. Przecież jak idiotka wierzyłam, że tajemniczym rozmówcą mogłeś być ty... Nie przesadzę, jeżeli powiem, że nigdy w życiu nie czułam się tak zawiedziona.

– Antoine – powtórzył Erwan.

I pomyśleć, że tak mało brakowało, żeby się spotkali, a z powodu głupiej pomyłki, tragicznej pomyłki, zostali rozdzieleni na dziesiątki lat.

Aż trudno było nie zadać sobie pytania, jakie bóstwo obrazili w poprzednim życiu, skoro przyszło im tak drogo za to zapłacić.

– Gdybym wiedziała, że to ty... – zaczęła Amélie.

Urwała i spuściła głowę.

– Co byś zrobiła, gdybyś wiedziała, że to ja? – zapytał nieśmiało Erwan.

– Próbowalabym cię odnaleźć – wyznała. – Ja... Ja nie poddałabym się tak szybko.

Oddechnęła głęboko, jakby próbowała zebrać się na odwagę, by powiedzieć to, co miała do powiedzenia.

– Erwanie, nigdy nie próbowałam cię odnaleźć, ponieważ byłam przekonana, że o mnie zapomniałeś. Że byłam dla ciebie tylko jedną z przygód...

– Nigdy w życiu – przerwał.

Uniosła wzrok, a Erwan spojrzał jej prosto w oczy.

– Amélie, nie zapomniałem o tobie nawet na sekundę – mówił dalej. – Nawet dziś nie ma dnia, żebym o tobie nie myślał, nie żałował, że nie walczyłem o ciebie z większą determinacją. Że nie porwałem cię z kościelnego dziedzińca, by nie dopuścić do tego ślubu. Gdybym wtedy wiedział, że nigdy nie dostałaś listu ode mnie, że matka nie powiedziała ci o moim telefonie i w końcu, że się rozwiodłaś i znów jesteś wolna, to przysięgam, że nie czekałbym tak długo, Amélie. Przyszedłbym błagać na kolanach, byś mi wybaczyła, że byłem takim kretynem, że nie okazałem, jak bardzo mi na tobie zależy, nie wyznałem, że byłaś, jesteś, kobietą mojego życia.

W oczach Amélie błysnęły łzy.

– Nie tylko ty ponosisz za to wszystko winę, Erwanie – szepnęła, nie odrywając od niego spojrzenia. – Ja też ponoszę odpowiedzialność za to, co się stało. Nie ufałam ci wystarczająco. Zważyłam w twoją miłość.

– Jeszcze nie jest za późno – powiedział. Ujął twarz Amélie w dłonie

i dotknął czołem jej czoła. – Kocham cię, Amélie. Kocham cię jak pierwszego dnia.

– Ja też, Erwanie – szepnęła. – Kocham cię. Zawsze kochałam tylko ciebie. Wydawało mi się, że zdołam o tobie zapomnieć, wyszłam za męża, żeby się z ciebie wyleczyć, ale tylko się łudziłam. Nie potrafiłam wymazać cię z pamięci ani wyrzucić z serca.

Na te słowa Erwanowi o mało serce nie wyskoczyło z piersi.

– Amélie, daj mi jeszcze jedną szansę. Dajmy sobie szansę na szczęście.

Erwan i Amélie długo rozmawiali. Obserwowałam ich kątem oka, przytulona do Romarica, który delikatnie gładził mnie po ręce. Czas płynął, Amélie wyraźnie się rozluźniała, napięcie znikło. Widziałam, jak powoli zbliża się do Erwana, jak ociera łzy, które popłynęły z jej oczu, gdy przeczytała list. Powinna była go otrzymać czterdzieści trzy lata temu, a stało się to dopiero przed chwilą. Tyle straconych lat, tyle zmarnowanego czasu, myślałam.

Ale nie da się cofnąć przeszłości ani naprawić zła, które już się stało. Można tylko zadbać, żeby przyszłość nie była pasmem żalu.

Wydawało mi się, że minęła cała wieczność, zanim zobaczyłam, jak Erwan zamyka w dłoniach twarz Amélie, jak pochyła się i przysuwa czoło do jej głowy – zupełnie tak, jak robił to Romaric. Potem powiedział coś, a Amélie mu odpowiedziała i odniosłam wrażenie, że słońce rozświetliło go od wewnątrz. Pocałował ją – delikatnie, z szacunkiem, jakby była najcenniejsza na świecie. Dyskrecja kazała mi odwrócić oczy – ta chwila należała wyłącznie do nich, do nikogo innego.

Upłynęło jeszcze kilka minut, nim oboje podeszli do nas, trzymając się za ręce.

Wszyscy troje wstaliśmy.

– Romaricu, Gwenn, chciałbym was komuś przedstawić – odezwał się nieśmiało Erwan.

Potem, zwracając się do Amélie, powiedział:

– Amélie, poznaj Romarica i Gwenn, mojego bratanka i bratanicę, a także moje adoptowane dzieci. Flavie już znasz. Rom, Gwenn, to Amélie. Moja Amélie.

– Erwanie – zawołałam i nie panując nad emocjami, objęłam go – tak się

cieszę, że w końcu się odnaleźliście! Po tych wszystkich latach rozłąki los wreszcie pozwolił wam być razem!

– Trzeba przyznać, że jednak bardzo pomogłaś temu losowi – roześmiała się Gwenn i trąciła mnie łokciem. – Amélie, bardzo się cieszę, że nareszcie panią poznałam – dodała, serdecznie się z nią witając.

– Dziękuję. Ja również się cieszę, że panią poznałam. I... dziękuję, że oddała mi pani Erwana – dorzuciła, zwracając się do mnie i uściskała mnie.

– Nie ma za co – szepnęłam. – To drobiazg...

Kiedy patrzyłam, jak Erwan, Amélie, Gwenn i Romaric wymieniają uściski, kiedy widziałam ich radosne, szczęśliwe twarze, pomyślałam, że ojciec miał rację – wszystko może się zmienić, więc nigdy nie wolno się poddawać.

Erwan i Amélie byli tego dowodem.

– Miałaś rację – powiedział tego wieczoru Romaric, kiedy trzymając się za ręce, szliśmy przez pole lawendy.

Po kolacji zostawiliśmy Erwana u Amélie, wiedząc, że tych dwoje ma sobie jeszcze dużo do powiedzenia i nikt więcej nie jest im teraz potrzebny. Amélie zaprosiła nas do siebie i czas minął nam błyskawicznie – śmialiśmy się, żartowaliśmy, opowiadaliśmy anegdotki. Wyjątkowo raczej słuchałam innych, niż mówiłam. Trzymałam się jakby z boku, obserwując tę powstającą rodzinę, i uświadomiłam sobie, że Chantale nie przesadziła – Amélie jest wspaniała. Bardzo wrażliwa, uprzejma, wsłuchiwała się w innych. Mimo swoich sześćdziesięciu lat była piękną kobietą, młodą duchem i dynamiczną. Uwielbiałam słuchać, jak opowiada o swojej pracy, o projektach. Zaczerwieniła się, przyznając, że trafnie rozszyfrowałam „K” z nazwy jej firmy – oznaczało „Kermarrec”: „Choć oficjalnie, w swoim środowisku, wolałam mówić, że to nawiązanie do rodzinnego miasta” – wyjaśniła.

Opowiedziała nam o życiu, jakie wiodła przez ostatnie cztery dziesięciolecia, o niezwykłych doświadczeniach, jakie zebrała. Mówiła o podróży dookoła świata, którą odbyła po rozwodzie w poszukiwaniu samej siebie. Sądząc ze spojrzeń, jakie rzucał jej Erwan, i z fascynacji, z jaką jej słuchał, nie tylko mnie zainteresowała historia Amélie.

Okazała się też doskonałą kucharką. Bez większego trudu nakłoniła nas, żebyśmy zostali u niej na kolacji i zniknęła w kuchni, nie chcąc niczyjej pomocy, a potem w okamgnieniu przygotowała wyśmienity posiłek z pysznym



deserem, do którego podała wino rosé.

Kiedy wypiliśmy kawę i pozmywaliśmy, spojrzaliśmy na siebie z Gwenn i nie umawiając się, zaproponowałyśmy Erwanowi, żeby został u Amélie. Powiedzieliśmy, że przyjedziemy po niego nazajutrz rano. Zgodził się, a ja z rozczuleniem patrzyłam, jak się przy tym lekko rumieni. Po tylu latach wciąż był bardzo nieśmiały.

Zostawiliśmy więc ich samych i wróciliśmy do pensjonatu, gdzie Gwenn poszła do siebie, żeby zadzwonić do Dana, a Rom i ja wybraliśmy się jeszcze na spacer po okolicy.

– Prawdę mówiąc, zdarza mi się to dość często – stwierdziłam z pozorną skromnością. – Jestem nauczycielką, to typowe w tym zawodzie. Ale w jakiej sprawie tym razem miałam rację?

Musnęłam palcami gałązkę lawendy i uniosłam rękę do nosa, wdychając delikatną woń kwiatów.

– Popełnilibyśmy błąd, nie przyjeżdżając tutaj.

Milczałam. Wiedziałam, że zmiana poglądów nie jest dla niego łatwa i potrzebował czasu, by pogodzić się z faktem, że to było najlepsze, co mogliśmy zrobić.

– Jeszcze nigdy nie widziałem Erwana tak szczęśliwego – dodał.

– Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

– Masz trochę racji.

Zatrzymał się i stanął przede mną.

– Chciałbym z tobą o czymś porozmawiać.

Poczułam, że moje serce znów zaczyna szaleć.

– Tak? – zapytałam cicho, starając się nie okazywać strachu, od którego zacisnął mi się żołądek.

– Wiem, że znamy się krótko, a nasz związek jest bardzo nowy, że za wcześnie na snucie planów. Że trzeba dać sobie trochę czasu... Ale...

Umilkł, a ja nareszcie odetchnęłam. Choć troszkę.

– Ale? – zachęciłam go.

– Flavie, zakochałem się w tobie. Zakochałem się w twoim uśmiechu, spojrzeniu, w chęci czynienia dobra. Zakochałem się w twoim poczuciu humoru, radości życia, w entuzjazmie, w nienasyconej ciekawości. Pokochałem twoje ciało, twoje usta. Kocham cię. Jeszcze nie wiem, co zrobimy, ale te dwa tygodnie bez ciebie były nie do zniesienia, długie i puste. Nudne, bo nie było w nich ciebie i nie mogłaś ich rozświecić. Brakowało mi

cię, Flavie, strasznie za tobą tęskniłem! Nawet nie potrafię tego wyrazić. Wiem, że to szybko, może dla ciebie za szybko, ale...

– Nie.

– Co: nie?

– Nie, wcale nie jest dla mnie za szybko. Ja też cię kocham, Rom, i uwierz mi, że i dla mnie te dwa tygodnie były udręką, że wszystko straciło blask i smak. Tak jak dla ciebie. Kocham cię, chyba pokochałam cię od pierwszego wejrzenia. Ziemia zadrżała. I nic nie uszczęśliwi mnie tak, jak snucie wspólnych planów. Wszystko jedno, jakich.

Uśmiech rozświetlił jego twarz i tu, na polu lawendy, Romaric pocałował mnie, jakbym dała mu gwiazdkę z nieba.

A tak naprawdę, to on mi ją dał.

I tym razem ojciec miał rację – wystarczy uwierzyć.

# EPILOG

## KAROUAC, BRETANIA ROK PÓŹNIEJ

– Szanowni państwo, zebraliśmy się tu dzisiaj, aby połączyć świętym węzłem małżeńskim dwoje ludzi.

Głos ojca François rozbrzmiał w kościele. Uśmiechnął się do zgromadzonych, a ja odwzajemniłam jego uśmiech.

To był najpiękniejszy dzień mojego życia. Albo raczej drugi najpiękniejszy dzień w moim życiu.

Bo pierwszy to dzień mojego ślubu z Romarikiem.

Zerknęłam na kamień błyszczący na palcu lewej ręki. Kiedy o zachodzie słońca Romaric przyklęknął przede mną na plaży w Karouac i ściskając w dłoni pierścionek zaręczynowy swojej matki, poprosił, żebym została jego żoną – a było to przed kilkoma miesiącami – przygotowałam się na to, że nagle mogę obudzić się z cudownego snu. Dyskretnie się uszczypnęłam, żeby mieć pewność, że to dzieje się na jawie. Okazało się, że wcale nie śnię, a mężczyzna mojego życia naprawdę prosi, abym uczyniła z niego porządnego małżonka i została matką jego dzieci, a przy okazji także... jego koni.

Pobraliśmy się kilka tygodni potem. Ceremonia była skromna, w gronie najbliższych krewnych i przyjaciół, w tym oczywiście Erwana, Amélie i jej dwóch córek, które specjalnie przyjechały z Paryża. Gwenn pojawiła się w towarzystwie Dana – tajemniczego ukochanego, który już wcześniej przestał być taki tajemniczy i wszedł do rodziny, jako że tymczasowo zajmował się pensjonatem, ponieważ Rom, czekając na moje przeniesienie do południowej Bretanii i powrót do Pont-l'Abbé, zamieszkał w Karouac. Muszę przyznać, że perspektywa zostawienia ojca samego, a także rozstania z domem sprawiła, że długo się wahałam, przedyskutowaliśmy jednak wszystko i osiągnęliśmy

kompromis: ojciec obiecał (zmuszony przeze mnie), że będzie zamykać sklep na kilka tygodni i spędzać u nas lipiec. Równie dobrze jak ja wiedział, że w przeciwnym razie znacznie trudniej byłoby mi podjąć decyzję.

Jeśli chodzi o dom, to po namyśle postanowiłam go zatrzymać. Nie mogłam się pogodzić ze świadomością, że zamieszkałby w nim ktoś obcy po tych sześciu latach, które w nim przeżyłam. Zbyt dużo znaczył dla mnie, dla nas. Dlatego zwołałam naradę rodzinną i razem z moim ojcem, Erwanem i Amélie, Gwenn i Danem, no i z Romem omówiliśmy tę kwestię.

Ostatecznie zdecydowaliśmy, że dom musi pozostać w rodzinie. Romaric i ja moglibyśmy z niego korzystać podczas ferii szkolnych, poza sezonem turystycznym, odwiedzając mojego ojca i gdy będziemy mieli ochotę spędzić trochę czasu sam na sam. Przy okazji widywałam się z przyjaciółkami i nie musiałabym korzystać z niczyjej gościny. Przez resztę roku dom byłby do dyspozycji każdego, kto chciałby odpocząć z dala od wrzawy sezonu letniego. Ten kompromis okazał się dobry dla wszystkich. Nie musiałam poruszać kwestii finansowych, dla mnie bardzo delikatnych, bo Gwenn, Amélie i Erwan spontanicznie zaproponowali, że każdy będzie w równym stopniu przyczyniał się do utrzymania naszej „wakacyjnej rezydencji”.

Miałam naprawdę wspaniałą rodzinę.

– Erwanie Albanie Patricku Kermarrec, czy chcesz pojąć za żonę Amélie Virginie Sophie Lacombe i kochać ją wiernie, w zdrowiu i chorobie, dopóki śmierć was nie rozłączy?

Erwan spojrzał w oczy Amélie i odparł dźwięcznym głosem:

– Tak.

Ksiądz się uśmiechnął. Ja też.

– A ty, Amélie Virginie Sophie Lacombe, czy chcesz pojąć za męża Erwana Albana Patricka Kermarreca i kochać go wiernie, w zdrowiu i chorobie, dopóki śmierć was nie rozłączy?

Amélie odpowiedziała równie zdecydowanym tonem:

– Tak.

– Odtąd jesteście przed Bogiem mężem i żoną.

Otarłam oczy. Śluby zawsze mnie wzruszały. Zerknęłam na Romarica, a on, widząc, że lada chwila zaleję się łzami, objął mnie i przytulił opiekuńczym gestem. Czule pocałował moje włosy i obserwował ceremonię z kpiącym uśmiechem na ustach. Ale nie nabrałam się na tę grę – mógł udawać twardego i obojętnego przed innymi, ja wiedziałam, że też jest wzruszony.

Dziś jego stryj, którego od lat traktował jak ojca, zenił się z ukochaną kobietą. Po czterdziestu czterech latach oczekiwania Erwan mógł wreszcie zacząć życie z tą, która była mu pisana. I nic nie ucieszyłoby Romarica bardziej niż widok Erwana promieniejącego szczęściem w tym kościele, który odegrał tak ważną rolę w jego życiu.

A i to wymagało pokonania przeszkód i przychylności ojca François, bo przecież Amélie była rozwódką.

Ksiądz pobłogosławił obrączki, a Erwan i Amélie stanęli twarzą do siebie.

– Amélie, przyjmij tę obrączkę na znak naszej miłości i wierności – powiedział Erwan, wsuwając obrączkę na palec rozpromienionej panny młodej.

– Erwanie, przyjmij tę obrączkę na znak naszej miłości i wierności.

– Ogłaszam was mężem i żoną. Możesz pocałować pannę młodą.

Wtedy Erwan na oczach wszystkich ujął w dłonie twarz Amélie i złożył na jej ustach najpiękniejszy na świecie pocałunek – subtelny, powściągliwy, ale i namiętny, a przede wszystkim rozczulający. Wydawało mi się nawet, że widzę łzę, która spływa mu po policzku.

Potrzebowali czterdziestu trzech lat, żeby się odnaleźć.

Czterdziestu trzech lat, żeby przezwyciężyć przeszkody, które piętrzył przed nimi los. A jednak im się to udało i teraz już nic nie mogło zakłócić ich szczęścia.

Zastanawiacie się pewnie, czy napisałam tę moją wymarzoną powieść?

Tak. I pod presją moich przyjaciółek, które nie cofały się przed niczym, dążąc do celu, zniosłam tekst do wydawnictwa. Wprawdzie pod przymusem, zrobiłam to jednak. Nie miałam wyboru – to była stawka w przegranym przeze mnie idiotycznym zakładzie z pierwszych dni mojej przygody.

I choć naprawdę mnie to zaskoczyło, wyobraźnia i wrodzony romantyzm tym razem obróciły się przeciwko mnie, bo Vic, urodzona pragmatyczka, osoba niesłychanie cyniczna, wygrała zakład, czyli zyskała prawo decyzji o mojej „karze”. Kiedy powiedziała, czego ode mnie żąda, sprzeciwiłam się, tłumacząc, że ani Erwan, ani Amélie nie wyrazili zgody na upublicznienie ich historii, co w tej sytuacji było mi na rękę.

Ale ten zdrajca Romaric natychmiast wetknął nos w moje sprawy i oświadczył, że bierze tę sprawę na siebie, co ucieszyło dziewczyny. Już po

dwóch dniach poinformował mnie z dumą, że wstawił się za mną u Erwana i że ani on, ani Amélie nie mają nic przeciwko opublikowaniu powieści, pod warunkiem, że zadbam o ich anonimowość.

Przyparta do muru, nie miałam wyboru – musiałam się poddać.

Prawdopodobnie była to druga najlepsza decyzja w moim życiu (palma pierwszeństwa przypadła niepodważalnie zaangażowaniu się w poszukiwanie Erwana i Amélie).

Wbrew wszelkim oczekiwaniom jedno z wydawnictw przyjęło moją powieść i w przededniu ich ślubu otrzymałam egzemplarze autorskie – w samą porę, by dyskretnie położyć dwa z nich na stole z prezentami dla państwa młodych.

Bo był to mój prezent ślubny: historia ich życia podana na srebrnej tacy.

A co z tytułem? Czy został ten, który podałam na początku tej opowieści, czyli *List dotarł we wtorek*? Nie. Ostatecznie wymyśliłam inny. Bardziej wymowny. To *Czas ukradziony*.

## PODZIĘKOWANIA

Mówi się, że pisanie powieści to praca w samotności i w ogromnej mierze tak właśnie jest. A jednak ta książka prawdopodobnie nigdy by się nie ukazała bez pomocy i wsparcia wielu osób, którym pragnę dziś podziękować. Carine, Caroline, Cécile – moje najbliższe przyjaciółki, i Vanessa, moja młodsza siostra – zawsze niezawodne, wspierały mnie nawet (i przede wszystkim) w okresie zwątpienia. Dziękuję im też za to, że przeczytały daleki jeszcze od doskonałości tekst.

Shelbylee sypała jak z rękawa anegdotami z życia nauczycielki i wprowadziła mnie w swój świat, żebym mogła zamieszkać w nim na czas powstawania książki. Jestem jej za to bardzo wdzięczna.

Suzanne dziękuję po prostu za wszystko.

Mojemu księciu z bajki dziękuję za to, że mogłam polegać na nim i jego wyrozumiałości, kiedy pracowałam nad powieścią i ją redagowałam; za to, że we mnie wierzy i za to, że uczynił z mego życia czarodziejską baśń, która wciąż trwa.

Ta książka nie nabrałaby ostatecznego kształtu, gdyby nie fantastyczna praca redakcyjna – Marie, dziękuję za te wszystkie godziny, za wszystkie rady i za to, że pomogłaś mi iść wciąż dalej, nawet kiedy myślałam, że nie jestem w stanie się na to zdobyć.

Nie zapominajmy jednak, że książka nie może istnieć bez czytelników, pragnę więc podziękować każdemu, kto pokładał we mnie dość wiary, żeby po nią sięgnąć. Mam nadzieję, że jej lektura przyniosła Wam taką przyjemność, jaką mnie dało jej napisanie.

# Spis treści

[PROLOG](#)

[ROZDZIAŁ 1](#)

[ROZDZIAŁ 2](#)

[ROZDZIAŁ 3](#)

[ROZDZIAŁ 4](#)

[ROZDZIAŁ 5](#)

[ROZDZIAŁ 6](#)

[ROZDZIAŁ 7](#)

[ROZDZIAŁ 8](#)

[ROZDZIAŁ 9](#)

[ROZDZIAŁ 10](#)

[ROZDZIAŁ 11](#)

[ROZDZIAŁ 12](#)

[ROZDZIAŁ 13](#)

[ROZDZIAŁ 14](#)

[ROZDZIAŁ 15](#)

[ROZDZIAŁ 16](#)

[ROZDZIAŁ 17](#)

[ROZDZIAŁ 18](#)

[ROZDZIAŁ 19](#)

[ROZDZIAŁ 20](#)

[ROZDZIAŁ 21](#)

[EPILOG](#)

[PODZIĘKOWANIA](#)